





1/11 24/0

<http://rcin.org.pl>

K1068





# KOMEDYE.

**Uwaga dla aktorów.**  
Prawo i lewo rozumie się od widzów.

<http://rcin.org.pl>



*J. L. ...*





# KOMEDYE

*W czterech  
tomach!!*

## JANA ALEXANDRA HR. FREDRY.

TOM I.

*Przed śniadaniem. — Drzemka pana Prospera. —  
Środek Wujaszka. — Sosnaj nim pokochasz.*

Z PORTRETEM AUTORA.

WYDANIE NOWE.

Wszelkie prawa wobec sceny zastrzega się.

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 73

Tele. 26-68-63

WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1880.





---

KRAKÓW. — W DRUKARNI WŁ. L. ANCYCA I SPÓŁKI.

4594 / 1.

<http://rcin.org.pl>

# **PRZED SNIADANIEM.**

**OBRAZEK DRAMATYCZNY**

**W JEDNYM AKCIE, PROZĄ.**

**PRZEDSTAWIONY PORAZ PIERWSZY WE LWOWIE**

**dnia 20 Stycznia 1865 r.**

NOTAÇÕES - 1970

1970

NOTAÇÕES - 1970

NOTAÇÕES - 1970

NOTAÇÕES - 1970

MOJEMU  
NAJUKOCHAŃSZEMU OJCU

TEJ PIERWSZĄ PRACĘ

NA POLU DRAMATYCZNYM

POŚWIECAM

JAN ALEXANDER FREDO.

## OSOBY.

PANI DORSKA.

FRANIO, jej siostrzeniec (lat 19).

AMELKA, jej wychowanica (lat 16).

JAN, stary sługa.

Rzecz się dzieje na wsi u Pani Dorskiej.

---



# PRZED ŚNIADANIEM.

---

Teatr przedstawia ogród. W głębi na lewo widać skrzydło wiejskiego dworku, który się kończy niską terassą. Z niej parę schodów prowadzi prawie w środku sceny do ogrodu. Na terassie stół, drewniana kanapka, parę krzeseł. Po prawej w trzeciej kulisie mały pawilon, do którego kilka schodów i drzwi prowadzą. Na przodzie, po lewej pod drzewem ogrodowa ławka, przed nią mały okrągły stolik.

---

## SCENA I.

**Franio** (*sam*).

*(Franio młodo ubrany, kołnierzyki wyłożone, chustka lekko zawiązana, bez wąsów ni brody, wychodzi z pawilonu.)*

**Franio.**

Oka z radości zmrużyć nie mogłem. Maturę zdałem. Kraków, książki, profesorowie za mną daleko! Na dwa miesiące jestem wolnym! Ach, jakże się tu na wsi dobrze, szeroko piersią oddycha! Co za powietrze, co za słońce! W istocie, zdawałoby się, że to inne jak to, które przebrzydłe mury miasta oświeca. (*oglądając się*) Tutaj, widzę, nic się od trzech lat nie

zmieniło, tylko krzewia znacznie podrosły. Pamiętam, jak się dawniej w tych klombach chowaliśmy z Amelką. Nie zapomniałem też o niej Przywożę jej prześlizczną lalkę z prawdziwymi włosami i oczami, które się ruszają. Przyznać muszę, że mi trochę wstyd było w sklepie zażądać lalki, lecz wybrałem na to szarą godzinę, nim jeszcze gaz zaświecili; prędko kupiłem, przyniosłem pod płaszczem do domu i szust do kufierka na sam spód, między bieliznę. Chwilkę później nadeszli koledzy i byli obecni, gdy rzeczy pakowałem. Żadnemu nawet na myśl nie przyszło, że pod płaszczem Almawiwa, którego mi tak zazdrościli, pod butami z ostrogami, leży co? Lalka! Piękna rzecz, gdyby mnie z nią byli zastali. Ileż to żarcików, drwinek, przewisk! *(naśladując ich)* „Proszę cię, przedstaw mnie swojej kochance.“ — „Na kiedy zaręczyny?“ — „Czyście poszaleli? wszak on mężatkę uwodzi.“ — Brr... Dreszcz mnie przechodzi. *(z rozważą)* Jakto nieraz reputacya człowieka na włosku wisi! *(p. k. m.)* No, szczęściem, że się udało. Za to Amelka jak pons stanie i oczy jej się zaświecą, gdy lalkę zobaczy. Drugi raz tego jednak nie zrobię. *(przechadzając się)* Kochana Ciocia podobno teraz dłużej sypia niż dawniej; prosiłem ludzi, żeby jej nie mówili, że tej nocy przyjechałem. Dopiero gdy wyjdzie na terasę i sakramentalne wyrzecz słowa: „Janie, dawaj śniadanie!“ stanę przed nią jak Deus ex machina. Jakże się ucieszysz! Ciekawy tylko jestem, czy mnie pozna? Co o wąsach powie? *(dobywa z kieszeni małej szczoteczki ze zwierciadłem, przypatruje się, potem sobie szczotką po pod nos przechodzi, jak gdyby wąsy gładził i znowu w zwierciadło pogląda p. k. m.)* Dziwna rzecz, z lewej strony rzadsze! *(chowa szczotkę do kieszeni)* Teraz więc świat

rozkoszy, o którym tyle nad książką marzyłem, stoi przedemną otworem! Miłość, konie, polowania! Wszystkie szczęścia razem. (*przybierając minę sztywną*) Tylko nie okazujmy zbytnej radości; trzeba pamiętać że jestem mężczyzną. (*p. k. m.*) Główna rzecz miłość. Ułożmy zatem najprzód plan kampanii. Okolica w piękne kobiety bogata. Od której zacząć? (*p. k. m.*) W Stebnowie ma być ładna żona notaryusza. To bagatela. Przejadę się parę razy konno po przed jej okna, ona się zadziwi, męża pewno nigdy na koniu nie widziała, będzie ciekawą wiedzieć kto jestem. Konia zepnę, ona się przełęknie, wypuszczę, zwrócę, na miejscu osadzę i rzecz skończona. Nic łatwiejszego. (*p. k. m.*) W Borowej Woli są trzy panny, zobaczymy; lecz tam będą zaraz myśleli, że się chcę żenić... Zresztą nie jest to jeszcze to, czego ja chcę. Mnie wypadaloby coś takiego zrobić, żeby się odrazu w opinii świata postawić, żeby ta wieść i po Krakowie i po Lwowie piorunem runęła, żeby nawet w Resursie o tém mówiono (*p. k. m.*) Ale cóżby to wymyśleć? Wykraść którą? Gdzież ją zawiozę? Zamku swego nie mam, pieniędzy na podróż także nie mam. Trzeba temu dać pokój. (*p. k. m.*) Gdyby jaki pożar! Mógłbym kochankę z płomieni wyratować... lecz zkadże go tu wziąć? Sam przecie domu podpalić nie mogę. (*p. k. m.*) Ha! już wiem, nasz sąsiad... jakże się nazywa... no... ten agronom... co piękne bydło chowa... ma żonę młodą, ładną... wyzwę go na szpady!

---

## SCENA II.

Franio, Amelka.

Amelka

*(wbiega z lewej strony w głębi, nie widząc Frania).*Franio przyjechał! Gdzież jest? *(sposstrzega go)* A!...Franio *(sposstrzega ją).*

A....

Amelka *(zmieszana).*

Przepraszam... myślałam...

Franio *(trochę zmieszany).*

Przepraszam...

Amelka.

Pan Franciszek przyjechał...

Franio.

Przyjechałem dziś w nocy... *(na stronie)* Kto to taki?

Amelka.

Ciocia śpi jeszcze.

Franio *(na stronie).*Amelka! *(głośno)* Ja panny Amelki nie poznałem.

Amelka.

O, ja pana Franciszka odrazu poznałam, ale się nie spodziewałam...

Franio *(prostując się).*Tak, nie prawda? Wiek człowieka zmienia. *(na stronie)* Bardzo ładna, — lalkę spałę. *(głośno)* Ale i panna Amelka wyrosła.



**Amelka.**

Wiem, wiem, jeszcze wczoraj zakładkę u sukni spuściłam.

**Franio** (*na stronie*).

Dziecko!

**Amelka.**

Mnie się jednak zdaje, że jestem zawsze tą samą Amelką. Żebyś pan wiedział, jak my się tu wszyscy pana przyjazdem cieszyli.

**Franio** (*na stronie*).

Dziecko, ale ładne dziecko; pokażmy się od razu. (*głośno*) Ja także kontent, że wypocznę czas jakiś z gwaru wielkiego miasta. Zresztą u nas w Krakowie teraz pusto: wszyscy się po wsiach porozjeżdżali. Nie ma zupełnie domów, salony pozamykane. Człowiek prawdziwie nie wie, gdzie wieczorem dostać filiżankę herbaty.

**Amelka.**

Doprawdy? W Krakowie tak trudno o herbatę? My tu mamy doskonałą.

**Franio** (*z uśmiechem politowania*).

Dosłownie tego brać nie trzeba. Rozumiem pod tem, że to jest pora roku, w której całe towarzystwo opuszcza miasto. *La morte saison*. Dopiero za dwa, trzy miesiące zaczną się zjeżdżać.

**Amelka.**

Wtedy będzie wesoło.

**Franio.**

Jak dla kogo. Przyznam się, że mnie to wszystko już nie bawi.



Amelka.

Ale karnawał.

Franio.

Ach, o tém niech mi panna Amelka nie wspomina. Nie znam nic zmuenniejszego, jak te bale. Ścisk, gorąco, po nogach depcą; a te tańce, prawdziwa pańszczyzna. Właśnie na ostatnim stud... publicznym balu, gdzie byłem jednym z gospodarzy, mówiłem pani Leonowej, z którą tańcowałem, że chciałbym już przestać tańczyć, lecz nie robię tego po części dla towarzystwa, po części, żeby nie myślano, że się w starego bawię.

Amelka.

Ach, ja tak lubiłabym tańcować.

Franio.

Zupełnie się temu nie dziwię. Najprzód panna Amelka nie użyłaś tego, powtóre jesteś znacznie młodszą...

Amelka.

Zdaje mi się, że to nie sprzykrzyłoby mi się nigdy.

Franio.

I jak się sprzykrzy!

Amelka.

Pamiętasz pan, jak doskonale bawiliśmy się trzy lata temu na Cioci imieninach. Pozwolono nam tańcować do jedenastej. Pan profesor grał na fortepianie... *(na słowo: profesor, Franio się chmurzy, jak na niemiłe wspomnienie)* Pan ze mną wciąż tańcowałeś i w mazurze upadłeś. *(śmieje się)*.

Franio *(wrażony)*.

Byliśmy dziećmi. Nie mówmy lepiej o tém.

**Amelka.**

Tak jest, mówmy raczej o tém, co nas teraz czeka. Już cały plan ułożyłam. Zobacysz pan jak się będziemy bawić. Tylko mi dzień na wszystko nie wystarczy. Najprzód trzeba wstać bardzo rano...

**Franio.**

O, przeciwko temu protestuję. Ja lubię długo spać, i tylko dla jednego polowania...

**Amelka.**

Dobrze więc: wstaniemy o siódmej i zaraz wyjdziemy na spacer; codzień gdzieindziej. Mamy tu prześliczne spacery.

**Franio.**

Właściwie nie jestem wielkim amatorem spaceru. Po co, pytam się, chodzić parę godzin bez celu, ażeby wreszcie wrócić do tego samego miejsca, z kąd się wyszło, z tą jedną różnicą, że zamiast być świeżym i wypoczętym, jest się zgrzanym i zmęczonym.

**Amelka.**

Ależ my sobie zawsze jakiś cel znajdziemy. Ciocia bardzo lubi mieć świeże kwiaty na stole przy śniadaniu. Będziemy więc codzień po bukietach polnych kwiatów dla niej zbierali, a za naszym powrotem ona osądzi czyj piękniejszy.

**Franio** (*ironicznie*)

W istocie niewinna zabawka. Nie, ja o piękność bukietu konkurować nie będę i pierwszeństwo zupełnie panie Amelce odstępuję. Nie zwykłem kwiatami się bawić.

**Amelka.**

Dlaczego? Czyż może być coś piękniejszego od kwiatów? Zresztą nie wszystko jeszcze powiedziałam i chociaż to miało być niespodzianką, wydam tajemnicę. Na tych spacerach nie będziemy sami. Będziemy mieli kogoś z sobą. Nie pan nie zgadujesz? Więc powiem. Ułaskawiłam dla pana prześlicznego, białego baranka!

**Franio** (*parska śmiechem*).

A, na honor, to prawdziwa sielanka!

**Amelka** (*smutna*).

Myslałam, że Panu tém wielką przyjemność zrobię.

**Franio.**

Mnie podobne dzieciństwa oddawna z głowy wywiezły. Teraz lubię tylko konie, polowanie i kobie... i balet. Jedynie te trzy rzeczy zdolają mnie jeszcze rozerwać. Ale a propos koni, w jakimże stanie znajduje się teraz Cioci stajnia? Pewnie w złym. Założyłbym się, że słupki nieopłatanie słomą, uździenice bez galek. Antiquo more. Muszę to wkrótce zreformować. Jakież ma Ciocia konie?

**Amelka** (*coraz smutniejsza*).

Czyż pan nie pamiętasz naszych czterech szpakowatych klaczek?

**Franio.**

Co, te stare klacze jeszcze żyją? I wy niemi jeździecie? Może i stary, półkryty koczyk dotąd istnieje? Winszuję, piękny Ciocia ma ekwipaż; ja się nim pewnie w sąsiedztwie nie pokażę.

**Amelka.**

Ciocia boi się innemi końmi jeździć; zresztą nasze

pocziwe klaczki jeszcze doskonale wyglądają. Gdy stary Kasper niemi galopkiem zajężdża...

**Franio.**

Galopkiem! Czy kto kiedy coś podobnego słyszał! Zaprzężne konie galopkiem! hasałaj, hasałaj! Do tego brakowałyby tylko jeszcze kilkoro źrebiąt z dzwonekami!

**Amelka.**

A jest ich troje.

**Franio** (*z komiczną desperacją*).

Są! są! A co, nie mówiłem! troje!

**Amelka.**

Ależ one śliczne...

**Franio.**

Co tam śliczne! Któż na świecie jeździ ze źrebiętami za pojazdem! To rzecz niesłychana, niewidziana! I cóż tam więcéj jest oprócz tego?

**Amelka.**

Jest jeszcze młody, gniady koń, którego Ciocia dla pana kazała wziąć ze stada.

**Franio** (*pogardliwie*).

Arab?

**Amelka.**

Bardzo ładny konik, stary Kasper go ujeżdża.

**Franio** (*ironicznie*).

Stary Kasper, a to mi tęgi trener. Wszak on o angielskiem jeźdzeniu wyobrażenia nie ma. Pewnie konia na zadzie osadza, szyję mu wylamuje, — gdy u nas przeciwnie, wszystko na przodzie, — szyja prosta, długa, wyciągnięta... Czyż się godzi takim głupcówni...



**Amelka.**

Panie Franciszku, jakże możesz takiego wyrazu używać, mówiąc o Kasprze. Przecież on cię pierwszy na konia wsadzał.

**Franio** (*trochę zmieszany*).

Prawda... ale malca na koniu utrzymać niewielka sztuka, to jeszcze nie dowodzi.... Zresztą dajmy stajni pokój: ja to inaczej urządzę.... (*z fanfaronadą*) Ale powiedz mi panna Amelka, jaką tam macie piwnicę, bo ja bez wina....

**Amelka.**

My wina nie pijamy, ale wiem, że Ciocia jakieś wino sprowadziła.

**Franio.**

To dobrze, bo ja piję, bardzo dużo piję.... Dwa razy się nawet upiłem, pomimo że mam djable mocną głowę. Raz, jakby dziś pamiętam, wypiliśmy w siedmiu wazkę ponczu, drugi raz....

**Amelka.**

O Boże, Boże, co też Ciocia o tém powie?

**Franio** (*przestraszony*).

Ciocia? (*miarkując się*) No, cóżby wreszcie miała powiedzieć? Czyż nie zdałem matury?

**Amelka.**

Tak, ale...

**Franio.**

Kobietom się to zawsze straszném wydaje, co dla nas mężczyzn jest życiem codzienném. Wesołe śniadanie, obiad, kolacya, korki strzelają, szkło brzęczy, wino



się leje. . . . Tak od rana do nocy, od nocy do rana.  
To mi życie.

**Amelka** (*bardzo smutna*).

Takiego pan u nas nie znajdziesz; a to, które my dać możemy, jak widzę panu się nie podoba. Jednak proszę pana, nie okazuj tego Cioci, bo ona tylko w tej myśli pracuje, że to dla pana, i wtedy się tylko cieszy, gdy mu przyjemność zrobić może.

**Franio** (*rozczulony*).

Pocziwa, kochana Ciocia! (*przybierając znowu ton sztywny*) Bądź panna Amelka zupełnie o to spokojna; wiem jak się mam zachować!

**Amelka.**

Jeszcze jedną mam prośbę. Ciocia chce panu tym koniem niespodziankę zrobić, niech pan udaje, że pan nie o tym nie wie.

**Franio** (*z powagą*).

Nie zawiodę położonego we mnie zaufania, gdyż umiem zachować tajemnicę. (*z dumą*) Gdy się stryjeczny brat szwagra jednego z moich koleg. . . . przyjaciół z rotmistrzem od dragonów miał rąbać, wiedziałem o tym. . . .

**Amelka.**

I nie przeszkodziłeś pan temu?

**Franio.**

Ja? Za kogo mnie panna Amelka masz? Sprawa honorowa rzecz święta. Gdzie jest obraza, krew płynąć musi. Ona jedna plamę na honorze zmyć może i nikt wtedy niema prawa w tę rzecz się wdawać, wyjąwszy

sekundantów, których jest obowiązkiem, zrobić zgodę niemożliwą. Gdyby mnie się byli poradzili, obaj byliby trupem polegli. Oni zaś dali sobie rendez vous na Bielanych, przyjechali tam do dnia, dobyli z pojazdu pałasze, (*zapalając się*) zdjęli surduty, stanęli naprzeciwko siebie, (*staje en garde*) i gdy trzeba było kluć i rąbać na śmierć. . . . (*wymachuje ręką, jak gdyby się fechtował idąc na Amelkę, która się cofa przestraszona*).

**Amelka.**

Cóż?

**Franio** (*ostygając nagle z zapatu*).

Pogodzili się.

**Amelka.**

Ach, jak to dobrze!

**Franio.**

Pheu! Ze mną inaczej byłaby się rzecz miała. Zgody nie rozumiem, nie przypuszczam. Pif, paf, i rzecz skończona.

**Amelka** (*na stronie*).

To człowiek straszny!

**Franio** (*kontent z wrażenia które zrobił*).

Lecz nie chcę pannę Amelkę daremnie straszyć. Słyszałem, że tu są błota, — bekasy, kaczki. . . . Przywiozłem z sobą amunicją, mam kul cztery tuziny, bo kto wie, z czém się czasem spotkać można. Zanim się Ciocia obudzi, przygotuję sobie to wszystko, gdyż radbym dziś jeszcze rozpocząć polowanie. Zatém kłaniam. (*Kłania się zlekka i odchodzi do pawilonu nucąc sobie nutę: „Śród opok i jarów“*).

## SCENA III.

Amelka (*sama*).

O Boże, Boże! Cóż to się z niego zrobiło! Śniadania, kule, pojedynki, wazka ponczu! To okropne! On, dawniej taki łagodny, taki grzeczny! Mnie się na płacz zbiera. (*płacze*) Ja się jego przyjazdem tak cieszyłam, tak go wyglądałam! Tak piękne projekta porobiłam! Ja go tak.... (*płacze*) Parę tygodni temu siedziałam z robótką w małym gabineczku. Ciocia z panią Pytlewiczową mówiły w drugim pokoju. Drzwi były odchylone. Przypadkiem słyszałam jak Ciocia mówiła: „Gdy Franio zupełnie nauki ukończy, sprowadzę go tu na wieś. Niechaj chłopiec pracuje, niech się pod moim okiem wprawia do gospodarstwa. Później go ożenię“. Dalej rozmawiały ciszej, ale wyraźnie słyszałam, jak Pytlewiczowa moje imie wymówiła. Coś mnie okropnie za serce ścisnęło, w oczach mi się zaćmiło, ale to było przyjemne, i od tej chwili już tylko wciąż o Franiu myślałam. (*p. k. m.*) A teraz, o Boże, Boże! pojedynki, wazka ponczu! (*płacze*) On może nałogowy? (*z przestraszeniem*) Może on już kogo zabił! (*tragicznie*) Żoną być zabójcy! Nigdy! Wszystko więc stracone, i ja... ja... (*szlochając*) jego żoną już nie będę (*kładąc rękę na sercu*). Ach, jakże mnie tu ciśnie! (*p. k. m.*) Gdyby przynajmniej wiedział, jaką mi przykrość zrobił. Ale nie, on taki światowy, śmiałyby się może ze mnie. Umarłabym ze wstydu. Wszak niedawno czytałam w historii rzymskiej, że Lukrecya się zabiła, bo jej Sextus swą miłość niegrzecznie wynurzył. Cóż dopiero być wyśmianą, wzgardzoną! O nie, nie, raczj umrzeć! Będę go unikała,

nie spojrzę na niego i... i... nigdy za mąż nie pójdę.  
(*odchodzi na lewo płacząc.*)

---

## SCENA IV.

**Franio** (*sam*).

(*Wychodzi z pawilonu trzymając w ręku strzelbę i wielką nową torbę myśliwską*)

**Franio.**

Jakże duszno w pokoju! Wolę sobie tutaj porobić ładunki. (*oglądając się*) A, już jej niema. (*idzie do małego stolika na lewo, strzelbę opiera o drzewo, torbę rozkłada na stoliku tak, żeby jej pas po jego stronie trochę ze stolika wisiał*) Tak, tutaj mój warsztat myśliwski założę. (*wyjmuje z torby ładunki, rożek, pulwersak i pakuły*) I to się kobietom podoba! Te przygotowania mają w sobie coś rycerskiego. Bierzmy się do roboty. (*robiąc ładunki*) Mało dawać prochu... nie, dużo dawać prochu, mało szrotu, w tém sekret. Myślałem, że ją tu jeszcze zastanę. Gdzież szrót podziałem? Aha! Właściwie dlaczego mało szrotu? Mówią, że gdy go dać za wiele, strzelba trąca, lecz z drugiej strony, słyszałem od starego myśliwego przysłowie: „Garścią syp, garścią zbieraj“. Sypmy więc, a trąci, mniejsza o to. (*p. k. m.*) Nie do uwierzenia, jak się te dziewczęta zmieniają. Ta mała Amelka, to dziecko, wyrosła, wyładniała; wcale, wcale przystojna dziewczyna z niej się zrobiła. (*sypiąc szrót do ładunku*) Trąci, niechaj trąca, byle rezultat był dobry. (*p. k. m.*) Muszę sobie przyznać, że kontent z siebie jestem. Widoczne na niej wrażenie zrobiłem. Zadziwiłem ją, olśniłem, na-



wet... prochu przesadziłem... trochę ją przestraszyłem. Nie to nie szkodzi. Paul de Kock gdzieś powiada, że u kobiet... tylko jeden krok od bojaźni do miłości. (p. k. m.) Jakie to jeszcze naiwne! Spodziewała się we mnie znaleźć... szrót bekasi... (wybiera ziarenka) tego samego Frania, który się z nią dawniej bawił, zastała... zły pakuł... (odrzuca go) ukończonego mężczyzną. (p. k. m.) Ładny ma uśmiech — i ząbki ma ładne. (upuszcza ładunek) Bodaj cię diabli wzięli! (podnosi go) Z jaką radością do mnie wybiegła; — figurka zgrabna, nóżka... nóżki nie widziałem, ale musi mieć ładną nóżkę (mówiąc to trzyma w lewej ręce ładunek, prawą sypie proch z rożka obok na stół) Gdy mnie zobaczyła, zmieszała się, zarumieniła, oczki spuściła na dół... (sposstrzega się że wszystek proch wysypał) Cóż ja u licha robię! (chce zgartywać) Czémby go tu zgarnąć. (szuka czegoś w torbie, powoli się zamyśla) Śliczne ma oczy. (odchodzi od stolika) W niej dalej jest coś, nie wiem co, ale coś prawdziwie uroczego. (stopniowo się rozczuła) Tak, widać w niej było radość. Twarzyczkę miała rozpromienioną, Jak ciekawie przysłuchiwała się temu, co mówiłem; jak się temi dużemi niebieskimi oczami we mnie wpatrywała. Jej usteczka tak pięknie się uśmiechały. (p. k. m.) Lecz potem posmutniała, na końcu zdawało mi się nawet widzieć jakby łezkę w oku. (z gniewem) Głupi! Zmartwiłem ją! Nie dosyć serdecznie się z nią przywitałem; krytykowałem wszystko, prawdziwie byłem rubasznym. (rozczulając się) A ona taka dobra, taka miła, zapomniała o sobie, by tylko o Ciotce pamiętać! Z jaką anielską dobrocią wymówiła te słowa: „jednak proszę pana, nie okazuj tego cioci“... Prosiła mnie, a ja na to nawet nie zważałem, jednego dobrego słowa dla niej nie znalazłem. Biedne, pocziwe serduszek. Urazi-

łem je, zdeptałem. *(zaciskając pięści)* Bodajżebym... *(zapalając się coraz bardziej naprzemian z gniewem lub rozczuleniem)* A przecież ja ją kocham; krew, życie oddałbym za nią. *(p. k. m.)* I nie dość na tém, nie dość, że byłem niedobrym, zimnym, obojętnym, musiałem ją jeszcze przestraszyć! Z drżeniem, jakby błagając złożyła cudne ręczęta, a ja który powinienem być jej opieką, tarczą, rycerzem, uciechę w tém znalazłem. To niegodnie! Serce dałbym sobie wypruć, żebym tego nie był zrobił. *(p. k. m.)* Czyż takiem powinno było być nasze przywitanie? Wtedy gdy ona do mnie wybiegła, nie byłoż mnie skoczyć ku niej? Serca nasze byłyby się od razu zrozumiały. *(z wzrastającym zapalem coraz prędzej)* Ona byłaby się zatrzymała, ja byłbym ją chwycił za ręce; ona byłaby się opierała, ja byłbym ją przyciągnął do siebie; ona byłaby szła powoli za mną, ja byłbym ją pod to drzewo przyprowadził; ona byłaby usiadła, ja byłbym ukląkł przed nią; ona byłaby się wzbraniała, ja byłbym ją o wyznanie miłości błagał; ona byłaby się ku mnie pochyliła, ja byłbym z jej ust usłyszał:

„Czy Amalja cię kocha? Mój drogi mój miły!  
Więcej niż kochać wolno i niż mogą siły“.

Biegnę, lecę, padnę jej do nóg, powiem, że to był szal! Niech tu przyjdzie. Zobaczysz że ją kocham, ubóstwiam, że bez niej żyć nie mogę! Amalio! droga, kochana Amalio! *(odwraca się i chce biegnąć na lewo do ogrodu. Gdy ostatnie słowo wymawia, Amelka zamysłona pokazuje się w głębi po lewej stronie sceny tak, jak gdyby szła z ogrodu ku terassie. Usłyszawszy ostatnie słowo, zatrzymuje się ze spuszczonei oczyma).*

## SCENA V.

**Amelka, Franio.****Amelka** (*zimno*).

Pan do mnie mówiłeś?

**Franio** (*zatrzymuje się i miesza*).Ja? To jest nie... właściwie tak... mówiłem...  
pani... pani wracasz ze spaceru?...**Amelka** (*na stronie*).Pani! (*głośno*) Chodziłam trochę po ogrodzie.**Franio.**

Chciałem.... Dziś bardzo pięknie....

**Amelka.**

Później będzie gorąco.

**Franio.**Gorąco, a tak... tak... gorąco.... już teraz...  
uf... (*na stronie*) Żeby jedna myśl!**Amelka** (*wciąż ze spuszczonei oczyma*).

Ciocia wkrótce się obudzi...

**Franio.**O, pewnie się obudzi... (*Amelka patrzy na niego zdziwiona, on się miesza coraz bardziej*) To jest, ja myślę... czemużby nie miała się obudzić.... bo zwykle po nocy dzień się robi... ludzie się budzą.... więc może i Ciocia z nocy dzień zrobi... (*Amelka parska śmiechem. Franio na stronie*) Ona się śmieje!

**Amelka** (*odwracając się by śmiech ukryć*),

Godzina śniadania nadchodził, muszę pójść robić herbatę. (*Robi parę kroków ku terassie*)

**Franio** (*za nią składając ręce*).

Pani! (*Amelka się zatrzymuje i powoli wraca*) Ja miałbym pani tyle do powiedzenia... ja chciałbym pani powiedzieć, że... że prosiłem starego Jana, żeby Cioci nie nie mówiono.... prosiłem starego Jana.. (*na stronie*) Ani rusz!

**Amelka.**

Żeby?

**Franio.**

Nie, nie, nie to chciałem powiedzieć, lecz że... się z panią nie przywitałem.

**Amelka.**

Jakto?

**Franio.**

To jest przywitałem się, ale nie tak, jak przywitanie....

**Amelka.**

Zrozumieć nie mogę...

**Franio.**

Przecież to jasne: przywitanie między nami nie jest przywitaniem takim, jakim przywitanie.... (*na stronie*) Brnę coraz więcej. (*głośno*) Chciej mnie pani tylko chwilkę posłuchać, zaraz mnie pani zrozumiesz. Oto naprzykład tak. Wyobraź sobie pani, że jesteś fortecą, a ja nieprzyjacielskim generałem....



**Amelka** (*wrażona*).

Pan chcesz się ze mną w żołnierzy bawić? Przepraszam, te czasy minęły. Nie jestem już tak małą....

**Franio.**

Ależ to metafora!

**Amelka.**

Ja téj gry nie znam i bawić się nie będę.

**Franio.**

Lecz pozwól pani...

**Amelka.**

Nie chcę, nie chcę i nie będę. Proszę mi nawet nie mówić o tém. (*robi parę kroków ku terassie*).

**Franio.**

Dobrze więc, ale... może poszlibyśmy zobaczyć baranka?

**Amelka** (*wracając z radością*).

Chciałbyś pan widzieć... (*miarkując się*) O nie, pana to nudzi, nie chcę jego grzeczności nadużywać.

**Franio.**

Nadużywać! Wcale nie, prawdziwie, na honor, — w pierwszej chwili... zdawało mi się... ale rozmyślałem, pomiarkowałem, przekonałem się, że bardzo, bardzo lubię baranki.

**Amelka** (*na stronie*).

Może on sobie ze mnie żartuje? (*głośno*) Wszakże pan dopiero mówiłeś, że to dziecinne, śmiałeś się pan z tego, i w saméj rzeczy miałeś zupełną słuszność. Dajmy temu pokój.

**Franio.**

Więc chodźmy na spacer.

**Amelka.**

Zmęczyłbyś się pan daremnie, a ja właśnie wracam ze spaceru.

**Franio** (*z zapątem*).

Ja miałbym się zmęczyć przy... przy tak pięknym poranku, gdy słońce grzeje jak księżyc! Czy może być coś przyjemniejszego, jak chodzić razem po brzegu drzew, w cieniu strumyka... (*Amelka parska śmiechem*) Pani się znowu śmiejesz, bo nie wiesz, ile ja cierpię, przez jakie męczarnie przechodzę. Nie wiesz, co to jest mieć serce przepełnione, a niemóźdz słowa wymówić.

**Amelka.**

Ja pana nie rozumiem.

**Franio** (*ze złością*).

Albo mnie pani nie chcesz zrozumieć, nie chcesz odgadnąć tego słowa...

**Amelka.**

Ależ jakiego słowa?

**Franio.**

Słowa, od którego moje życie zawisło, które mnie pali, serce mi w głowie zamaça, myśli wirem w pierśsiach rozsadza!

**Amelka** (*na stronie*).

Ja się bać zaczynam.

**Franio.**

O, mnie rozpacz porywa! Czuję, że oszaleję, albo się zabiję, a przecież tego słowa wymówić nie zdołam! Pani! (*robi krok ku niej, ona się cofa przelękniona*).

**Amelka** (*na stronie*).

Ja ucieknę, on szaleje.

**Franio.**

Dłużej nie wytrzymam (*chwilkę zdaje się z sobą walczyć, potem puszcza się ku niej krzycząc, jakby na stronie*)  
Śmiało!... Drogi aniele!

**Amelka.**

O Boże! On oszalał! (*ucieka w głąb na lewo*).

## SCENA VI.

**Franio** (*sam*).

(*pobiegłszy parę kroków za nią staje*)

Uciekła! Wyśmiała mnie i uciekła! (*wraca desperacko ku stolikowi*) Nie chciała mnie zrozumieć! Co sobie teraz o mnie pomyśli? Godzinę przedemną stała, a ja trzech słów zebrać nie mogłem, ja, co tyle mam jej do powiedzenia! Teraz myśli hurmem mi się naciskają. Czyż było co łatwiejszego, jak wziąć ją za rękę (*bierze pas od torby*) klęknąć przed nią, (*klęka przed stolikiem*) powiedzieć: Droga Amelko! Ja cię kocham! Tobie serce i duszę oddałem! W tobie szczęście i nadzieję życia położyłem! Od lat wielu nie marzę, tylko o tobie! Myśli jednej nie miałem, która nie by-

łaby tobą. Tyś jest mojem życiem, szczęściem, nadzieją, wszystkiem! O, błagam cię, zaklinam, wymów to słowo, to jedno słowo, które mi tyle szczęścia dać może, powiedz, że mnie kochasz! (*porywa obydwoma rękami pas torby i całuje go namiętnie*) A ja! (*zrywa się, ściga torbę na ziemię*) stałem przed nią jak student! W oczy mi się roześmiała! Nie, tej hańby nie przeżyję! Zresztą nic innego mi nie pozostaje. Skompromitowałem się, okryłem przed nią śmiesznością, ona mnie już kochać nie może! Skończyło się, niech się mój los spełnia, odbiorę sobie życie, to nędzne, stroskane, skołatanе życie! Zabiję się! (*p. k. m.*) Ale jak? (*chodzi zamyślony*) Pchnąć się sztyletem? To kole. — Wskoczyć do rzeki? Umiem pływać. — Topielec tak brzydko wygląda. Nie chcę. Otruć się? Arseniku aptekarz mi nie sprzeda... mógłby dać... (*grozi z gniewem pięścią, jakby w stronę miasta*) Zastrzelić się? To mnie zeszpeci. Nie zniósłaby mego widoku. Z tego wszystkiego nic mi się nie podoba. Chciałbym coś takiego, żeby mnie przyniesiono do domu bez innej oznaki śmierci, prócz bladeści licca. — Głowa nieco w tył pochylona, włosy wolno w pukle spadające, jedna biała ręka z pod czarnego płaszcza opuszczona, druga na piersiach. Tak byłoby dobrze. Ona wybiegłaby z płaczem, padła przy mnie na kolana i chwyciła wiszącą rękę. Wtedy otworzyłbym zbolalą źrenicę... a, nie; już nie mógłbym otworzyć oka. (*p. k. m.*) Jakżeby to zrobić? Aha! Już go mam! Zabiję się z konia, kark sobie skręcę, (*z ukontentowaniem zacieraając ręce*) tak, kark sobie skręcę. To myśl przepyszna! I nowa! Nikt sobie dotąd z miłości karku nie skręcił! — Ja więc pierwszy z kochanków... Ale hola! Mogłaby myśleć, że to przypadek, że źle na koniu jeździłem; napiszę do niej. — Tak bę-



dzie przynajmniej wiedziała, co we mnie traci, będzie moją pamięć kochała. *(wyrzywa z pularsesiku kartkę, i dobywa portecrayon, który na jednym końcu pióro, na drugim ołówek mieć powinien)* Nie, — takie rzeczy ołówkiem się nie piszą: krwią napiszę! *(szuka po wszystkich kieszeniach scyzoryka)* Gdzież, u licha, scyzoryk podziałem? Otóż jest. *(dobywa i otwiera scyzoryk)* Gdzieżby się tu pchnąć? *(patrzy po sobie, jak gdyby szukał miejsca do zadania sobie rany, nareszcie kiwa głową, niby już wie, odwijając lewą mankietkę; półgłosem)*: Żeby gdzie na żyłę nie natrafić. *(daje sobie lekkie cięcie powyżej kostki)* Aj! *(rzuca scyzoryk i chwytając się za rękę, potem jej się przypatruje)* Cóż u licha, niema krwi? Aha! już występuje, piszmy, *(zbiera ostrożnie krew piórem i pisze)* „Drogi Aniele!“ — Jak to piecze. — „Ubóstwiona Amelko! kochałem cię nad życie, umieram...“ Skrzepła. — Niech i tak będzie, to wystarczy. Tutaj znajdzie. *(kładzie kartkę na stoliku)* Mógłby wiatr zdmuchnąć *(przyciska brzeg różkiem)* A teraz idźmy się ubrać, tak przecie zabić się nie mogę! *(woła za kulisy na prawo w głąb)* Kasprze, osiodłaj mi konia! *(wychodzi do pawilonu)*.

## SCENA VII.

Amelka *(sama)*.

*(Wchodzi z lewej strony, bardzo niespokojna, oglądając się na wszystkie strony)*

Jestem tak niespokojną, muszę go widzieć. On mówił nie do rzeczy. Może go to już minęło. Może chory.

Może to tylko gorączka, przeziębienie. Gdyby się dał namówić pójść do łóżka, napić się trochę lipowego kwiatu... Niepowinnam była odejść; ale mnie taki strach ogarnął, że się dopiero w moim pokoju opamiętałam. Właściwie on w obłąkaniu nie był straszniejszym, z początku mówił nawet łagodnie, tylko tak, jak gdyby go febra trzęsła. O Boże! Boże! ileż to nieszczęścia ten Kraków narobił! Co powie Ciocia, gdy się obudzi? Właśnie dzisiaj, jakby na złość śpi dłużej, niżeli kiedykolwiek. — Biedny, biedny Franio! Lecz co za powód obłąkania? Może ten poncz, — ale nie, wtedy byłby złym, chciałby się pojedynkować, a on taki był dobry. Widocznie cierpiał, ocierał pot z czoła, mówił że mu gorąco. Chciał się ze mną witać, miał mi coś powiedzieć. Tylko wtedy był straszniejszym, gdy przyskoczył do mnie i krzyknął: „Śmiało, drogi Aniele!“ *(p. k. m.)* Drogi Aniele! Wszak on to do mnie mówił, ale dlaczego śmiało? Coś mu się w głowie przewróciło. Gdyby do mnie mówił, byłby powiedział: „Moja droga Amelko!“ A przecie, — kto wie? Powiadają, że były wypadki, iż ludzie z miłości zwaryowali. Ale nie; rano ani spojrzął się na mnie. Ja mu to nawet za złe miałam, z kąźeby tak raptem... Jednak jego oczy... Tak czule patrzył się na mnie... Ach, jakążby to była szkoda! *(chodzi zamysłona)* To może byłoby do wyleczenia, żeby tylko wiedzieć... *(podnosi oczy i patrzy na prawo naprzód sceny za kulisy, jak gdyby tam coś zobaczyła)* Ha! zaraz się dowiem *(wybiega na prawo)*.

## SCENA VIII.

**Franio** (*sam*).

*(wychodzi z pawilonu w kapeluszu z szerokimi kryzami w płaszczu almawiwa, opięte białe spodnie, buty po kolana z ostrogami, w ręku trzyma pręcik; mówi tragicznie).*

Za parę minut wszystko się skończy. — Rozstanę się z tém życiem, w którym od kolebki do grobu nie zaznałem szczęścia. (*p. k. m.*) Gdy nawet w dziecinne me lata rzućę okiem, wszędzie widzę łzy lub bolesne wspomnienia. (*wskazując na dom*) Tam nad fortepianem płakałem. (*wskazując na ławkę*) Na tej ławce... (*robi prętem znak uderzenia*) Cóż dopiéro, gdy doszedłem lat mężkich! Raz tylko jeden kochałem, jednej me życie oddałem, i ta mnie wyśmiała, mną wzgardziła! Kończmy więc. — Jeden skok, a będę z tamtęj strony. Amalio, bywaj zdrowa! (*wychodzi dużym krokiem na prawo w głębi po za pawilon*).

## SCENA IX.

**Jan** (*na terassie*), **Amelka**.

*(Jan wychodzi z domu na terassę z samowarem. Widział Frania wychodzącego. Podczas dwóch następujących scen nakrywa do śniadania na terassie, przypatrując się z pod oka z uśmiechem Amelce i Franiowi. Amelka wchodzi, trzymając w ręku pęk stokrotek, z których jedną powoli oskubuje. Nie widzi Jana).*

**Amelka**.

Trochę, bardzo, szalenie, wcale nie... kocha, trochę, bardzo, szalenie, wcale nie! (*rzuca stokrotki na zie-*

*mię*) Ostatnia nadzieja stracona, on mnie nie kocha, on nigdy rozumu nie odzyska. (*zakrywa sobie chustką oczy i robi parę kroków ku stolikowi, trąca nogą torbę*) Co to jest? Ten nieporządek! Tu się coś straszego działo. (*spozstrzega kartkę*) Kartka czerwonym atramentem pisana, jego pismo. (*porywa kartkę i czyta*) „Drogi Aniele!“ Zawsze ten sam wyraz. (*czyta dalej z radością*) „Ubóstwiona Amelko! kochałem cię nad życie, umieram!“ — Ach! (*spozstrzega na ziemi scyzoryk, upuszcza chustkę*) Otwarty scyzoryk! On się zabił! Leży gdzieś w klombie bez pomocy, bez ratunku! (*wybiega na przodzie na lewo*).

---

## SCENA X.

**Franio, Jan** (*na terassie*).

(*Franio wchodzi po prawej, którędy wyszedł. Bez płaszcza w opiętym surduciku, kapelusz na głowie zmięty cały, z jednej strony powalany; zdekoncertowany, trochę kuleje*).

**Franio.**

Nie zabiłem się! — Ale kozła wywróciłem tegiego! Na dzisiaj będzie dosyć! — Ten koń chociaż nie angielski, ma krzyż diabła mocny. — Któż mógłby się tego spodziewać. Skoro mi go podano, wskoczyłem na niego, spałem ostrogami i wprost na płot wypuściłem. Stary Kasper krzyczał za mną, lecz ja wiedziałem co robię. W kilku susach byłem przy płocie. Dojeżdżając, je-



szcze lepiej naprzód się podaję, silniej konia pociskam, lecz on zamiast skoczyć, zaczepić i z tamtej strony się wywrócić, staje jak wryty. Ja sam przez płot przeleciałem. — Nic mi się nie stało. — On pobiegł paść się na koniczynę. — O, mnie nieszczęście nigdy nie opuszcza! *(zakłada ręce na piersiach i chodzi wszczeg ze spuszczoną głową; spostrzega stokrotki)* Co widzę? Te stokrotki, ten ślad nóżki na piasku?... *(idąc za śladem znajduje chustkę)* To ona! Ona kwiatka się pytała, czy ją kocham! Amelko! droga, kochana Amelko! *(wybiega na przodzie na lewo).*

---

## SCENA XI i OSTATNIA.

**Pani Dorska, Jan, Amelka i Franio** *(naprzemian).*

*(Amelka wbiega z lewej w głębi i przebiega scenę. Skoro się za kulisy schowała, Franio wbiega z przeciwnej strony trochę kulejąc i tak parę razy w różnych kierunkach przebiegają scenę, zawsze tak, żeby się ani widzieć, ani spotkać nie mogli. Pani Dorska wychodzi z domu na terasę. Jan jęj coś pocichu opowiada, pokazując to na Amelkę, to na Frania. Zatyka sobie gębę żeby się nie śmiać. Nareszcie Amelka wbiega z prawej, Franio z lewej strony sceny).*

**Amelka i Franio** *(razem).*

Ach! *(Biegną do siebie z wyciągniętymi rękami, spotykają się na środku sceny. Franio ją chwyta za obie ręce i całuje je).*

**Pani Dorska** (z terassy).

**Janie, dawaj śniadanie! —**

*(Franio i Amelka się rozskakują. Pani Dorska schodzi z terassy z otwartemi rękoma. Franio i Amelka po krótkim wahaniu się biegną ku niej. Ona jedną ręką obejmuje Frania za szyję i w czoło go całuje. Amelka chwyta ją za drugą rękę i przykleka. Zastona spada).*

KONIEC.

# Drzemka Pana Prospera.

KOMEDYA

W CZTERECH AKTACH, WIERSZEM,

PRZEDSTAWIONA PORAZ PIERWSZY WE LWOWIE

dnia 10 Stycznia 1866 r.





LEOPOLDOWI hr. STARZEŃSKIEMU

W DOWÓD

SZCZERĘJ PRZYJAŹNI I JAKO PAMIĄTKĘ

NASZEGO KOLEŻEŃSTWA

tę pracę poświęcam.

JAN ALEXANDER FREDRO.

## OSOBY.

---

PAN PROSPER BRONA, majątny obywatel (lat 40).

MARYA, jego żona (lat 21).

BARON de WARTGELD, były dyplomata (lat 50).

JULIA, jego żona (lat 23).

ALFRED DARSKI (lat 28).

FLORESTAN BŁAWATKIEWICZ (lat 30).

ROTMISTRZ DAMAZY POSZTURSKI (lat 34).

IRENA BELMANI, śpiewaczka (lat 24) primadonna.

PAMELA, jej służąca.

RÓZIA, służąca Maryi.

SŁUŻBA.

Rzecz dzieje się w stołeczném mieście.

# DRZEMKA PANA PROSPERA.

## AKT I.

Teatr przedstawia elegancko umeblowany salon w hotelu. Drzwi środkowe w głębi. Po prawej i po lewej drzwi boczne. Na przodzie sceny po prawej okno, małe biurko i fotel; po lewej kanapa, przed nią stół przykryty dywanem, na nim parę książek, koszyk z damską robótką, wazon z bukietem, srebrny dzwonek i t. d.

## SCENA I.

**Pan Prosper, Alfred.**

*(P. Prosper wprowadza prawie gwałtem Alfreda drzwiami środkowymi).*

**P. Prosper.**

Jak cię kocham nie puszczę, darmo się wymawiasz,  
I rad nierad wejść musisz, choć, panie, rozprawiasz,  
Że gdzieś w modnym kodeksie stoi napisano,  
Iż niewolno odwiedzać przyjaciół tak rano.  
By na miłą gawędkę złapać cię w przelocie,  
Po same kostki brnąłem w trzewikach po błocie.  
Twój pojazd mnie obryzgał, spotniałem jak w łaźni, —  
A ty się wzbranasz chwilkę poświęcić przyjaźni.

Dalibóg to nieładnie, powiem bez ogródki,  
I ja na twojém miejscu.... Napijesz się wódki?

Alfred.

Zawsze ten sam, poczciwy, serdeczny.

P. Prosper.

Mam gdańską,  
A może wolisz starkę, tak zwaną hetmańską?

Alfred.

Dziękuję, lecz tak wcześnie....

P. Prosper.

Wcześnie, jedenasta!

Te eleganty panie, osobliwsza kasta.  
Wódki o jedenastej napić się nie godzi,  
Kiedyż więc, u stu diabłów, wasze słońce wschodzi?  
Lecz skoro nie masz chęci, siłować nie będę,  
Ale sobie natomiast utniemy gawędę.

(*siedają*)

Bo radbym przecie wiedzieć, co się z tobą dzieje,  
In rebus politicis jakie masz nadzieje,  
Czy nie myślisz się żenić, co tam mówią w mieście,  
Co to był za komeraż przy ostatniej kweście,  
Czy Jaś wyzwał Gustawa o kłótnię w mazurze,  
Dlaczego już nie chodzisz w ułańskim mundurze?  
Czy było wiele osób na księżniczki ślubie,  
Może jaki skandalik? Ja to bardzo lubię.

Alfred.

Tyś się rodził prawdziwie na inkwizytora,  
Że tak gładko sto pytań sypiesz jakby z wora,



Szczyściem że odpowiedzieć na twoje badanie,  
Co do mojej osoby, nietrudne zadanie.  
Skoro pokój zawarto, służbę porzuciłem,  
Bo tak długo wdziek miała, jak długo się biłem.  
Co się tyczy małżeństwa, lepiej zdaniem mojem  
Śmiać się na cudzym ślubie, niż płakać na swoim.  
Zanim padnę ofiarą, trochę birbantuję,  
I podobno tam czasem gdzieś gospodaruję.

**P. Prosper** (*zrywając się*).

Co słyszę! Niech w objęciu kolegę powitam!

**Alfred.**

Co tydzień mam raporty, (*na stronie*) ale ich nie czytam.

**P. Prosper** (*uradowany*).

Jakże cieszyć się będzie okolica cała!

Cóż powiesz o kartoflach?

**Alfred** (*z roztargnieniem*).

Fiu, mierzwa szczerniała.

**P. Prosper.**

Hę? Mierzwa, powiedziałeś?

**Alfred** (*z wzrastającym roztargnieniem*).

Wygląda jak śmiecie.

**P. Prosper.**

Kartofle mają mierzwę! Co ten człowiek plecie!

**Alfred** (*ukrywając lekkie ziewanie*).

Nie chodzi tu o wyraz: mierzwa, plewa, kwiatek,  
Lecz mówię, że zły będzie z omlotu wydatek.

P. Prosper.

Dla Boga, mój Alfredku! Co też bałamucisz?  
Nać! Nać mierzwą nazywasz i kartofle młócisz!

Alfred (*śmiejąc się*).

Ależ bo ty mnie wzięłeś na egzamin diabli.

P. Prosper.

Masz tak gospodarować, dierz się raczej szabli,  
Jeśli, panie, posłuchać chcesz Prospera Bronę;  
A teraz dosyć tego, zawołam mą żonę.

(*odchodząc do drzwi na lewo*)

Ha, ha, ha, śmiać się muszę, to mi piękna praca!  
U niego nać jest mierzwą, kartofle wymłaca.

## SCENA II.

Alfred (*sam*).

Pocziwe Prosperzysko, serce ma na dłoni,  
Za oddaniem usługi całe życie goni;  
O sobie samym zawsze ostatni pomyśli;  
Złośliwej od kolebki nie miał jednej myśli.  
I cóż on na tém zyskał? Bronowłoki miano,  
I że zamiast go cenić, jeszcze go wysmiano.

Ot! (*kiwa ręką, potem parska śmiechem*) Ależ bo on  
[zawsze zdziwioną ma minę!

(*Różia wchodzi drzwiami w głębi niosąc elegancką krynolinę  
i przechodzi w głębi scenę idąc do drzwi na lewo*)

A! Cóż to za spodnica niesie krynolinę?

## SCENA III.

Alfred, Rózia.

*Alfred (biegnąc ku niej).*

Panienko, panienczko, chciej się wstrzymać chwilkę  
I w nieszczęściu mi pomóż pożyczając szpilkę;  
Właśnie gdy tu wchodziłem gdzieś mi wyleciała.

*Rózia (podając mu szpilkę).*

Proszę pana.

Alfred.

Dziękuję, — gdybyś jeszcze chciała  
Być tak dobrą, swą rączką przypiąć mi ją sama.

Rózia.

*(kładzie krynolinę na krzesło, oboje idą naprzód sceny)*  
Gdzież?

Alfred

*(siadając na krzesło koło kanapy i wskazując na krawatę).*

Tu.

*(Rózia zapina mu szpilkę, on ją trochę powyżej kostki  
w rękę catuje)*

Rózia.

Zadrasnę pana

Alfred.

Będzie piękna szrama.  
*(drugi raz ją catuje)*

*Rózia (z udanym gniewem).*

No, siedźże pan spokojnie, prawdziwie ukluję.

Alfred.

Czyż jestem niespokojnym? Ja tylko dziękuję.

Rózia.

Już teraz dobrze, kłaniam...

Alfred (*rozwiązując sobie szybko fontaź chustki*).

Węzeł się rozwiązał.

Rózia (*śmiejąc się*).

Możebyś go pan lepiej sam sobie zawiązał.

Alfred.

Moja droga panienko, jam taki niezgrabny,  
Zwłaszcza kiedy na uśmiech patrzę tak powabny.

Rózia (*zawijając mu chustkę*).

Lecz za to pan pochlebiać umiesz wysmienicie.

Alfred.

Nie, lecz co ładne lubię, jak niewinne dziecko.

Rózia (*śmiejąc się*).

Już to z pana dzieciątko... Lecz słyszę wołanie...

Alfred (*zastępując jej drogę*).

Natychmiast, tylko jedno jeszcze mam pytanie:  
Gdzież takie jak panienka dziewczęta się rodzą?

Rózia (*śmiejąc się*).

W Nieznanowie, gdzie żony mężów za nos wodzą.

Alfred.

To brylant, nie dziewczyna!

Rózia.

Ach, tam pani czeka!...



**Alfred.**

Jakto, bez pożegnania Panienska ucieka? (*bierze ją w pól*).

**Rózia** (*broniąc się*).

Ja się nigdy nie żegnam.

**Alfred.**

Więc do zobaczenia. (*całuje ją*)

(*Rózia porywa krynolinę i ucieka we drzwi na lewo*)

U każdej kokieterja ma inne odcienia.

---

## SCENA IV.

**Alfred, P. Prosper.**

**P. Prosper** (*wychodząc ze drzwi na lewo*).

Przepraszam żeś się znudził. Mam na głowie tyle,  
Żem zapomniał iż spędzasz tu samotne chwile.  
Wybacz. To roztargnienie martwi mnie i złości.

**Alfred.**

Ja się nigdy nie nudzę w takiej samotności.

**P. Prosper.**

Żona wnet do nas wyjdzie; wszakże znasz ją przecie?

**Alfred.**

Dawniej miewałem zaszczyt widywać ją w świecie,  
Gdy jeszcze z rodzicami na balach bywała.  
Jest to może znajomość trochę zastarzała,  
Więc przypomnij mnie, proszę...

**P. Prosper.**

Nie turbuj się wcale:  
Moja żona przezemnie zna cię doskonale;  
Lecz, jeśli mam z szczerością mówić niezmyśloną,  
Ona jest przeciw tobie trochę uprzedzoną.

**Alfred.**

Przeciw mnie?

**P. Prosper.**

Przeciw tobie.

**Alfred.**

Wszak nie zna mnie prawie.

**P. Prosper.**

Ależ gdyby cię znała, to me gardło stawię,  
Uprzedzenie by znikło.

**Alfred.**

Lecz jakie? Dlaczego?

**P. Prosper.**

Bo myśli że dla ciebie niema nic świętego,  
Gdy chodzi o miłostki. Żeś bez czei, ni wiary,  
Że bałamucisz, zwodzisz... zjadasz swe ofiary,  
Jednym słowem, że jesteś do gruntu zepsuty  
I boi się przykładu, choć jam ostro kuty.

**Alfred** (*ironicznie*).

O ciebie się więc boi?...

**P. Prosper** (*naiwnie*).

Czegożby się bała?

**Alfred.**

A tak, zapewne...

P. Prosper.

W tém jest tajemnica cała.

Gdyby więc jój przyjęcie zimnem było nieco,  
Upatruj w tém drażliwość, słabostkę kobiecą,  
Lecz nie chciej z tego względu do mnie mieć urazy,  
Gdyż ja wciąż jej powtarzam, nie raz lecz sto razy,  
Że jesteś szczerzy, prawy, szlachetny i dziarski.  
Ale otóż i ona. (*do wchodzącej Maryi*) Mój przyjaciel  
[Darski.

---

SCENA V.

Alfred, P. Prosper, Marya.

Marya (*wchodząc drzwiami po lewej, zimno*).

Miło mi jest powitać męża przyjaciela.

Alfred.

To do rannej wizyty jedno mnie ośmiela.

P. Prosper.

Ja swoje, a on swoje. Porzuć ceregiele,  
Między nami nie trzeba komplementów wiele;  
Ot siadaj sobie tutaj, przypatrz się mej żonie,  
Bo drugiej takiej niema w Litwie ni w Koronie.

(*Marya siada na kanapie, Prosper na krześle obok kanapy.*

*Alfred przysuwa sobie trochę fotel, który stał obok biurka  
i siada zachowując kapelusz w ręku).*

Marya.

Mężu...

**P. Prosper.**

Co prawda nie grzech, ja chwalić cię muszę.

*(do Alfreda)*

A co? Może nie ładna? A jaką ma duszę!  
Z kluczykami się krząta od rana do nocy,  
I nieraz w gospodarstwie doznam jej pomocy.

**Marya.**

Proszę cię...

**P. Prosper.**

W tém co mówię, nie widzę nic złego.

**Alfred** *(do Maryi)*.

I owszem, w nim człowieka poznać szczęśliwego.  
Prawdziwie, widzieć szczęście tak rzadkie zdarzenie,  
Że na każdym to miłe wywiera wrażenie.

**Marya.**

Jakież mamy widoki zabaw tego roku?

**Alfred** *(wesolo)*.

Będziem ponoś tańcować od zmroku do zmroku.

**P. Prosper.**

Jakto od...

**Alfred.**

Jeśli wolisz, od rana do rana.

**P. Prosper.**

I tak przez całą zimę, to rzecz niesłychana!

**Alfred.**

Ale ciesz się, przeciwnie, takim karnawałem.



Marya.

Wszak na to...

P. Prosper.

A... a... prawda, na to przyjechałem.

Marya.

Nie nas zresztą nie zmusza codzien bywać w świecie.

Alfred.

A, tej krzywdy nam państwo zrobić nie zechcecie.  
Tém więcej by się skarżył świat nasz zawiedziony,  
Że mówiono, iż macie otworzyć salony.

Marya.

Gdybyśmy dostać mogli dobre pomieszkanie...

P. Prosper (*zrywając się*).

Na wieki zapomniałem, to boskie karanie!  
A tu już wkrótce widzę nadchodzi dwunasta.

*(bierze kapelusz i laskę z biurka)*

Bywajcie że mi zdrowi, ja lecę do miasta.

*(do Alfreda, który wstał i wdziewał rękawiczkę)*

Trzy dni, wyobraź sobie, biegam jak najęty,  
I nie znaleźć nie mogę. Wasz ten bruk przekłęty  
Poodparzał mi nogi, jak gdyby żar, właśnie  
Mam pęcherz na pęcherzu, niech go piorun trzaśnie!

Alfred.

Za to dasz nam bal suty, gdy dojdiesz do celu.

P. Prosper.

Tak, dziękuję, tymczasem zedrą mnie w hotelu:  
Wszak to, panie, jest otchłań, w której pieniądz tonie!

Alfred (*kłaniając się Maryi*).

Pani...

P. Prosper.

Zostań, zastąpić mnie musisz przy żonie.  
Baw ją; tak mało dotąd u nas bywa ludzi,  
Ze gdy mnie w domu niema, biedaczka się nudzi.

Marya.

Wszakżem się na samotność nigdy nie skarżyła.

Alfred (*na stronie, urażony*).

To jest dosyć wyraźne.

P. Prosper.

Niedawność mówiła.

Marya (*do męża z pewną niecierpliwością*).

Może pan nie ma czasu.

Alfred (*na stronie z ironią*).

Tak!

P. Prosper,

Jemu czas tani.

On nie umrze z pracy.

Marya (*do męża z niecierpliwością*).

Lecz...

Alfred (*na stronie*).

Czekaj moja pani!

P. Prosper.

(*biorąc za ramie Alfreda i chcąc go na krzesle posadzić*).

A to istny latawiec, ciągleby się szastał!

**Alfred** (*spoglądając na Maryę jakby z zapytaniem*).  
Czy wolno?

**Marya** (*wskazując krzesło*).

Proszę.

**P. Prosper.**

Pomnij żebym cię tu zastał.  
(*odchodzi we drzwi środkowe*).

---

## SCENA VI.

**Marya, Alfred.**

**Alfred.**

Pani dla mnie, w istocie, jesteś tak łaskawa,  
Że mnie myśl być natrętnym przejmuję obawą.

**Marya.**

Bynajmniej. (*Alfred siada*) Pańskim zdaniem tegoro-  
[czna zima  
Do świetnych się policzy?

**Alfred** (*stawia kapelusz na ziemi obok krzesła na lewo*).

Wątpliwości niema;

I że będzie przyjemną, twierdzić można śmiało,  
Gdyż wiele znacznych rodzin już się tu zjechało.  
A że główna przyjemność nie w balów ilości,  
Lecz, mojem zdaniem, leży w składzie społeczności,  
Zastawszy najlepszego towarzystwa grono,  
Zwłaszcza Pani powinnaś być zadowoloną.

**Marya** (*z lekką ironią*).

Prowadzącego tańce któż godność piastuje?

**Alfred** (*z lekkim uklonem*).

To ważne stanowisko jej sługa zajmuje.

**Marya** (*trochę zmieszana*).

Pan więc...

**Alfred** (*seryo*).

Wybacz mi pani, że zapytam szczerze,  
Czy namiętnie świat lubisz? gdyż temu nie wierzę,  
Chociaż twoje pytania do tego zwrócone.  
Chciej pani z siebie zrzucić daremną zasłonę:  
Nie zdołasz ani chwili utrzymać mnie w błędzie,  
Że li tylko w światowych stoisz kobiet rządzie.

**Marya** (*zmieszana*).

Zkąd panu na myśl przyszła podobna uwaga!  
Zwykle od nas świat wielki tyle nie wymaga.  
Panowie jako pierwszą cenicie zaletę,  
U kobiet lekkość w tańcu, piękną toaletę;  
Paniom chodzi o suknię, utrefienie włosów,  
Danserów i chór liczny chwających je głosów.

**Alfred.**

Pani sądzisz za ostro, lecz to już pomine,  
Gdyż ku temu poniekąd dajemy przyczynę,  
Hołdując lekkomyślnie w uczucia szczodrocie,  
Jednakowo piękności, jak sercu i cnocie.  
Lecz czémże zasłużyły sobie nasze panie,  
Na tak krzywdzące, wybacz i niesłuszne zdanie?  
Wszakże [łaka majowa mniej bogata w kwiatki,  
Niż Polska nasza w dobre córki, żony, matki.]



**Marya.**

Bardzo dla nas pochlebne są te pańskie słowa,  
Jeżeli się w nich zwłaszcza ironja nie chowa,  
Ale przecie...

**Alfred** (*z uśmiechem*).

Niezmierną masz pani ochotę  
Zapytać, co się stało, że ja chwałę enotę.

**Marya** (*śmiejąc się*).

Przyjść do siebie załędwie mogę z zadziwienia.

**Alfred** (*przechodząc w mowę seryo*).

Poznając ludzi nieraz swe zdanie się zmienia.  
Pani mnie tak sądziłaś, jak świat zwykle sądzi,  
A świat, wierzaj mi pani, bardzo często błądzi.

**Marya.**

Lecz on na życiu naszém opiera swe zdanie.

**Alfred.**

Wprawdzie niezawsze słusznie, lecz ja go nie ganię,  
Bo gdy się nie zna myśli, trudno pojąć czyny,  
Tak jak przewidzieć skutki, nie znając przyczyny;  
Zresztą dla świata pozór już stanowi dowód.

**Marya.**

Zwykle jednak dajemy sami jakiś powód.

**Alfred.**

Na tych mu nigdy nie brak, równie jak na złości,  
I ztąd on do wszechwiedzy prawo sobie rości.

**Marya.**

Zatém się ludzie mylą, gdy zostają w wierze,  
Że pan to życie tylko z lekkiej strony bierze?...

Alfred.

O, ja z siebie Katona bynajmniej nie robię,  
I świata zdanie zmienić nie pochlebiam sobie,  
Gdyż jedyną rozrywkę znajdując w zabawie,  
Długo w błędzie trwać będę, zanim się poprawię.

Marya.

Wybacz pan, że zapytam w przedmiocie tak tkliwym,  
Czemu szukasz rozrywki? Nie jesteś szczęśliwym?

Alfred.

Czemu szukam rozrywki? Czy jestem szczęśliwym?  
Czemu gwaru i zabaw tak mnie widzisz cheiwym,  
Dlaczego namiętnościom rozpuściłem wodze,  
I w ciągłym szale żyjąc świat i siebie zwodzę, —  
Tobie pani odkryję. — Spójrzuj w głębię duszy,  
Ile cierpień ukrytych, nieznanych katuszy,  
Ile uczuć zdeptanych, głębokich boleści  
Od lat wielu to serce milcząc w sobie mieści!  
Niestety, losu swego nikt nie przewycięży!  
Na mnie straszna samotność jak przekleństwo ciąży,  
Bo śmierć osierociła już w kolebce dziecię,  
I odtąd wciąż samotny błąkam się po świecie.  
Nie znałem ojca rady, ni matki pieczyoty,  
Wzrosłem sam, bez opieki, wśród ciągłej tęsknoty.  
Nikt w szkołach dobrych nauk odemnie nie żądał,  
A gdy przyszły wakacje, nikt mnie nie wyglądał.  
Później pragnąc przyjaźni, z młodości zapalem  
Szczerego przyjaciela daremnie szukałem,  
Gdyż ci, którym ufałem, zamiast wzajemnością,  
Odplacali mi zdradą, obłudą i złością.  
Wierzyłem także w miłość, kochając nad miarę,

Ale i w to marzenie odjęto mi wiarę,  
 Gdy ta, która mnie miłość wieczną przysięgała,  
 Bez sromu bogatszemu swą rękę oddała.  
 Odtąd żyję bez wspomnień, miłości, przyjaźni,  
 Nie mnie teraz nie cieszy, ni boleśnie drażni;  
 Nie mając w świecie jednej spokrewnionej duszy,  
 Mój los błogi czy smutny nikogo nie wzruszy.  
 Wiem, że gdyby mnie dzisiaj pokryła mogiła,  
 Jednaby się łza pewnie na nią nie stoczyła.  
 Lecz poco znów odświeżać źle zgojone rany:  
 Wszakżem za szczęśliwego powszechnie uznany,  
 Bo tak zawyrokował stanowczo świat modny!

**Marya** (*na stronie ocierając łzę ukradkiem*).

Omyliłam się na nim.

**Alfred** (*wstając i spoglądając ukradkiem na zegarek*).

Zaczynam być głodny.

## SCENA VII.

**Marya, Alfred, Lokaj, później Julia.**

**Lokaj** (*anonsując*).

Baronowa de Wartgeld.

**Marya.**

Prosić.

**Alfred** (*na stronie*).

Aj! Źle będzie.

**Julia** (*wchodząc*).

Jak się masz moja droga. (*spostrzegając Alfreda*). A?

**Marya.**

Ty byłaś w rządzie  
Mych pierwszych wizyt w mieście dawno zapisaną,  
Lecz...

**Julia.**

U siebie przyjmujesz i to dosyć rano...

**Alfred.**

W istocie, to do wizyt zbyt ranna godzina:  
Przyszedłem do Prospera, na nim cięży wina.

**Julia**

Czyż go widzieć nie będę miała przyjemności?

**Marya.**

Wyszedł w tej chwili.

**Alfred** (*na stronie*).

Będę miał scenę zazdrości.

**Julia** (*na stronie*).

Sami? — To podejrzanе. (*głośno*) Powiedzże mi, droga,  
Czemu twa dotąd nigdzie nie powstała noga?  
(*Julia i Marya siadają na kanapie*).

**Marya.**

Wiesz jakto zwykle bywa w pierwszych dniach przy-  
jazdu:

Niema się kapelusza, mantylki, pojazdu,  
Jedno jeszcze gdzieś w kufrach, drugie niegotowe;  
Istotnie w tym zakręcie można stracić głowę.



*Julia (patrząc na Alfreda).*

Jednak o tobie, widzę, ludzie pamiętają.

**Alfred**

Tym razem, przyznać trzeba, ludzie słuszność mają.

*Julia (do Maryi).*

Dziś rano pomyślałam, korzystać nam trzeba  
Z ostatnich dni pogodnych jesiennego nieba.  
Chcąc się przytém koniecznie wyrwać z samotności,  
Zamówiłam do ciebie moich własnych gości.  
Florestan i pan Rotmistrz za chwilę tu będą,  
Zkąd wszyscy razem ruszyc, pod moją komendą,  
Na wczesny obiad w parku. Wrócim po spacerze,  
I w domu się z nas każda troszeczkę przebierze;  
Wieczór razem w teatrze będziemy. — O Boże!  
Cóż ja znowu zrobiłam, zapomniałam łożę!  
Panie Alfredzie....

**Alfred.**

Służę.

**Marya.**

Lecz nasi mężowie?

**Julia.**

Znajdą się. — Niech ci wcale to nie będzie w głowie.

*(do Alfreda)*

Gdybyś pan nam wziął łożę, byłbyś bardzo grzecznym.

**Alfred.**

Szczęśliwy będę paniom stać się użytecznym.

*(kłania się i odchodzi w głąbi).*

## SCENA VIII.

Julia, Marya.

Julia.

No, dzięki niebu wszystko jakoś się układa,  
A teraz z tobą, droga, pomówiębym rada:  
Wszak od lat trzech styczności miałyśmy tak mało,  
Że każda wie zaledwo, co się z drugą działo.  
A przecie w naszém życiu znaczne zaszły zmiany.  
Poszłyśmy obie za mąż, (*śmiejąc się*) i nosim kajdany.

Marya.

Ty, jak uważam, dźwigasz je dosyć wesoło.

Julia.

Checiałaś bym przed tyranią uchylała czoło?  
Ależ my już mężatki, nie dziewczęta płoche,  
Zatém dosyć już żartów, serjo mówmy trochę.  
Powiedz: gdzie, jak i kiedy poznał cię pan Brona;  
Czyś szła za mąż z miłości, czyli namówiona,  
Czy było w twém zameścieniu coś romansowego?

Marya.

Nie znajdziesz w mojem życiu nic nadzwyczajnego.  
Lecz jeśli cię to bawi, słuchaj od początku:  
Rodzice, wiesz, nie mieli wielkiego majątku,  
A że nas trzy sióstr było, mając posag mały,  
Zdała nas dochodziły młodzieży pochwały,  
Lecz żaden się nie zbliżył, owszem, przestraszony  
Uciekał, by niedostał bez posagu żony.  
Jeden tylko Staś Lacki, sercem młodocianem  
Kochając szczerze Klarę, był od niej kochanym;

Wszakże większego żądał stryj wyposażenia,  
I Staś nie mógł otrzymać jego zezwolenia.  
On nie zważał, że przyszłość dwóch osób niweczy.  
Szczęściem przyjazd Prospera zmienił postać rzeczy;  
Ponieważ gdy mi wyznał, że mnie kocha szczerze,  
Oświadczyłam, że w jego przywiązanie wierzę,  
Jednak pragnąc się o tém przekonać dokładnie,  
Życzę sobie by posag, który mnie przypadnie,  
Chcąc moim mężem zostać, cały oddał Klarze.  
Odrzekł że gotów czynić, co tylko rozkażę:  
Oddałam mu więc rękę i przez to zameście  
Zapewniłam mej siostry i me własne szczęście.

Julia.

Coś ta miłość sił serca zbyt ci nie natęża.

Marya (*żywo*).

Mylisz się bardzo, Julio, cześć i kocham męża.

Julia.

Teraz na mnie więc kolej. — W sielankowe mrzonki  
Nie wierzyłam, lecz za to brylanty, koronki,  
Ekwipaż i dom własny bardzo mnie nęciły;  
Tém bardziej, że rej wodzić czułam w sobie siły.  
O mnie się dobijały konkurentów roje:  
Ten wychwalał talenta, tamten wdzięki moje,  
Od samych komplementów kręciło się w głowie.  
Byli tam adwokaci i oficerowie,  
Urzednicy, artyści, cni obywatele,  
Było ich jedném słowem, aż zanadto wiele.  
Każdy z nich ofiarował mi los jaki taki;  
Największe obietnice robili próżniaki.  
Lecz Baron miał pozycją w świecie ustaloną,  
Nie wahałam się zatém zostać jego żoną.

## SCENA IX.

**Julia, Marya, Lokaj, *później* Florestan i Rotmistrz.**

**Lokaj** (*anonsując*).

Panowie Bławatkiewicz i Rotmistrz Damazy  
Kostur.....

**Rotmistrz** (*wchodząc*).

Poszturski, gapiu. (*kłaniając się damom, do Julii*)

Na pani rozkazy

Stajemy do apelu.

**Marya.**

Witam.

**Julia.**

Wyśmienicie.

Wiedziałam, że się spiesznie na rozkaz stawicie,  
Za to panów tu czeka przyjemna nagroda.

**Florestan.**

Myśl że dana przez panią, wartości jej doda.

**Julia.**

Zamawiam sobie wszakże ślepe posłuszeństwo;  
Pod moją dykturą....

**Rotmistrz.**

Pewne jest zwycięstwo.

**Julia** (*śmiejąc się*).

Ach, zlituj się pan, proszę, nie pleć nie do rzeczy!



**Marya.**

Że się wycieczka uda, temu nikt nie przeczy,  
Ale....

**Lokaj** (*anonsując*).

Baron de Wartgeld.

---

## SCENA X.

**Julia, Marya, Florestan, Rotmistrz, Baron** *później* **Alfred.**

**Baron** (*wchodząc*).

Kłaniam moje panie,  
Ciesz się mnie mocno zastać tak miłe zebranie.

**Marya.**

Właśnie na czas przybywasz mi w pomoc, Baronie,  
Gdyż, spodziewam się, zechcesz wytłómaczyć żonie,  
Że bez męża na obiad pojechać nie mogę.

**Baron.**

Za jakimże obiadem puszczamy się w drogę?  
(*Alfred wchodzi*).

**Julia.**

Zaraz. (*do Alfreda*) Jakże się panu udało zlecenie?

**Alfred.**

Jak zazwyczaj spełnionem jest pani życzenie:  
Na operę dzisiejszą mam wyborną lożę.

**Florestan** (*cicho do Rotmistrza*).

Ze wiem gdzie po nią chodził, śmiało się założyć.

Marya.

Ależ, kochana Julio, chciej tylko rozważyć....

Julia.

Jakto, na rzecz tak małą nie chcesz się odważyć?

*(śmiejąc się dzwoni)*

Ale nie wiem, w istocie, czemu krnąbrność znoszę.

*(do Rózi która weszła)*

Kapelusz i mantylkę przynieść pani proszę.

Marya.

Daj pokój....

Alfred *(do Maryi)*.

Niech się pani dłużej nie opiera.

Marya.

Chciałabym się koniecznie doczekać Prospera.

*(Rózia wnosi kapelusz i mantylkę, którą Alfred z jej rąk odbiera)*

Alfred *(podając mantylkę Maryi)*.

Nadejdzie.

Julia.

Jak uważam, jesteśmy w komplecie,

Więc państwo dyspozycji posłuchać zechcecie,

Tylko się już odzywać niewolno nikomu.

## SCENA XI.

Ciż sami, Prosper *(wchodząc w głębi w kapeluszu)*.

Prosper.

Jak pies się.... O, przepraszam....

Baron.

Otóż i pan domu.

P. Prosper.

Ach, tyle miłych gości! *(do Julii, całując ją w rękę)* Pod  
[stopki się ścielę.

*(witając się na wszystkie strony)*

Jakże jestem szczęśliwy, to łaski za wiele.  
Kochanego Barona....

Marya.

Tyś może zmęczony...

Julia.

Taki zatem porządek w jeździe ułożony.  
Mamy kocz i faeton, co mając na względzie,  
Niech się ten nie użala, komu ciasno będzie.  
Pan Alfred z nami siada z tej ważnej przyczyny,  
Że jedno zostawiają miejsce krynoliny.

*(do Alfreda, wskazując Florestana i Rotmistrza).*

Pańskim zaś faetonem pojedą panowie,  
A jakoś się za nami zabiorą mężowie.

Wszyscy.

Zatém w drogę.

P. Prosper *(który stał jak ostupiały).*

Hę? Co? Gdzie?

Alfred.

Jedziemy do parku.

*(wszyscy wychodzą środkowemi drzwiami z wyjątkiem  
Barona, który się przy drzwiach zatrzymuje, czekając na  
Prospera).*

**P. Prosper.**

Poco? Naco? (*biorąc się za głowę*) Tu widzę jakby na  
[jarmarku.

*(wychodząc ceremoniją się z Baronem przy drzwiach  
w głębi).*

*Zastona spada.*

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.



## AKT II.

### SALON IRENY.

Drzwi środkowe w głębi. Na lewo drzwi do pokoju Ireny, na prawo do innych pokojów, w głębi na prawo ode drzwi szafa zwierciadlana, parę krzeseł i t. d. Bliżej widzów po prawej drzwi szklane. Na przodzie sceny jeszcze bliżej widzów stół trochę z ukosa postawiony, na nim gazety, książki, mapy i t. p. Przed tym stołem duży fotel z wysokim oparciem tak postawiony, żeby osoba w nim siedząca nie mogła być widzianą od osób na scenie będących. Na lewo kominek, przed nim kanapa, parę krzeseł, stolicek z książkami, kobiecemi drobiazgami, kwiatami i t. p.

### SCENA I.

**P. Prosper, Pamela** (*chodząc w głębi*).

**P. Prosper.**

Przepraszam, lecz tablicę widząc tu na bramie,  
Wielkimi literami. . . .

**Pamela.**

Tablica nie kłamie.

Jest tutaj apartament piękny do najęcia,  
Z widokiem na terasę, i na pałac księcia;

Bardzo przytém wygodny; — lecz że moja pani  
Życzy sobie mieć większy, stosunkowo tani.

*(wskazując drzwi na lewo)*

Tutaj pani buduarek, tam dalej sypialny,

*(wskazując drzwi na prawo)*

Po tej stronie zaś mamy obszerny jadalny,  
Za nim oranżeryjka...

**P. Prosper.**

Gdzież byłby mój pokój?

**Pamela.**

Za spiżarnią; tam cicho, miałbyś pan więc spokój;  
Jest wprawdzie trochę ciemny i niezbyt szeroki,  
Za to pan od teatru mieszkasz o dwa kroki.

**P Prosper.**

Chciałbym....

**Pamela.**

Tu, pan uważaj, prześliczny jest salon,  
Patrzyliśmy się z okna, gdy puszczano balon  
Spytaj się pan...

**P. Prosper.**

Czy piece...

**Pamela.**

Ogrodnik jest świadkiem,  
Czy pani przyjaciółki...

**P. Prosper.**

Nie dymią przypadkiem?

**Pamela.**

Nie zwykły się tu schodzić, by widzieć paradę.  
Bo tutaj garnizonem. .

**P. Prosper** (*do siebie*).

Ależ to ma swadę!

**Pamela.**

Stoją strzelcy, ułany, gwardja i dragony,  
A gdy wieczór, park bywa czasem oświecony...

**P. Prosper.**

Gdzież kuchnia?

**Pamela.**

Widok z okna prawdziwie uroczy.  
Idąc późno do domu z drogi pan nie zboczy,  
Bo do samej półnoey gaz się świeci wszędzie.

**P. Prosper.**

Ależ stajnia, drewnutnia...

**Pamela.**

Chciej pan mieć na względzie,  
Że prawie cały balkon ślicznie poźłocony,  
Przez co ten apartament...

**P. Prosper** (*do siebie*)

Diable będzie słony.

**Pamela.**

Przy zachodzącém słońcu jak pałac się świeci.  
Jest i pokój dla dzieci.

**P. Prosper** (*zniecierpliwiony*).

Ja bo nie mam dzieci!

**Pamela.**

Ale mieć ich pan możesz. — O to łatwo w mieście:  
Lekarzy tu jest wielu. — Powiem panu wreszcie,  
Iż cudna elegancja wszystko tu odznacza.  
A pan wiesz że ktokolwiek przeciw niej wykracza, —  
Dziwak, skąpiec, lub głupi.

**P. Prosper.**

A!

**Pamela.**

Moda to władza.

Dlatego pani wszystko z Paryża sprowadza:  
Mantylki, kapelusze, suknie i trzewiczki,  
Szale, hafty, spodnice, chustki, rękawiczki,  
Krynoliny, gorsety, na głowę ubrania,  
I tam nawet posyła bieliznę do prania.  
Mogę panu dać adres; przyczem szczerze radzę:  
Bierz pan co się tu trafia i szanuj tę władzę.  
Za chwilkę pani wyjdzie, skoro się przebierze.  
Pani jest Primadonna przy wielkiej operze,  
Ona panu natychmiast najchętniej pokaże,  
Jak mówią po francuzku, wszystkie awantaże.  
Wnet się sam pan przekonasz jakie ma zalety...

**P. Prosper.**

Pani?

**Pamela.**

Nie apartament. — Oto są gazety,



Oraz mapa teatru przeszlorocznój wojny,  
Może pan je przegłędziesz....

P. Prosper.

Lecz....

Pamela.

Bądź pan spokojny,  
Długo czekać nie będziesz.

P. Prosper.

Chciałbym coś o cenie....

Pamela.

Z panią się pan rozmówisz. — Kląniam uniżenie.  
(*wychodzi drzwiami na lewo*).

## SCENA II.

P. Prosper (*sam*).

Ależ to kołowrotek! To mi pytel, panie!  
Prrrrr.... Człek przy niej słoweczka wściubić nie jest  
[w stanie.

(*p. k. m.*) Koniec końców nie nie wiem, oprócz że jej  
[pani

Lubi patrzeć gdy balon puszczają ułani.

(*siada w dużym fotelu*)

Kto podał myśl dzisiejszej wyprawy do parku,  
Bodajby sobie w drodze gdzie nakręcił karku.  
Najprzód fiakra nie było, wreszcie za talara  
Dostała nam się szczęściem odwieczna landara.  
Furman jadąc truchcikiem, jak gdyby na drwiny,

Opóźnił nas na obiad z jakie pół godziny;  
 Doróżka ta zaś trzęsła aż dzwoniły zęby.  
 Ledwie wreszcie włożyłem kawalek do gęby,  
 Nuż jechać znów na spacer! — Konie nam ustały,  
 Wracajże się piechotą! Uf! Spotniałem cały!  
 (p. k. m.) Ten obiad, przyznać muszę, przyjemność mi

[sprawił,

Bo zgłodniały wróciłem i pięknem się bawił;  
 Nawet o poobiednej drzémce zapomniałem,  
 Głupio, mospanie, głupio! — Strasznie się zmachałem.

(przegląda gazety, p. k. m.)

Hum, hum, mapy, gazety, jak u Palmerstona:  
 Jakiś polityk baba ta jej Primadonna,

(odrzucając gazety)

Z tego człek się nie naje, ani nie zagrzeje,  
 Wolałbym, panie, wiedzieć co się na wsi dzieje.  
 Czy też mój pan ekonom Zagumienki zo... (ziewa) rał?  
 (p. k. m.) Z siejbą się tam, o zakład, jeszcze nie uporał.

(opędza się od much)

Ach, te muchy diabelskie nie dadzą spokoju.

(dobywa z kieszeni chustkę i opędza się. Coraz wolniej mówi zasypiając)

Tak jest tak, nie... zawodnie, tam... na świe... żym  
 [gnoju

O... (ziewa) czywiście mi po... siać pszenicę wy...  
 [padnie.

(p. k. m.) E... ekonom jest szlaf... myca, a klucz...  
 [nica kradnie.

(zakrywa sobie twarz chustką i zasypia).

## SCENA III.

**Pamela**, (*później*) **Alfred**, **P. Prosper** (*śpiący*).

**Pamela** (*wychodząc z pokoju Ireny*).

Pani każe oświadczyć z uprzejmością wszelką,  
Że..... A, już go tu niema.

**Alfred** (*wchodząc w głębi*).

Jak się masz, Pamelko.

**Pamela**.

A! pan Alfred!

**Alfred**.

Na honor, jak róża wyglądasz.

**Pamela**.

Pan tylko na mnie okiem łaskawém spoglądasz.

**Alfred**.

No, — ja i trzeci szwadron. — Co widzę! rumieniec!  
Więc na prawdę wpadł w oczko ów smukły mło-  
[dzieniec?

**Pamela** (*niby szukając w pamięci*).

A.. ten, wszak to kuzynek, — daję panu słowo.

**Alfred**.

Z twojej rodziny służy coś wielu wojskowo.

**Pamela** (*z udanym smutkiem*).

Niestety, siedmiu tylko, (*parskając śmiechem*) licząc w to  
[już pana.

(*wybiega do pokoju Ireny*).

Alfred (*puszczając się niby za nią*).

Uciekaj, bo cię złapię! (*wracając się*) Dziewczyna ko-  
|chana!

#### SCENA IV.

Alfred, P. Prosper (*śpiący*).

Alfred.

Ach, która nie kochana! Kiedy jeszcze młoda,  
W każdej się jakaś znajdzie dla znawcy uroda.  
Ta ma usta, wzrost tamta, — tu rączka, tam oczy,  
U téj znów nóżka, zębki, splot cudnych warkoczy!  
Nie skończyłbym do jutra wyliczać zalety!  
Dlatego lubię wszystko, co mają kobiety!

#### SCENA V.

Irena, Alfred, P. Prosper (*śpiący*).

Irena (*wychodząc ze swego pokoju i podając rękę Alfredowi*).

Dobry wieczór Alfredzie, cóż cię zatrzymało,  
Że tak późno przychodzisz?

Alfred.

Prawda że zbyt mało  
Czasu do przepędzenia z tobą mi zostaje,  
Lecz wracam prawie ze wsi.



Irena.

Prawie? Mnie się zdaje,  
Że pan swoim zwyczajem, gdzieś się zawieruszył.

Alfred.

Gdzieżtam, skromny obiadek, ledwie żem nie suszył.

Irena.

Butelki.

Alfred.

Jedną tylko i to ze zmartwienia.

Irena.

*(siadając na kanapie i wskazując miejsce obok siebie  
Alfredowi).*

Chodź tu, siadaj i wynurz mi swoje cierpienia.

Alfred *(siadając)*

To mnie przy tym obiedzie tak bardzo martwiło,  
Że przy ładnych mężatkach i dwóch mężów było.

Irena *(uderzając go wachlarzem).*

Szkaradny! I ty śmiesz mnie, mnie to mówić w oczy?

Alfred.

Kto się szczerze przyznaje, skoro w czém wykroczy,  
Przez to samo, chciej zważyć, mniej winnym się staje.

Irena.

Jest w tém coś prawdy. -- Zresztą *(grożąc)* później  
cię wyląję.

**Alfred** (*całując ją w rękę*).

Ach, byle niezbyt późno, bo prawa przyrody  
Pod wieczór wymagają spokoju i zgody.

**Irena** (*śmiejąc się*).

Z tobą mówić nie można kwadransu rozsądnie.

**Alfred** (*z udanem oburzeniem*).

Za to że praw natury przestrzegam porządnie,  
I śpiąc przez cały ranek....

**Irena.**

Hulam sobie w nocy.

**Alfred.**

Świata zmienić zwyczaje nie jest w mojej mocy,  
Ale chciałbym przynajmniej trochę je poprawić,  
Więc o ile sił stanie, staram się....

**Irena.**

Wciąż bawić.

**Alfred.**

Czasem!

**Irena.**

Troszeczkę.

**Alfred.**

Skromnie.

**Irena.**

Cicho.

**Alfred.**

Bez excessu.

Irena.

Przyrodne więc nauki zbadaleś do kresu.

Alfred.

Do kresu jak do kresu. Są pewne granice,  
Gdzie....

Irena.

Jakież to, naprzykład, straszne tajemnice,  
Których dotąd twa mądrość zbadać nie jest w stanie?

Alfred.

Naprzykład: Gdzie właściwie powstaje kochanie?  
W naszém sercu czy w głowie?

Irena.

Ach, cóż łatwiejszego!

Posłuchaj porównania, i korzystaj z niego:

Miłość, to jak łaskotki. Z całą swoją wiedzą  
Nie dojdiesz bez dotknięcia, gdzie u kogo siedzą;  
Nie chciejże je podciągać pod pewne reguły.  
Ten na wszelkie zaczepki, jak posąg nieczuły,  
Tamtemu kiwnij palcem, już się kurczy, wiję,  
Trzeciego weź za nogę, — zęby ci wybije.  
I podobnych przykładów tysiąc ci przytoczę:  
Sami często nie wiemy co nas załaskocze.

Alfred.

Jakżeby nasza młodzież chętnie się uczyła,  
Gdybyś ty na wszechnicy profesorem była!

Irena.

O, nie wątpię bynajmniej o jej dobrej chęci.

Alfred.

Ja także twą teorią zachowam w pamięci;  
I żeby cię przekonać jak wielce ją cenię,  
Będę się starał dodać do niej doświadczenie.

Irena.

Sądzę żeś ją już nieraz w życiu zastosował,  
Lecz pomnij że doświadczeń nie jeden żałował.

Alfred.

Ach, już teraz żałuję....

Irena.

Czego?

Alfred (*wstając*).

Że iść muszę.

Irena (*wstając*).

Do pani Baronowej?

Alfred.

A, na moję duszę,  
Zazdrość! — Mnie taki zaszczyt przypadłby w udziale?

Irena.

Nie, bo z tobą kłopotu miałabym zawiele.  
Chociaż z ojca krew włoska w żyłach moich płynie,  
Wcale nie znam zazdrości. Bawić się jedynie  
Sama lubię, dla drugich nie jestem surową.  
Ja wiem że masz stosunek z panią Baronową.

Alfred.

Zaręczam.



Irena.

Nie ręcz proszę. Wszak to mnie nie razi.  
Wtedy tylko chcę zemsty, gdy mnie kto obrazi.  
Idź, lecz za to wieczерzę będziesz jadł dziś u mnie?

Alfred.

Każdą rozmowę umiesz zakończyć rozumnie.  
Bądź pewną że się stawię na rozkaz tak miły,  
Choćby ziemia się trzęsła i pioruny biły!

*(całuje ją w rękę i wychodzi w głębi).*

---

## SCENA VI.

Irena, P. Prosper *(śpiący)*.

Irena *(p. k. m.)*

Serce na wodzy trzymać, to sztuka niemiała:  
Kto wie czy bym bez tego w nim się nie kochała.

*(siada na kanapie i bierze książkę do ręki)*

Nie, nie, na to mam rozum zanadto wytrawny.  
Trochę kochać go można, — on taki zabawny!

---

## SCENA VII.

Irena, Baron, P. Prosper *(śpiący)*.

Baron *(ukazując się we drzwiach w głębi)*.

Wolno hołd złożyć?

Irena.

Witaj Kochany Baronie.

Baron (*całując ją w rękę*).

Pani zdrowie kwitnące?

Irena.

Nie pytaj się o nie,  
Bo właśnie na szaloną cierpię dziś migrenę.

Baron (*bierze sobie krzesło i siada przy kanapie*).

Lecz w wieczór piękną słyszeć będziemy Irenę?

Irena.

Niestety, po raz pierwszy wystąpię w Dinatorze.

Baron.

O czem wiedząc, zawczasu zamówiłem łożę.

Irena.

Nie wiesz jak przykro śpiewać nie będąc przy głosie.

Baron.

Ach, pani będziesz śpiewać jak słowik po rosie.

Irena.

Baron zawsze pochlebiasz.

Baron.

Oklasków tysiące  
Słowa me stwierdzą.

Irena.

Pozwól niech zero potracę.

Baron.

Pani nigdy nie raczysz mym słowom dać wiary.

Irena.

Bo nie umiesz, Baronie, zachować w nich miary.

Baron.

Więc nie wierzysz?

Irena.

Nie wierzę.

Baron.

Nawet méj miłości?

Irena.

Któż za miłość poczyta kilka słów grzeczności?

Baron.

Jakiegoż jeszcze pani potrzeba dowodu?

Irena.

Żądać go nie mam prawa, równie jak powodu.

Baron.

Pani wiesz że masz prawo, boś miłość wznieciła,  
Lecz nie chcesz mieć powodu, gdyż ci jest niemiła.

Irena.

Tego nie powiedziałam.

Baron.

Mogę mieć nadzieję,  
Że moja miłość kiedyś serce twe rozgrzeje,  
I że przy mym płomieniu....

Irena (*na stronie*).

Sam uschniesz, Baronie.

**Baron.**

Stopnieje?

**Irena.**

Mieć nadzieję nikomu nie bronię.

**Baron.**

Ach, gdyby mi się tylko sposobność nadała  
Dać ci dowód miłości!

**Irena.**

Gdybym się nie bała  
Przez zbyt śmiałe żądanie protektora stracić....

**Baron.**

Wszakże wiesz że cię kocham (*na stronie*) i mogę za-  
[płacić.  
(*głośno*) Mów, mów, proszę, zaklinam, chciej tylko roz-  
[kazać,  
Tém jedném racz mi swoją przychylność okazać.  
Wtedy tylko ocenisz moje dobre chęci,  
Gdy zobaczysz....

**Irena** (*na stronie*).

Jak Baron z tego się wykreści.

**Baron.**

Że każdej chwili zdolny jestem poświęcenia,  
Chociażby dla kaprysu, jakiegoś zachcenia.  
Możesz żądać odemnie.... dość znacznej ofiary,  
Rzeknij tylko słowo....

**Irena** (*na stronie*).

Brnij, Don Juanie stary.

(*głośno*) Nie, mnie nic od Barona żądać nie wypada.



Baron (*na stronie*).

Do grubego prezentu podobno się skrada.

(*głośno*) Nie wierzysz jaką wielką mi tём sprawisz ra-  
[dość.

Proszę.

Irena.

Gdybym więc czyniąc jego woli zadość,  
Wystawiła go zaraz na niewielką próbę...

Baron.

Co chcesz, — perły, brylanty, sobolową szubę?  
Mów, bierz, powiedz, rozkazuj, wszystko chętnie  
[sprawię,

Byleś na mnie raczyła spoglądać łaskawie.

Irena (*urazona wstając*).

Mój panie!

Baron (*na stronie*).

Nie skutkują, jak widzę, prezenta,  
Ha, — spróbujmy się bawić w czułe sentymenta.  
(*głośno*) Wybacz, — oto przed tobą padam na kolana!

Irena.

Ach! (*n. str.*) W krzyżach mu coś trzasło. (*głośno*) Je-  
stem tak zmieszana.

Chciej powstać. — Me życzenia o wiele skromniejsze,  
(*wstrzymując się od śmiechu*)

I tobie do spełnienia nierównie łatwiejsze.

(*chce go dźwignąć*)

Baron.

Nie, — chcę u nóżek twoich być kochanków wzorem!

Irena.

Wstań, to powiem, (*Baron z trudnością wstaje*) Przyje-  
[mność mi sprawisz wieczorem.

Baron (*zdziwiony*).

Co?

Irena.

Chciałabym byś prosił osób kilkanaście....

Baron.

Tak, — dam dziesięć obiadów, kolacyj piętnaście....

Irena.

Nie rozumiesz, Baronie, o co mnie tu chodzi,  
Lecz się to pewnie z twojém przekonaniem zgodzi;  
Mnie przedewszystkiém dobrą zależy mieć sławę,  
Więc w swojém towarzystwie dla mnie dasz zabawę.  
Chcę wejść w świat u takiego jak ty dyplomaty.

Baron.

Ależ, pani łaskawa, ja jestem żonaty!

Irena.

Widzisz że się już cofasz.

Baron.

Ależ bo w istocie....

Irena.

Wachasz się.

Baron.

To jest....

Irena.

Widzę, — brak mu na ochocie.

Baron.

Nie, lecz...

Irena.

Słucham.

Baron.

Uważaj: są względy światowe...

Chciej zrozumieć....

Irena.

Zgaduję twej mowy ośnowę.

Żeby się móżdżek pochwalić względami artystki,  
 Drobiazgiem są dla pana banknotowe świstki,  
 Lecz talent, jako talent z opieki wyjęty:  
 Dla niego dom Barona zawsze jest zamknięty.  
 Zachowaj więc swe dary i swoje banknoty,  
 Popieraj sobie nimi gdzieindziej zaloty.  
 Sądzę że wyraziłam dobitnie me zdanie  
 I więcej jego noga u mnie nie postanie.

*(wychodzi rozgniewana do swego pokoju).*

## SCENA VIII.

Baron, P. Prosper *(śpiący).*

Baron.

A to iskra, saletra, gorączka nielada;  
 Gniewa się, — a co gorsza, że wszystko rozgada.

Ona powie Florkowi, Florek Rotmistrzowi,  
I tak się całe miasto wkrótce o tém dowie!  
Będę śmiesznym, a przed tém blednę i truchleję:  
Zgubionym jest na zawsze z kogo świat się śmieje.

## SCENA IX.

**Pamela, Baron, P. Prosper** (*śpiący*).

*(Pamela wchodzi z pokoju Ireny niby go nie widząc, szuka czegoś z zajęciem na stolyczku przed kanapą).*

**Baron** (*półgłosem*).

Pamelciu! — Nie słyszy, — Pst, mast tu luidora!

*(Pamela się szybko do niego odwraca)*

Co robi pani?

**Pamela** (*biorąc pieniądze*).

Ach!

**Baron.**

Ach?

**Pamela.**

Bardzo chora.

**Baron.**

Chora?

**Pamela.**

Placze.

**Baron.**



Pamela.

I szlocha.

Baron.

Fe...

Pamela.

Zalewa się łzami.

Baron.

Ale czemuż przed nosem trzasnęła mi drzwiami?

Pamela.

Ach!

Baron.

Słuchaj: ja cię lubię, szczerze wynagrodzę,  
Tylko nie mów nic o tem.

Pamela.

Pani cierpi srodze,  
Czuć się tak zawiedzioną, jakże to boleśnie.

Baron (*szukając w kieszeni*).

Srodze, boleśnie, hm, hm, (*daje jej znowu pieniądź*) to  
[było niewczesnie!

Idź tam, idź, uspokoić staraj się swą panię,  
Zrób nadzieję... że według jej woli się stanie;  
Perswaduj, powiedz, że... że... przejdę się po dworze,  
Rozważywszy, pomyślę, namyślę się może.  
Tylko.... (*kładzie palec na ustach*)

Pamela.

Do tego jestem sławną.

Baron.

Pst, sza, cicho!

**Pamela** (*wstrzymując się od śmiechu*).

Ani mru mru.

**Baron** (*odchodząc w głąbi*).

Czy diabli nadali to lichu!

## SCENA X.

**Pamela, P. Prosper** (*śpiący*).

**Pamela.**

Założę się, że ledwie minie pół godziny,  
Będziem mieli Barona drugie odwiedziny;  
A że zrobi co chcemy ja mu ręcę za to:  
Nie tobie w szranki stawać z nami, dyplomato.

*(Ochodzi do pokoju Ireny. — Scena chwilę próżna; słychać jedno mocne chrapnięcie P. Prospera, — Florestan otwiera drzwi w głąbi).*

## SCENA XI.

**Florestan, P. Prosper** (*śpiący*).

**Florestan.**

Niema nikogo. — Przecie, jeśli się nie mylę,  
Irena dziś przyjmuje, — więc zaczekam chwilę.

*(idzie naprzód sceny, p. k. m.).*

O, tak, Alfred szczęśliwy! Tak jak wszystkie płocho,  
Irena tego trzpiota niezawodnie kocha.

(p. k. m.)

Dziwnie! Jemu się wszystko wie dzie jakby z płatka,  
Mnie żadna kochać nie chce panna ni mężatka,  
Pomimo że mam rozum, że m miły i ładny,  
Zgrabny, pełen dowcipu, w salonie układny,  
Wreszcie że sam o sobie rozpowiadam cuda,  
Mnie się nigdy i nigdzie nie a nie nie uda.

(p. k. m.)

Zresztą byłbym u kobiet może dosyć wzięty,  
Gdyby mi w drodze nie stał ten rywal przeklęty.  
Daremnie jego ruchy, mowę naśladowuję,  
Podobny mam kapelusz, jak on się fryzuje,  
Ten sam co jemu krawiec mnie robi surduty,  
Od tego co on szewca biorę ciasne buty,  
Choć nigdy nie służyłem, noszę bródkę capią,  
Nawet na tém kobiety czemuś się nie łapią!  
Wszystko robię naprózno, daremna mitrega,  
I jego sławy moja nigdy nie dosięga.

(p. k. m.)

Jakby to miło było, dniem i nocą marzę,  
Gdyby ludzie mówili, skoro się ukazę:  
Piękna Pani N. na śmierć w Florku zakochana,  
Polska ma dziś nowego w Florku Don Juana!

*(Pamela wchodzi, otwiera szafeczkę w głębi i czegoś w niej szuka)*

Ktoś idzie, — to Pamela, — szuka czegoś w szafie:  
Alfred niczem nie gardzi, i ja to potrafię!

## SCENA XII.

**Pamela, Florestan, P. Prosper** (*śpiący*).

**Florestan.**

Cóżto, droga Pamelciu, nie spojrzysz się ku mnie?

**Pamela.**

Droga Pamelciu! Proszę!

**Florestan.**

Coś się witasz dumnie,  
A mnie tu właśnie zbiera diabelna pokusa,  
Zażądać dziś od ciebie smacznego całusa.

*(chce ją wziąć w pót)*

**Pamela** (*cofając się*).

Upraszam pana zostać w granicach grzeczności,  
Gdyż nie dałam mu prawa do poufałości.

**Florestan** (*coraz natrętniej*).

O! Co mi tu za fochy! — Daj się pocałować  
I kwita!

**Pamela** (*broniąc się*).

No, bo będziesz pan tego żałować.

**Florestan.**

I cóżby mi się stało, gdybym się ośmielił?

*(chce ją gwałtem pocałować)*

**Pamela** (*dając mu w twarz*).

Dowiedźże się śmiałku!

**Florestan.**

Aj!



**P. Prosper** (*budzi się i zrywa z fotelu*).

Ktoś sobie w łeb strzelił!  
(*Irena wchodzi ze swego pokoju*).

---

### SCENA XIII.

**Irena, Pamela, Florestan, P. Prosper.**

**Pamela.**

A!

**Irena.**

Cóż za hałas tutaj?

**P. Prosper** (*na stronie*).

Coś diable trzasnęło.

**Pamela** (*zmieszana*).

To może echo.

**Irena.**

Echo? Zkądżeby się wzięło?

**Pamela.**

(*wskazując na P. Prospera*).

Widząc pana, klasnęłam w dłonie z zadziwienia.

**Florestan.**

I ja się zadziwiłem...

**P. Prosper.**

Wszak...

**Florestan** (*zwracając się nagle ku drzwiom*).

Do zobaczenia.

Irena.

Stój pan, dokąd tak spieszysz?

P. Prosper (*na stronie*).

Czy mnie się to śniło?

Florestan.

Słuchać pani rozkazów zawsze mi jest miło,  
Ale raptem ból zębów nadzwyczaj gwałtowny....

Irena (*z ironią*).

Czy na to zimny okład nie byłby stosowny?

Florestan.

Cały system nerwowy mam tak rozdrażniony.

Irena.

Biedny! idź się położyć.

Florestan.

Sługa uniżony.

(*kłania się i wychodzi w głąbi*).

## SCENA XIV.

Ciż sami bez Florestana.

Irena (*do Pameli*).

Teraz chciej mi wyjaśnić co się tutaj stało?

Pamela (*wskazując na P. Prospera*).

Myśląc że pan już poszedł, jakoś mi się zdało....

**Irena** (*cicho do Pameli, z przestraczem*).

Więc on był w tym pokoju?

**Pamela** (*cicho do Ireny, wskazując na fotel*).

Tam.

**Irena** (*do siebie*).

Całą rozmowę

Musiał słyszeć dosłownie. (*do Pameli*) Gdzieżeś miała  
[głowę,

By zostawić osobę tu tak niebezpieczną?

(*do siebie*) Chciałabym go podrapać, a muszę być  
grzeczną.

Jak zacząć?

(*Pamela ze spuszczonei oczami cofa się w głąb sceny*)

**P. Prosper** (*na stronie*).

Byłbym przysiągł, że ktoś dostał w papę.

(*spostrzegając że Irena stoi przed nim i w oczy mu patrzy*)

Czekając tu na panią, przeglądałem mapę.

(*Baron ukazuje się we drzwiach w głębi. Pamela daje mu  
znakami do zrozumienia żeby przeprosił Irene i wychodzi  
na lewo*).

## SCENA XV.

**Baron, Irena, P. Prosper.**

**Irena** (*zobaczywszy Barona, do P. Prospera*).

Wybacz pan; zaraz będę na jego usługi.

(do Barona zimno)

Cóż Barona sprowadza do mnie po raz drugi?

**Baron** (ukłoniwszy się lekko P. Prosperowi).

W towarzystwa i swojej przychodzę tu sprawie  
Prosić panią usilnie, byś chciała łaskawie  
Na wieczór dla niej dany przyjąć zaproszenie.

**Irena.**

Grzeczność dla mnie zaszczytną wielce sobie cenię.

**Baron.**

Na jutro zatém proszę. Osób będzie wiele,  
(cicho do Ireny) O sekret względem sprzeczki prosić się  
[ośmielę.

**Irena** (cicho do Barona).

Tajemnica przezemnie będzie zachowana,  
Lecz o to poproś Baron także tego pana.

**Baron** (tak samo na pół zdziwiony, na pół przestraszony).

Jakto? A to dla czego? Zkądżeby on wiedział?

**Irena** (tak samo).

Podczas naszej rozmowy w tym fotelu siedział.

**Baron** (mocno zmieszany).

Po... po... po... podczas?

**Irena.**

Tak jest. Więc czy on nie powie...

**Baron** (do siebie).

Bodajżeby oniemiał. (do P. Prospera z przymileniem)

Jakże pańskie zdrowie?

Jego obecność sobie zamawiam zawczasu.



**P. Prosper** (*kłaniając się*).

Mój mości dobrodzieju...

**Baron** (*kłaniając się*).

Nie zabieram czasu.

(*do P. Prospera*) Spodziewam się że pani mój salon ozdobi

Swoją obec....

**P. Prosper** (*kłaniając się*).

Mój mości....

**Baron** (*na stronie*).

Słabo mi się robi.

(*kłania się i wychodzi w głąbi*).

## SCENA XVI.

**Irena, P. Prosper.**

**Irena.**

Przepraszam że się zaraz nie mogłam nim zająć,  
Wszak pan sobie życzyłeś...

**P. Prosper.**

Pomieszkanie nająć,

**Irena** (*na stronie*).

Trzeba ująć go sobie. (*głośno*) Szczególne zdarzenie,  
Że tak długo siedziałeś pan niepostrzeżenie.

**P. Prosper.**

W gazetach tak głęboko byłem zaczytany....

**Irena.**

A! — *(na stronie)* Wszak mówił dopiero że przeglądał  
plany.  
*(głośno)* Chciej mi pan mimowolną niegrzeczność prze-  
baczyć.

**P. Prosper.**

Więc cena?....

**Irena.**

Trzeba najprzód pokoje zobaczyć,  
Sama panu pokażę....

**P. Prosper.**

Będę zbyt szczęśliwy....

**Irena.**

Cały ten apartament — klejnocik prawdziwy,  
Tak żem go nieraz rajem moim nazywała,  
*(z uśmiechem)* Lecz i Ewa raj ziemski opuścić musiała.  
Proszę pana ze sobą. *(idzie ku drzwiom na prawo)*.

**P. Prosper** *(idąc powoli za nią, do siebie)*.

Ewa czy nie Ewa,  
Ta śpiewaczka podobno grubo mi zaśpiewa.  
*(wychodzi za nią)*.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

## AKT III

Salon P. Prospera jak w I-ym Akcie.

### SCENA I.

**Rózia, później Alfred.**

*(Rózia układa kwiaty w wazonie nucąc sobie, Alfred wchodzi w głębi)*

**Rózia** *(spostrzegając Alfreda).*

A!

**Alfred.**

Czy zastałem pana?

**Rózia.**

Wyszedł właśnie z domu.

**Alfred.**

I poszedł?

**Rózia.**

Dokąd idzie nie mówił nikomu.

**Alfred.**

Proszę pani się spytać czy mnie przyjąć może?

Różia.

Zaraz. (*stoi nieporuszona przed Alfredem*)

Alfred.

Cóż?

Różia (*nadstawiając twarz jakby do całusa*).

Nic.

Alfred.

Więc proszę.

Różia (*na stronie, odchodząc we drzwi na prawo*).

Dzisiaj w złym humorze.

(*wychodzi do pokoju Maryi*).

## SCENA II.

Alfred (*sam*).

Spał czy nie spał, pytanie? Wprawdzie to do niego  
 Niepodobne, by komu chciał zrobić coś złego,  
 Wszakże może ciekawość... a on jest ciekawy,  
 Przytém także gaduła, więc swojej wyprawy  
 Dla siebie nie zachowa Prosperek kochany,  
 I mój romans z Ireną wkrótce będzie znany.  
 (*p. k. m.*) O Baronowę mniejsza, o nią mi nie chodzi,  
 Lecz mi to w oczach Marji niezmiernie zaszkodzi,  
 Może nawet me szyki na zawsze rozstrzeli.

(*z niecierpliwością*)

Bodajżeby go raptem wszyscy diabli wzięli!

(*chodzi zamyślony*)



Nic dziwnego jeżeli mnie to niepokoi,  
Ale czemu Irena tak się tego boi?  
W tém musi być coś więcej. — Ale to na potém;  
Teraz się zgrabnym trzeba dowiedzieć obrotom,  
Czy mnie szlachcic zdradliwy na uczynku złapał,  
Czy usiadłszy w fotelu poprostu tam chrapał.

## SCENA III.

Marya, Alfred.

*Marya (wychodząc ze swego pokoju).*

Mój mąż wróci niebawem. Wiedząc jak żałuje,  
Gdy go minie przyjemność....

Alfred.

Ja pani dziękuję

Za łaskawe przyjęcie.

*Marya (siadając na kanapie).*

To łaska niewielka.

Alfred.

W pani oczach być może, — dla mnie bardzo wielka.

Marya.

Nie rozumiem w istocie jaką to pan wartość  
Do tego przywiązujesz.

*Alfred (siada na fotelu obok kanapy).*

Gdyby ma otwartość  
Niechęci nie wzbudziła, powiedziałbym pani  
Myśli moje w tym względzie.

Marya.

Otwartość któż zgani?

Alfred (*na stronie*).

Nic nie wie.

Marya.

Komplementom, ostrzegam, nie wierzę.

Alfred.

Nie, pani, to co mówię, mówię pani szczerze.  
 Im dłużej bywam w świecie, im więcej znam ludzi,  
 Tém bardziej życie z niemi serce we mnie studzi;  
 Bo światowa ogląda dziś mnie już nie mam  
 I wiem jak mam ją cenić. — A jednak czasami  
 Spotyka się osobę, z którą coś nas łączy.  
 Gdzie węzeł się zaczyna, ani gdzie się kończy  
 Tego nikt nie wie, dosyć że węzeł istnieje.

Marya (*z przymuszonym uśmiechem*).

Pan zatem sądzisz...

Alfred.

O, niech się pani nie śmieje!  
 Jeśli me zaufanie do niej jest przedwczesne,  
 Nie karaj go szyderstwem, bo to zbyt bolesne  
 Tam znachodzić ironią, zimną, jak nóż ostrą,  
 Gdzie się dusza pragnęła spotkać z swoją siostrą.

Marya.

Ja wcale nie myślałam panu przykrość zrobić.

Alfred.

Jakież inne uczucie mogło mi wydobyć  
 Zwierzenie skrytych cierpień za pierwszym widzeniem,

Jeśli nie pewność, jednym nabyta spojrzaniem,  
 Że u pani współczucie znajdą moje męki.

**Marya** (*na stronie*).

Przy nim czemuś truchleję.

**Alfred.**

Nie odciągaj ręki  
 Od tego, który błaga o trochę przyjaźni.

(*bierze ją za rękę*)

Pani drżysz cała.

**Marya** (*wstając*).

Jakieś uczucie bojaźni  
 Przejmuje mnie, gdy słyszę pana mówiącego.  
 Gdyż widzieć tak na pozór kogoś wesołego,  
 Wiedząc iż w nim jest serce tak blizkie rozpaczy,  
 To dziwną trwogę wznieca.

**Alfred.**

Niech pani przebaczy,  
 Że zamiast tylko prosić, przestraszyłem panią.

(*ze smutkiem*)

Jam tak pragnął przyjaźni!

**Marya** (*żywo*).

Niech pan liczy na nią!

**Alfred** (*z radością*).

Ach, dzięki pani, dzięki! Jedno serce przecie  
 Z mojem równo bić będzie na tym pustym świecie!  
 Panie nie wiesz jak wiele dajesz mi pociechy!  
 Wiedzieć że ktoś podziela nasz smutek, uciechy,

Nasze myśli zgaduje, przeczuwa wrażenia —  
O, wszakże to te życie już w niebo przemienia,  
I dając nam tu szczęście, do niego nas wiedzie.

*Marya (z uniesieniem).*

Tę przyjaciółkę we mnie masz, panie Alfredzie.

**Alfred.**

Chciałbym pani dziękować za słowa rzezone.  
Ale brak mi wyrazów, widząc dziś spełnione  
Marzenia, które w sercu od tak dawna żywią.

*(całuje ją w rękę).*

#### SCENA IV.

**P. Prosper, Marya, Alfred.**

**P. Prosper** *(wchodząc).*

W jakiejże tam jesteście państwo komitywie?  
Wszakże się nie kłóćcie? — To mnie bardzo cieszy,  
Bo [kto się zrana kłóci, ten podwójnie grzeszy.]

*Marya (zmieszana).*

Pan Alfred tu na ciebie czeka już oddawna.

**Alfred.**

I już miałem odchodzić.

**P. Prosper.**

A to rzecz zabawna:

Ja cię, panie, szukałem...



Alfred (*na stronie*).

Oho!

P. Prosper.

W całym mieście,  
A ty sobie tu siedzisz, jakby kogut w cieście!  
Ha! ha! ha! To mi panicz, to bieda prawdziwa!  
Tam go tylko człek znajdzie gdzie się niespodziewa.

Alfred (*na stronie*).

Aj aj! (*głośno*) Ależ i ciebie w domu zastać trudno.

P. Prosper.

Ach, bo z tēm pomieszaniem mam pracę tak nudną.

Marya.

Jeszcze nic nie znalazłeś?

P. Prosper.

Ta, — jest ich tam parę;  
To wysokie, to ciasne, lub drogie nad miarę,  
Czwarte znów brać nie można dla innych powodów,  
Dosyć że dziś przebiegłem trzysta siedm schodów!  
Nawet idąc na górę ponoś więcej było,  
I to mnie panie właśnie najbardziej zmęczyło.

Marya (*chcąc mu przysunąć fotel*).

Usiądź sobie.

Alfred (*biorąc od niej fotel i przysuwając go Prosperowi*).

Odpocznij.

P. Prosper (*siadając*).

Trzysta siedm, mospanie!  
Nie dziw że człowiekowi nóg i tchu nie stanie.

Ale gdzie urządzone najbardziej paradnie  
Pomieszkanie zastałem, niech które z was zgadnie?

**Alfred** (*na stronie*).

Masz go!

**P. Prosper.**

Byłem tam właśnie wczoraj po obiedzie.

**Alfred.**

Jakże chcesz byśmy zgadli. (*na stronie*) Końca mi dojedzie.  
(*głośno*) Chciałem cię się zapytać czy chcesz do kasyna  
Być zaraz zapisanym?

**Marya.**

To mi przypomina,  
Że dzisiaj do rodziców list napisać trzeba.

**Alfred.**

Pani odchodzisz?

**Marya.**

Żegnam.

(*Alfred kłania się jej z uszanowaniem, Marya wychodzi do  
swego pokoju na prawo*)

**Alfred** (*na stronie*).

Uf! Dzięki wam nieba!

## SCENA V.

**P. Prosper, Alfred.**

**P. Prosper.**

Owszem, bardzo cię proszę.

**Alfred** (*z roztargnieniem*).

O co?

**P. Prosper.**

Odpowiadam

Na twe własne pytanie.

**Alfred** (*na stronie*).

Tak, tak go wybadam.

(*głośno*) Aha, względem kasyna, dziś cię tam wprowadzę.

**P. Prosper.**

Ty, jak uważam, wszędzie masz ogromną władzę.

**Alfred.**

Nie, lecz mam pewną wprawę życia światowego.  
Dawno w mieście nie byłeś, nie zatem dziwnego,  
Że ją trochę straciłeś. I z tego powodu  
Pozwól, bym ci dał radę.

**P. Prosper** (*wstaje*).

Ach, tego dowodu

Przyjaźni nie zapomnę, chciej być przekonany.

(*ściska go za rękę*)

**Alfred** (*wskazując mu kanapę, na której obydwaj siadają*).

A więc ci najprzód powiem, Prosperze kochany,  
Że trzeba wielce z mową ostrożnym być w mieście,  
Czém wy zazwyczaj na wsi niebardzo jesteście.  
Tak: coś się tutaj powie, tam się coś usłyszy,  
A świat na słowa czyha.

**P. Prosper.**

Niby kot na myszy.

(*śmieje się głośno*)

**Alfred** (*z przymusowym śmiechem*).

Ha, ha, ha! Doskonale! To ci się udało! (*serio*)

Więc nieraz lepiej połknąć co się mówić miało.

Czasem coś się wydaje, — później się okaże,

Że to tylko był pozór — z tego komeraże,  
Bajki, kłamstwa, niesnaski, jednem słowem plotki.

(*to mówiąc kładzie mu rękę na kolanie, P. Prosper zrywa się z przeraźliwym krzykiem*)

**P. Prosper.**

Bój się Boga!

**Alfred.**

Cóż ci jest?

**P. Prosper** (*trąc kolano*).

Mam straszne łaskotki.

**Alfred** (*parskając śmiechem*).

Łaskot... (*raptem robi minę serio, na stronie*) Słowa Ireny:

[*z całą swoją wiedzą*

Nie dojdiesz bez dotknięcia gdzie u kogo siedzą!

**P. Prosper** (*trąc wciąż kolano*).

Żadnego dotknięcia...

**Alfred** (*na stronie*).

O!

**P. Prosper.**

Nie mogę tu znosić.

**Lokaj** (*wchodząc*).

Pan Baron de... de Wartgeld.



**P. Prosper.**

Prosić tutaj, prosić.

*(Lokaj wychodzi).*

## SCENA VI.

**Baron, P. Prosper, Alfred.**

**Baron.**

Witam, moi panowie.

**P. Prosper.**

Cóż to za dzień błogi  
Takich gości sprowadza w domu mego progi.  
Nie wiem jak zasłużyłem...

**Alfred** *(podając rękę Baronowi).*

Jak się masz Baronie?

**Baron.**

Kazałem dziś umyślnie zaprządz sobie konie,  
By zobaczyć co robi kochany pan Brona.  
Jak wygląda, czy wesół, co porabia żona?  
Pragnąłem o tem wszystkim mieć dokładne wieści.

**P. Prosper.**

Ach, dziękuję, dziękuję.

*(Baron podaje P. Prosperowi tabakę, obydwaj zażywają, cicho mówią ze sobą z wielkimi komplementami)*

**Alfred** *(na stronie).*

W głowie się nie mieści,  
Zkąd w Prosperze przebiegłość mogła wziąć się taka.

**P. Prosper.**

Ach, wy... wy... *(kicha)* wyborna hi... *(kicha)* hisz-  
|pańska tabaka. *(kicha)*

**Baron** *(na stronie).*

Czy jeszcze nie wypaplał, jakby się dowiedzieć?

**P. Prosper.**

O Boże! Gdzież mam głowę! Proszę panów siedzieć:  
Niech pan Baron odpocznie, tak, tutaj w fotelu.

*(przysuwa mu fotel, Baron siada w środku sceny)*

W istocie, niegodziwe schody w tym hotelu,  
A pan Baron zapewne do podagry skłonny.  
Lecz jeśli pomieszkanie najmę Prima-Donny,

*(ruch Barona i Alfreda)*

Tam będą wygodniejsze. *(Baron chrząka).*

**Alfred** *(na stronie).*

Ja jego uduszę.

*(głośno)* Żałuję, lecz pożegnać panów moich muszę.

**P. Prosper.**

Co, już?

**Baron** *(na stronie).*

Chwałaż ci Panie!

**P. Prosper.**

Fe! Nie idź.

Alfred.

Uciekam;

Mam jeszcze parę wizyt.

P. Prosper.

Z herbatą cię czekam.

*(Alfred wychodzi w głąbi).*

## SCENA VII.

Baron, P. Prosper.

P. Prosper *(biegnie do drzwi i woła za Alfredem).*

I na obiad przyjdź jutro! *(wracając się)* Służę Baronowi.

Baron.

Niechże mi pan kochany z łaski swojej powie,  
Jakże panu się życie podoba tutejsze?

P. Prosper *(siada).*

A niech go tam! *(miarkując się)* A tak, tak, znam ja  
przyjemniejsze.

[ Gdy się do gospodarstwa od rana zabiorę,  
Najprzód pójdę na gumno, potem na oborę,  
Tu zląję ekonoma, tam poszturcham dziewczki,  
Później znów przy podoju zagładnę w konewki,  
Ztamtąd pobiegnę z żydem wyklócić się w młynie: X  
Już wolniej pierś oddycha, i krew prędzej płynie.  
Nareszcie gdy w gorzelnii parobka wybije,  
To wiem przecie od czego człek na ziemi żyje. ]

**Baron.**

Zmienisz zdanie gdy wkrótce złączą się wieczorki,  
Bale, rauty, obiadki, (*poufnie patrząc mu w oczy*) gdy  
[poznasz aktorki.

**P. Prosper.**

Niechaj sobie aktorki idą swoim torem,  
Ja na wsi gospodarzy chcę być, panie, wzorem!

**Baron** (*na stronie*).

Aj! Słów moich parodja gdy przed nią klęczałem.  
(*głośno*) Z jakim o gospodarstwie pan mówisz zapalem.

**P. Prosper.**

Bo kto, mój panie, dobrze uprawia swą rolę,  
Wszystko za to mieć może: brylanty, sobole....

**Baron** (*na stronie*).

Aj, aj, aj! To mi szlachcie! To przebiegła sztuka!

**P. Prosper.**

Niech sobie kto gdzieindziej swego szczęścia szuka,  
Ja przy roli mej stoję jak żołnierz na warcie.

**Baron** (*na stronie*).

Niema co robić: trzeba z nim mówić otwarcie.  
(*głośno*) Wiesz co mój luby, drogi, kochany Prosperze,  
Pomówmy z sobą szczerze, jak bracia, w tej mierze.

**P. Prosper** (*zadziwiony*).

Czybyś Baron miał zamiar jaką wieś kupować?

**Baron.**

Przestańże, przyjacielu, tak ze mnie żartować,  
Choć to czynisz w zbyt miłym, dowcipnym sposobie.



**P. Prosper** (*coraz bardziej zadziwiony*).

Ja bym z pana żartować miał pozwolić sobie!  
Od czegoś podobnego niech mnie Bóg uchowa!

**Baron.**

Irena jest osoba niezmiernie nerwowa...

**P. Prosper.**

Któż to taki?

**Baron** (*na stronie*).

Trzyma mnie. (*głośno*) Wszakże cię zastałem  
Tam wczoraj po obiedzie.

**P. Prosper.**

Ja bo nie wiedziałem,  
Że owa Prima-Donna Ireną się zowie.

**Baron.**

Otóż widzisz, Irena ma zbyt wątłe zdrowie;  
Jest bardzo delikatną, przytem trochę żywa  
I nieraz jej się czegoś jak dziecku zachciewa.  
Niechcąc więc jej systemu drażnić nerwowego,  
Rozumiesz że nie mogłem odmówić jej tego.

**P. Prosper** (*na stronie*).

Niech mnie diabli wnet porwą, jeśli go rozumiem.

**Baron.**

Ja, który znakomity talent cenić umiem,  
Bo w istocie artystką jest pierwszego rzędu,  
Nie mogłem w żaden sposób wcale nie mieć względu,  
Że ten kaprys nas mógłby pozbawić Ireny,  
A to byłoby klęską dla tutejszej sceny.

Dlatego nawet przed nią padłem na kolana,  
I wieczór dzisiaj daję. — Będąc fetowana,  
Pojmujesz, że już teraz pewnie nie zasłabnie.

*(śmieje się głośno; na stronie)*

Otóż to ja nazywam: wykrecić się zgrabnie! *(wstaje)*

**P. Prosper** *(wstaje)*.

Chciej mi tylko pan Baron wyjaśnić troszeczkę.

**Baron** *(na stronie)*.

Twardy szlachcic. *(głośno)* Rozumiem, chodzi ci o sprze-  
|czkę,

Wiesz, to tak... właściwie nic... ot... fantazja... nerwy...

**P. Prosper** *(na stronie)*.

Ależ plecie, jak Karski na mękach bez przerwy.]

**Baron.**

Nieprawda? trudno rzeczy przedstawić wyraźniej?

Tylko cię jeszcze proszę o dowód przyjaźni.

Lubię wspierać w sekrecie teatr narodowy;

Gdyby cię kto więc spytał, niby wśród rozmowy,

O przyczynę wieczoru, lub też coś powiedział,

Udawaj z łaski swojej, jakbyś nie wiedział.

*(ściska go i odchodzi w głębi).*

## SCENA VIII.

**P. Prosper** *(sam)*.

**P. Prosper** *(idąc za Baronem z wielkimi ukłonami)*.

Tajemnica, Baronie, w mojem łonie zgaśnie.

*(wraca się i pokazuje koniuszek palca)*.

Jeśli tycio zrozumiał, niech mnie piorun trzaśnie.  
Co to wszystko ma znaczyć, czego chcą odemnie,  
Czemu Alfred przestrzega, Baron potajemnie  
Robi jakieś zwierzenia? Co, kto, naco czyni,  
Nie wiem. — Ot, lepiej pójde spytać się Maryni.

*(idzie ku drzwiom na prawo).*

---

## SCENA IX.

**Florestan, P. Prosper.**

*Florestan (we drzwiach, w głębi).*

Czy można?

**P. Prosper.**

Któż tam znowu? *(poznając Florestana)* Ach,  
pana mojego

Witam. Jakże mnie cieszy widzieć go zdrowego.

*Florestan (na stronie).*

Czy już zaczyna? *(głośno)* Dzięki za łaskawe względy;  
Wracając ze spaceru przechodziłem tędy,  
Myślę więc sobie, trzeba wstąpić choć na chwilę  
Uściskać przyjaciela. *(ściska go)*

**P. Prosper.**

Daremnie się siłę  
Moję wdzięczność wyrazić. Do mnie należało  
Pójść o zdrowie się spytać, lecz czasu zbyt mało....  
Nie chciej pan to przypisać braku dobrej woli.  
No, jakże tam z tym zębem, mocno pana boli?

Florestan.

Głupstwo.

P. Prosper.

Diabła tam głupstwo! Jeszcześ pan spuchnięty.

Florestan (*zniecierpliwiony*).

Gdzieżtam.

P. Prosper.

Dalibóg. Ot tu.

Florestan (*na stronie*).

Żartowniś przeklęty.

(*głośno*) To tylko były figle.

P. Prosper (*zadziwiony*).

Figle? (*na stronie*) Czy pijany?

Florestan.

Bo kobiety pęd do mnie mają niesłychany,  
Tak dalece że czasem nawet go unikam.

P. Prosper (*biegnie do okna, które zamyka*).

Przepraszam.

Florestan.

Co pan robisz?

P. Prosper.

To okno zamykam:

Obawiam się by znowu pana nie zawiąło.

Florestan (*rozgniewany*).

A, przyznam się mój panie, to trochę za śmiało!



**P. Prosper.**

Co?

**Florestan** (*miarkując się z uśmiechem*).

Wszakto żarty były. — Lecz przyznaj, dziewczyna...

(*posyła palcami catusa w powietrze*).

**P. Prosper.**

He?

**Florestan.**

Z nią figlować warto.

**P. Prosper** (*na stronie*).

Coś bredzić zaczyna.

**Florestan.**

Lecz wiesz że się nie lubię sukcesami chwalić,  
Ty zaś mógłbyś, mój drogi, czasem co wypalić  
Gdzie przy innej kobiecie, — a one jak lwice,  
Wszak nieraz można słówkiem wydać tajemnicę,  
Więc nie nie mów.

**P. Prosper** (*ostupiały*).

Nic.

**Florestan** (*ściskając go mocno za rękę*).

Wierzę twemu przyrzeczeniu.

Pomyśl ile to istot miałbyś na sumieniu,  
Gdybyś tej tajemnicy święcie nie zachował.

(*jeszcze raz go ściska za rękę i odchodzi w głąbi*).

(*P. Prosper stoi chwilę w ostupieniu, wreszcie maca sobie czoło i przeciera oczy*).

P. Prosper.

Albo ja, albo oni, — ktoś tutaj zawarjował!

*(idzie ku drzwiom po lewej)*

*Zmiana dekoracji.*

## SCENA X.

*(Salon Barona de Wartgeld rzęśisto oświecony. W głębi galerya w kwiaty przystrojona. Na prawo drzwi do pokojów Barona. Bliżej widzów okno. Na przodzie sceny fortepian tak z ukosa postawiony, żeby osoba przy nim siedząca twarzą była obrócona do pierwszych łóż na lewo aktorów. Przed fortepianem bliżej widzów fotel. Na lewo drzwi do pokojów Baronowej; na przodzie sceny kanapa i parę fotelów w półkole postawionych).*

**Alfred** *(sam).*

*(Alfred w balowem ubraniu wchodzi galeryą po prawej. Zobaczywszy że niema nikogo w salonie, postępuje naprzód sceny.*

*Zamyślony)*

Marja! — Znów o niej myślę. — Ciagle, zawsze, wszędzie. Szczególnie! — Myśl w szalonym jakimś zapędzie Wciąż ją widzi przed sobą i gdzieś za nią goni.

*(p. k. m.)*

Jednak dziwne uczucie przedemną ją chroni,  
I jakiś głos mi szepce, że niedobrze robię.

*(p. k. m.)*

Dotknięty uprzedzoną widzieć przeciw sobie,  
Za przykrą mi oziębłość chciałem ją ukarać,  
Więc najprzód o jej ufność zacząłem się starać.  
Jakżem łatwo ją wzbudził w tej anielskiej duszy,

Którą lada cierpienie, lada skarga wzruszy.  
 Jak łatwo uzyskałem to serce przejrzyste,  
 Co w taką przyjaźń wierzy, bo samo jest czyste.  
 Teraz mam już przed sobą ułatwioną drogę,  
 Lecz iść dalej odważyć czemuś się nie mogę.  
 Sam siebie nie poznaję, — myśl że to niegodnie,  
 Tak mnie dręczy, jak gdybym miał popełnić zbrodnię.

(*p. k. m.*)

Jakto? Ja, ja miałebym uleść przed jej władzą?  
 Słuchać co mi tam jakieś czeze skrupuły radzą?  
 Ja co znając kobiece finty i obroty,  
 Igrałem z kokieteryją, żartowałem z cnoty;  
 Który zwykle bywałem zanadto zuchwały,  
 Czemuż przy niej się czuję drżący i nieśmiały?  
 Przekłęcie! — O, nie, nie chcę w mej szalonej bucie  
 Bluźnierczemi przekleństwami kłaść to uczucie,  
 Co dotąd mi nieznanie w sercu struny wzrusza,  
 Za którym się tak silnie rwie spragniona dusza!  
 W niem znajduję nowe życie, mych marzeń spełnienie,  
 Bo kocham po raz pierwszy, ach, kocham szalenie!

---

## SCENA XI.

**Julia, Alfred.**

*Julia (wchodząc w balowym stroju ze swego pokoju).*

Jakto, sam tutaj jesteś.

*Alfred (na stronie).*

O tej zapomniałem!

Julia.

Słyszac cię mówiącego z tak wielkim zapalem,  
Sądziłam że zastanę tu już liczne grono.

Alfred.

Pytałem się na którą gości zaproszono,  
Gdyż myślałem że może zmyliłem godzinę,  
Nie widząc tu nikogo.

Julia.

A zatem przyczynę  
Wczesnego tu przybycia przypisać należy  
Przyspieszeniu zegara ratuszowej wieży,  
Nie zaś chęci prędszego widzenia się ze mną.

Alfred.

Każda chwila przy tobie wiesz jak mi przyjemną,  
Lecz ciebie nie zastałem.

Julia.

Wybacz mój Alfredzie,  
Jeśli mnie do podejrzeń ślepa zazdrość wiedzie,  
Lecz ten tylko zazdrośny, kto prawdziwie kocha.  
A mnie każda przyczyna, chociażby jak płochą,  
W której upatrzeć stratę miłości twej mogę,  
Wprowadza, sama nie wiem, w zazdrość czyli trwogę,  
Gdyż bez twojej miłości pewniebym umarła.  
(śmiejąc się) Wszakżebym pierwej, zdrajco, oczy ci  
[wydarła.

Alfred (ze smutkiem).

Więc kochasz mnie prawdziwie?



Julia.

Cóż to za pytanie?

Alfred (*zmieszany*).

Wiesz że lubię z ust twoich słyszeć to wyznanie.

Julia (*niespokojna*).

Tak, lecz dotychczas o tém mówiłeś wesoło,  
Gdy dziś twój głos niepewny i pochmurne czoło.  
Co to jest? Co to znaczy? Popatrz mi się w oczy.

Alfred (*z przymusowym uśmiechem*).

Ja w twoich zawsze widzę ten sam blask uroczy.

Julia.

Nie o moje tu chodzi, lecz ciebie coś dręczy.  
Powiedz, — wszakże wiesz ile niepewność mnie męczy;  
Ty masz jakieś zmartwienie. Któż lepiej odemnie  
Twe wrażenia podziela?

Alfred.

Trwożysz się daremnie.

Nie mi nie jest.

Julia.

O, nie, nie. Tobie coś się stało!  
Czyliż już zaufania posiadam tak mało?  
Widzisz że jestem cała bojaźnią przejęta,  
A niechcesz mi się zwierzyć.

Alfred (*na stronie*).

Jak zerwać te pęta?

Julia.

Cóż? Twój wzrok mnie unika, i tve lica blade.  
Alfredzie...

Alfred.

Nasz stosunek...

Julia.

Przeczuwałam zdradę!

Chcesz go zerwać...

Alfred.

Nie, wszakże dręczy mnie obawa,  
By na tém nie cierpiała twoja dobra sława,  
Bo świat mówi już o tém.

Julia.

O świat mi nie chodzi,  
Byleś mnie kochał.

Alfred *(na stronie)*.

Męki! *(głośno)* Ktoś tutaj nadchodzi.

## SCENA XII.

**Baron, Julia, Alfred, Kamerdyner.**

*(Podczas tej sceny i następujących Julia niespokojna powinna mówić z pewną dystrakcją. Julia siada na kanapie, Alfred stojąc przy niej cicho z nią mówi. Baron wychodzi ze swego pokoju w czarnym fraku z gwiazdą, w białym krawacie i t. d. za nim kamerdyner)*

**Baron** *(do kamerdynera)*.

Dziś wieczór Prima-Donna tutaj śpiewać będzie.  
Skoro zatém na dole z karety wysiedzie,

Trzeba żeby kto przyszedł mnie o tém uprzedzić.

Idź. *(kamerdyner wychodzi)*

*(na str.)* Chwileczki na miejscu nie mogę usiedzieć.

*(sposstrzegając Alfreda)*

A, — Alfred, zawsze pierwszy, gdzie tylko są damy.

*(sposstrzegając wchodzących w głębi Florestana i Rotmistrza)*

Ale otóż i tamci. Witamy, witamy.

### SCENA XIII.

#### Ciż, Florestan i Rotmistrz.

*(Baron idzie naprzeciwko nich i wita się z niemi, oni przechodząc przed Alfreda, który się parę kroków cofa, podają mu rękę i kłaniają się Julii. Alfred przechodzi do Barona, z którym rozmawiając idą w głąb sceny)*

**Florestan** *(do Julii).*

Czy wczorajsza przechadzka pani nie szkodziła?

**Julia.**

Kiedyż której szkodziło to czém się bawiła?

**Rotmistrz.**

Trzeba przyznać że mamy pogodę jak w lecie;  
Park jest prześliczny.

**Julia** *(żartobliwie).*

Ztamtąd panowie jedziecie?

**Florestan.**

Nie. Ja od panny Belmani teraz wychodzę;  
Wstąpiłem właśnie do niej na moment po drodze.

Zastałem ją w rozpacz i płaczącą rzewnie,  
 Gdyż suknia nie gotowa. — Spóźni się zapewne.  
 Mając u niej wstęp wolny, chciałem przed wieczorem  
 Widzieć jej toaletę, bom jest konessorem.

*(Na ostatnie dwa wiersze Alfred i Baron wrócili)*

**Alfred** *(drwiąco)*.

O! Wstęp wolny!

**Baron** *(na stronie)*.

Przechwałki.

**Alfred** *(tak samo)*.

To jest bardzo wiele!

**Florestan**.

Bo...

**Alfred** *(obojętnie)*.

Już wiemy

*(Marya i P. Prosper wchodzą w głębi)*

**Julia** *(idąc naprzeciwko nich, do Maryi)*.

Jak się masz mój drogi aniele!

## SCENA XIV.

**Ciż, Marya, P. Prosper.**

**Marya.**

Dziękuję, doskonale. *(wita się z mężczyznami)*

*(Panie siadają na kanapie, Alfred przechodzi za kanapę  
 i rozmawia pocichu z damami)*



**P. Prosper** (*do Julii*).

Pani dobrodziki

Rączki całuję. (*całuje ją w rękę, do mężczyzn*)

Sługa (*witając się z Florestanem, na stronie*)

[A, ten co ma bziki.

(*głośno*) Baron dajesz nam wieczór prawdziwie wy-  
[tworny,

Jak gdyby Sultán jaki.

(*Baron i Florestan głośno się śmieją*)

**Baron.**

To koncept wyborny!

**Florestan.**

Wyśmienity!

**P. Prosper.**

Nieprawda? (*głośno się śmiejąc*)

**Rotmistrz** (*na stronie*).

Co w tém wybornego?

**Baron** (*ściskając P. Prospera*).

Już to sławne dowcipy pana kochanego.

**Florestan.**

Podobny wieczór dla mnie, temu rok w oktobrze,  
Dał minister w Londynie.

**Alfred** (*na stronie*).

Gdy kłamać, to dobrze.

(*wychodząc naprzód do Barona*)

Więc dziś dla Prima-Donny otwierasz salony?

**Baron.**

Dać wieczór dla niej byłem niejako zmuszony;

Książę bowiem w przypisku ostatniej depechy  
Raczył dodać łaskawie, że go to ucieszy,  
Jeśli w świat ją wprowadzę. Więc widzisz, mój luby,  
Czynię to dla Księcia.

**Alfred** (*na stronie*).

Bum! To kaliber gruby.

**P. Prosper.**

O tém pan nie mówiłeś. To pomysł genialny!  
Książę! Proszę!

**Baron** (*niespokojny*).

Hm, tak, tak.

**Julia** (*do P. Prospera*).

A pan muzykalny?

**P. Prosper.**

Mając dawniej wojskową bandę doskonałą,  
Czasem się na fagocie w wolnych chwilach grało.

**Julia.**

Pan więc także wojskowy?

**P. Prosper** (*prostując się*).

Niby tak po trochu.

**Julia.**

A!

**Rotmistrz** (*cicho do Barona*).

Radbym przecie wiedzieć, gdzie on wachał prochu.

**P. Prosper.**

Ja byłem szefem sztabu w gwardji narodowej.

**Baron.**

Wszakże to zaraz poznać z postawy wojskowej.

**Florestan.**

O, na pierwszy rzut oka.

**Marya** (*do Julii*).

Przyznam ci się szczerze,  
Że niezmierna, dziecinna ciekawość mnie bierze,  
Poznać tę Prima-Donnę.

**Julia** (*wzgardliwie*).

Ciekawam toalety.

**Lokaj** (*wchodzi, cicho do Barona*).

W tej chwili Prima-Donna wysiada z karety.

**Baron.**

Idę. (*do dam*) Ciekawość będzie wnet zaspokojona.  
(*W chwili gdy się Baron odwraca, P. Prosper przechodzi po za niego, nie mogą się minąć*)

Wybacz. (*Baron bierze go za ramiona, piruetują i tak dopiero mijają, Baron wychodzi*)

**P. Prosper.**

Ha, ha, ha! Cóż to za figlarz z Barona.

## SCENA XV.

Ciż, bez Barona.

*(Florestan przechodzi za kanapę, Rotmistrz staje obok i pocichu rozmawiają z damami)*

**P. Prosper** *(bierze Alfreda pod rękę i prowadzi go naprzód sceny na prawo)*

Wiesz co Fredziu, jam pewnie nie arystokrata...

**Alfred** *(ironicznie).*

Nie potrzebujesz mówić.

**P. Prosper.**

Lecz przecie u kata,  
Śpiewaczka tu... mnie się to... jakoś nie wydaje...

**Alfred.**

Zaczynamy przyjmować zachodnie zwyczaje,  
Gdzie talent znakomity wstęp toruje wszędzie.

**P. Prosper.**

Ha! Kiedy tak powiadasz, niechaj i tak będzie.

## SCENA XVI.

Ciż, Baron. Irena.

*(Baron pod rękę wprowadza Irenę, za niemi goście powoli zaczynają napępniać salony)*

**Julia** *(do Maryi spojrzawszy na Irenę).*

Sztywna, jakby przejęta była cudzą rolą.



Marya (do Julii).

Wcale tego nie widzę.

Baron.

Panie mi pozwolą  
Przedstawić sobie pannę Irenę Belmani.

(Julia i Marya wstają, kłaniają się Irenie. Julia ceremonialniej,  
przyczem wskazuje Irenie fotel obok kanapy)

Julia (siadając).

Podobno miłą zimę zawdzięczymy pani.

Irena (siadając).

Dzięki za pobłażanie.

Marya.

I ja także wielką  
I szczerą pani śpiewu jestem wielbicielką.

P. Prosper (do Alfreda).

Przedstaw mnie, przedstaw *en forme*.

Alfred (z uśmiechem).

Tyś widzę łakomy.

P. Prosper.

Głupstwo.

Alfred (zbliżając się z P. Prosperem do Ireny).

Pan Prosper Brona.

Irena (podając rękę Prosperowi, który ją całuje).

To dawny znajomy.

Pan Brona zaszedł do mnie wczoraj przed wieczorem,  
Szukając pomieszkania. Bawił mnie humorem

Tak dowcipnym i miłym, tylem się uśmieła,  
Że pamiętać to muszę.

Baron (*niespokojny na stronie*).

O źle!

Julia (*półgłosem do Florestana*).

Jaka śmiała.

Florestan (*tak samo*).

Jak zazwyczaj kobieta czując się kochaną.

Julia.

Co pan przez to rozumiesz?

Florestan.

Rzecz powszechnie znaną.

Julia.

Nie zgaduję.

Florestan.

W istocie?

Irena (*do P. Prospera*).

Wszak nie jestem w błędzie,  
Myśląc że ta wizyta ostatnią nie będzie.

P. Prosper (*który się wciąż wciaż kłaniał Irenie*).

Ach mościa dobrodziejko! (*na str.*) To kobieta miła!

Baron (*do Ireny*).

Możebyś nam co pani zaśpiewać raczyła.

Irena (*wstając*).

Najchętniej.

P. Prosper.

Śpiew kobiecey tak miło słuch łechce.

Irena.

Może która z pań jaką piosnkę wybrać zechce.

Marya.

Każdą słyszeć przyjemnie. *(wstaje i idzie przeglądać nuty na fortepianie).*

Alfred.

Może: „Tajemnicę“.

Baron *(przestraszony).*

Co?

Irena *(do Gościa wskazując fortepian).*

Proszę pana.

Gość.

Służę.

P. Prosper.

Ja potrzynam świecę.

*(Marya spojrzeniem wstrzymuje na miejscu P. Prospera. Towarzystwo grupuje się jak następuje: Julia siedzi na kanapie, obok niej na miejscu Maryi siada Florestan, koło kanapy siada P. Prosper, o parę kroków od niego trochę głębiej stoi Baron, Irena w środku sceny, Rotmistrz po lewej grającego na fortepianie gościa, Marya siada w fotelu przed fortepianem, Alfred staje za nią oparty o poręcz fotelu. Goście się trochę przybliżają. Podczas śpiewu Ireny Florestan mówi po cichu do Julii, która wydaje się coraz niespokojniejszą i Alfreda z oka nie spuszcza).*

Julia *(na stronie).*

Więc ona jest kochaną — on się tu znajduje,  
Miałżeby Alfred... Serca w mem łonie nie czuję.

Irena (*śpiewa*).

Daremnie oczy odwracam od ciebie,  
Unikam miejsca gdzie cię spotkać mogę:  
Nie zdołam zwodzić, niestety, sam siebie,  
Uczuciom inną wskazać w świecie drogę.  
Twa postać wszędzie stoi przed oczami  
I włada duszą, sercem i myślami.

Baron.

Co za czucie w tym śpiewie.

Wszyscy.

Brava! brava! brava!

Rotmistrz.

Cudnie, ślicznie!

P. Prosper (*na stronie*).

Otóż to, i miła i żwawa!

Alfred (*cicho do Maryi*).

Temu który tak kocha, choćby nawet skrycie,  
Samotność już nie cięży, szczęście barwi życie.

*(Podczas tej przerwy w śpiewie, Florestan rozmawia pocichu z Julią. Trzeba żeby znać było po nich że on nią zajęty, ona go zimno z dystrakcją zbywa. Alfred od czasu do czasu na nich spogląda, obserwując ich)*

Irena (*śpiewa*).

Gdy z tobą mówię głos mi w piersiach kona,  
Na ustach drżących słowo zaumiera,  
I tajemnica z milczącego łona  
Pomimo woli na świat się wydziera.



Pragnę ją złożyć razem z sercem w grobie,  
Lecz mnie przy życiu trzyma myśl o tobie.

**Baron.**

Jak dźwięczna gibkość głosu!

**Rotmistrz.**

A co za metoda!

**P. Prosper.**

Czemu pani małego trylera nie doda?

**Florestan** (*nachylając się do Julii*).

Jeśli o mych słów prawdzie pani powątpiewa,  
Chciej spojrzeć na Alfreda gdy Irena śpiewa.

**Irena** (*zaczyna śpiewać*).

Gdyby więc kiedy.....

**Julia** (*zrywając się, na stronie*).

Alfred! (*głośno do Ireny z wybuchem gniewu*)

Dość tego śpiewu!

**Baron** (*zbliżając się do Julii*).

Co robisz? dla Boga,

Opamiętaj się!

**Julia.**

A! (*mdleje w ręce P. Prospera*).

**P. Prosper.**

A to co?

**Marya** (*biegnąc do Julii*).

Juljo droga!

Irena (*do Barona*).

Doznawszy w pańskim domu zniewagi, odchodzę.

Baron.

Jestem w rozpaczy... nerwy...

Irena (*odchodząc, na stronie*).

O, zemszczę się srodze!

(*Wychodzi w głębi, Baron tłómacząc się ją odprowadza. Marya stara się ocucić zemdloną na kanapie Julię. Goście po części się grupują, mówiąc z sobą pocichu, po części wychodzą*)

## SCENA XVII.

Ciż sami bez Barona i Ireny.

Alfred (*na stronie*).

Rozumiem. (*cicho do Florestana, który podczas zamieszania przeszedł na prawo sceny*)

Walczyć plotką nikczemnie, mój panie.

Florestan.

Taki wyraz za sobą pociąga wyzwanie,  
Czego ja dam niebawem jasny panu dowód.

Alfred (*biorąc za rękę Florestana i prowadząc go na przód sceny na prawo*).

Ciszej! Tej sprawie inny potrzeba dać powód.

(*upuszcza kapelusz, — głośno*)

Jakiżeś pan niezgrabny!

**Florestan.**

A pan niezbyt grzeczny!

*(Rotmistrz i P. Prosper przybliżają się do nich).*

**Alfred** *(półgłosem).*

Ażeby się rozprawić, słowny spór zbyteczny.

**Florestan** *(półgłosem).*

Zatém do jutra.

**Alfred** *(tak samo).*

Prosper moim sekundantem.

**Florestan** *(tak samo).*

Rotmistrz moim być zechce.

*(ktaniają się sobie i wychodzą w głębi z Rotmistrzem,  
Baron wraca do kobiet).*

**P. Prosper** *(z westchnieniem podobnym do jęku).*

Cóż pocznę z tym fantem!

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

## AKT IV.

Salon P. Prospera jak w I-ym Akcie.

---

### SCENA I.

**P. Prosper** (*sam, wychodzi ze swego pokoju*).

**P. Prosper.**

Całą noc nic nie spałem, ja, co nie uroku,  
Na jednym zwykł zasypiać i budzić się boku.

(*p. k. m.*)

Miły Alfred: „Sekunduj, sekunduj“ powiada;  
Tobie łatwo, lecz dla mnie to kłopot nielada.  
Najprzód tego nie umiem, powtórę mnie drażni,  
Nie żebym ja doznawał uczucia bojaźni,  
Lecz te przygotowania, ten widok pałazy  
Człowieka spokojnego mimo woli straszy.

(*p. k. m.*)

Głupstwo! By dla jakiegoś, panie, kapelusza  
Z nich jeden albo drugi beknął Tadeusza.  
Fe, fe, głupstwo, dalibóg że to się nie godzi.  
Oho! Już tam coś brzęczy, — to Rotmistrz nadchodzi.



## SCENA II.

**Rotmistrz, P. Prosper.****Rotmistrz.**

Sługa.

**P. Prosper.**

A, a, kochany pan Rotmistrz tak rano....

**Rotmistrz.**

Wszakże wiesz pan dobrodziej że mnie tu przysłano.

**P. Prosper.**O, wiem panie. *(na stronie)* Niestety!**Rotmistrz.**

Przychodzę ułożyć

Warunki pojedynku.

**P. Prosper.**

Nie chciej się pan srożyć.

**Rotmistrz.**

Co? Jak pan to rozumiesz?

**P. Prosper.**

Ja?

**Rotmistrz.**

Czy myślisz może,

Ze przyszedłem tu straszyć?

**P. Prosper.**

Broń mnie Panie Boże!

Tylko tak... myślę... niby... nie będziemy chcieli,  
Ażeby dwóch przyjaciół... dla tej bagateli...

**Rotmistrz.**

Dla bagateli, panie! — Niech pan to zatrzyma,  
Że w rzeczach honorowych bagateli niema.

**P. Prosper.**

Zapewne, lecz...

**Rotmistrz.**

Cóż?

**P. Prosper.**

Gdyby...

**Rotmistrz.**

Mów pan.

**P. Prosper.**

Jakoś można...

Zważywszy... że... że... przecie... to jest rzecz bezbożna...

**Rotmistrz.**

Bezbożna! Co bezbożna! Właśnie to sąd Boży!

**P. Prosper.**

Myślałem że nikogo to nie upokorzy,  
Jeśli głupstwo zrobiwszy przyzna się że zblądził.

**Rotmistrz** (*na stronie*).

Miałżeby Alfred skrewić? (*głośno*) Ha! gdybyś pan są-  
[dził,  
Że Alfred przyznać zechce iż on tu jest w błędzie,  
I przeprosi, to wtedy powodu nie będzie...

**P. Prosper** (*naiwnie*).

Ani śni mu się o tém.

**Rotmistrz.**

A do milion czartów,  
Pan sobie nie pozwalaj ze mną stroić żartów!  
Raz na zawsze, mój panie, wypraszam to sobie.  
Bić się muszą.

**P. Prosper** (*na stronie*).

Jednego ztąd już widzę w grobie!

**Rotmistrz.**

W dwóch słowach się wyrażę. Będą się strzelali  
O dwadzieścia pięć kroków...

**P. Prosper.**

Dalej, panie, dalej!

**Rotmistrz.**

Jeżeli po dwóch strzałach żaden z nich nie padnie,  
Weźmiem wtedy pałasze.

**P. Prosper.**

Dalibóg nieładnie!

Wiesz pan co, dość daleko sobie ich postawmy,  
Albo niech się pociupią, — w strzały się nie bawmy.  
Wszakże ich przecie obu przyjaźń łączy stara,  
A... a... nas, sekundantów, jakaż czeka kara?

**Rotmistrz.**

Ha! cóż, koza.

**P. Prosper.**

Żartujesz!

Rotmistrz.

Nie śmiałbym go zwodzić!

P. Prosper.

Tam do diabła! To głupstwo! Trzeba ich pogodzić!

---

### SCENA III.

**Ciż, Florestan** (*który otwierając drzwi w głębi ostatnie słowa słyszał*).

Florestan.

Biłem się dosyć często, zwłaszcza w cudzych krajach,  
Wiem zatem doskonale iż to nie w zwyczajach  
Do sekundanta strony przeciwnej przychodzić,  
Wszakże w obawie, byście nie chcieli nas godzić,  
Przychodzę tu oświadczyć wobec panów obu,  
Iż nie widzę z méj strony żadnego sposobu  
Na drodze pojednawczej zakończenia sprawy,  
Gdyż strzelać się musimy.

P. Prosper.

Lecz panie łaskawy...

Florestan.

Wiedz pan że się nie biję nigdy na pałasze.  
(*na stronie*) Łatwiejsza zgoda będzie jeśli go nastraszę.  
(*głośno*) O, ze mną żartów niema.

P. Prosper.

Wszakżeście wy dziatki...



Florestan *(na stronie)*.

Dobrze, chce godzić.

P. Prosper.

Jednej i tej samej matki!

Florestan i Rotmistrz *(razem)*.

Co?

P. Prosper.

Ojczyzny, ojczyzny, panie dobrodzieju!

*(na str.)* Uf! Kręcę się jak mucha w mazi lub oleju.

*(głośno)* Panie! Wszak człowiek strzela, Pan Bóg kule  
|nosi!

Florestan *(na stronie)*.

I to prawda. *(głośno)* Wiesz pan co, jeśli mnie przeprosi...

P. Prosper.

On przeprosić! Trzech raczej zabić byłby w stanie!  
Lecz tyś mądrzejszy, przeproś, przeproś drogi panie!

Florestan.

Nigdy!

Rotmistrz *(na stronie)*.

Zaczyna drażnić.

P. Prosper *(do Florestana)*.

Wszak wielkiej obrazę

Tu niema. — Gdyby były padły suche razy,

Gdybyś dostał był w papę...

Florestan *(na stronie)*.

O zdradliwa źmijo!

P. Prosper.

Są tacy co i za to nawet się nie bija.

**Rotmistrz.**

Dosyć się już, mój panie, tego nasłuchałem.  
Za dwie godziny czekamy na panów za wałem.

*(do Florestana, który stoi w głębi zamyślony)*

Chodźmy.

**Florestan** *(na stronie)*.

Grozi że mógłby tamtę rzecz rozgłosić;  
Będą drwić ze mnie. — Może, — lepiej i przeprosić.

*(do końca sceny zostaje mocno zamyślony)*

**Rotmistrz.**

Nad czém rozmyślasz.

**Florestan.**

Idę.

**Rotmistrz** *(do Prospera)*.

A niech pan pamięta  
Broń swą przywieźć ze sobą.

**P. Prosper** *(na stronie)*.

To sztuka zacięta!

**Rotmistrz.**

My zaś będziemy mieć swoją. — Wszak pan wiesz, przed  
lasem

Na prawo. — Sługa.

**P. Prosper.**

Kłaniam. *(na stronie)* Żebyś pękł  
[tymczasem.

*(Florestan i Rotmistrz wychodzą w głębi)*.

## SCENA IV.

P. Prosper (*sam*).P. Prosper (*p. k. m.*).

Chciałeś miasta, Prosperku, masz babo redutę!  
 A może i na cieńszą przyjdzie śpiewać nutę.  
 No, wlażłem sobie w pasztet aż po same uszy.  
 Ależ bo, do stu djabłów, tu gdzie się człek ruszy,  
 Intrygi, tajemnice, pojedynki, koza!  
 Koza! dreszcz mnie przechodzi, — zgroza, panie, zgroza.  
 Trzeba mi, tego, było rozstawać się z pracą,  
 I przyjeżdżać do miasta, djabli wiedzą na co!

*(z rozczuleniem)*

A tam na wsi gorzelnia, — woły pospasane,  
 Ach, kiedyż ja się, kiedy między was dostanę!

*(p. k. m.)*

Nie mógł kogo innego wziąć za sekundanta!  
 Musiał drogi Alfredek mnie uciąć kuranta!

*(p. k. m.)*

Trzeba przecież coś robić, za czémś się obrócić.  
 O Boże! Gdybym jakoś mógł to z siebie zrzucić!  
 Ha! Może się i wreszcie dobędę z tej toni.

*(p. k. m.)*

Rotmistrz kazał bym myślał zawczasu o broni...  
 A... a... nuż który padnie? Sądy boże skryte!

*(p. k. m.)*

Lecz gdzież broni dostanę?... Pójdę na tandytę.

*(szuka jakiś czas kapelusza i laski, wziąwszy jedno, kładzie drugie i znowu szuka, nareszcie znajduje obie rzeczy, idzie ku drzwiom, staje, chwilę myśli i wraca się)*

Aha, jeszcze licencją na broń zapomniałem.

(szukając w biurku)

Jaki łaskaw! Na prawo, przed łaskiem, za wałem!

## SCENA V.

Irena, P. Prosper.

Irena (wchodząc w głębi).

A, dobrze że cię jeszcze, mój panie, zastaję!

P. Prosper.

Moja moś...

Irena.

O, pan piękne, piękne masz zwyczaję!

P. Prosper.

Moja...

Irena.

Wkradać się jak... jak... dosyć że się wkradać.

P. Prosper.

Lecz...

Irena.

Do cudzego domu. Służącej nagadać  
Różnych jakichsić bredni. — W zdradliwym sposobie  
Zaufanie dziewczyny chcąc pozyskać sobie,  
Z tą szkaradną chytrością zjadliwego gadu,  
Mówić rzeczy kwieciste bez sensu ni ładu,  
By tylko łatwowernej nie dać przyjść do słowa,



To samo, pan pozwolisz, rzecz niehonorowa:  
Lecz by dojść do jakiegoś ukrytego celu,  
Skoro wyszła z pokoju, ukryć się w fotelu...

P. Prosper.

Niech pani...

Irena.

Podsłuchiwać...

P. Prosper.

Pozwoli...

Irena.

Bezwstydnie,

To ja nazywam sobie postąpić ohydnie.

Wszak ci jeszcze niedosyć, niedość było tego,  
Że wiedząc iż sekreta posiadasz każdego...

P. Prosper.

Ależ pani łaskawa...

Irena.

Strwożone, struchlałe,  
Przed twym spojrzeniem drżało towarzystwo całe.  
Nie dość żeś berło dzierzył podstępem nie siłą:  
Kłótni, plotek, skandalu potrzeba ci było!

P. Prosper (*plączliwym głosem*).

Com dzierzył? Czego chciałem?

Irena.

Chciałeś, panie, chciałeś,  
Kiedy, Bóg wie dla czego, wszystko wygadałeś.

P. Prosper.

Ja?

Irena.

Chciałeś skandalu.

P. Prosper.

Ja?

Irena.

Masz skandal dość głośny.

P. Prosper.

Mam skandal?...

Irena.

Z przerywaniem pan jesteś nieznośny;  
Proszę słuchać gdy mówię.

P. Prosper.

Lecz pani...

Irena.

Milez proszę,  
Wszak przez jego paplanie dość od wczoraj znoszę,  
Gdy się przeciw mnie jednej wszystko obróciło.  
Ale na tém nie koniec...

P. Prosper.

Mnie się ani śniło...

Irena.

Jakie miałeś w tém cele i jakie nadzieje,  
Niewiem. Lecz chciałeś wojny, niech się co chce dzieje,  
Mieć ją będziesz i dobrą.

P. Prosper.

Ja, ja chciałem wojny!

Ach pani dobrodziejko!

Irena.

Możesz być spokojny,  
Będiesz widział twych czynów obfite owoce:  
Będą klótnie, rozterki...

P. Prosper (*przed siebie w osłupieniu*).

Okropnie się pocę.

Ły... łydki drżą podemną.

Irena.

Może i rozwody.

P. Prosper (*tak samo*).

Coś mi się w oczach miga... napiłbym się wody.

Irena.

Nie wiem gdzie na tem polu z sobą się spotkamy,  
Lecz wiem że moja zemsta nie zna żadnej tamy:  
Prędzej później dosięgnie, chociażby i w grobie.  
To chciej pan dobrze...

P. Prosper.

Wody!

Irena.

Popamiętać sobie.

To powiedziawszy idę...

P. Prosper (*siadając na krześle, coraz słabiej*).

Wody!

Irena.

Do Barona,  
Wydać jak się sprawuje jego godna żona.  
Niechaj wie że ta pani, która jest tak harda,  
Która wczoraj okryła mnie wstydem i wzgardą,  
Sama sobie pozwala niektóre swobody.

**P. Prosper** (*zrywając się*).

Baronowa!

Irena.

Alfreda jest kochanką.

**P. Prosper** (*padając nazad na krzesło*).

Wody!

Irena.

Wkrótce się pan coś dowiesz o swém własném dziele.  
(*wychodzi w głębi*).

## SCENA VI.

**P. Prosper** (*sam po długim milczeniu*).

Na jednego człowieka tego już za wiele.

(*p. k. m.*)

Więc ja tego wszystkiego, ja mam być przyczyną,  
I wszystko co się stanie moją będzie winą?

(*wstając ze wzrastającym gniewem*)

Więc to ja, Prosper Brona, ja to wygadałem,  
Że się wszyscy tam będą dziś kochać za wałem,



Ze Irena Barona, Alfred Baronowę,  
Florestan Rotmistrzowę... Nie, ja tracę głowę!

*(z furją)*

Ha! Kiedy tak, to dobrze: niechaj się świat wali,  
Będziem się mordowali, rąbali, strzelali!  
Pójdę, pójdę, kupię im... niech widzą żem twardy,  
Pałasze, pistolety, kopje, halebardy!

*(to mówiąc zapina surdut, zaciska kapelusz na oczy i zataczając  
się wychodzi w głębi)*

---

## SCENA VII.

**Marya** *(sama, wychodzi ze swego pokoju).*

Stój, dokąd tak... Nie słyszał. — Czy mnie się zdawało,  
Czy ktoś klócił się tutaj? — Nie wiem co się stało,  
Lecz od wczoraj własnego obawiam się cienia,  
I niepokój mnie dręczy jak wyrzut sumienia,  
A przecie nie zrobiłam dotychczas nic złego. —  
Dotychczas. — Coś to słowo w sobie ma przykrego.  
Czyż właśnie niepowinno dla mnie być przestrogą!  
Tak, dotychczas szłam prostą, nieskalaną drogą,  
Dotychczas byłam prawą i ucziwą żoną,  
A teraz myśl do niego ciągle mam zwróconą.  
O nie, nie, precz z tą myślą która tutaj pali!  
Niech mnie Bóg od niej strzeże i myśl tę oddali.

---

## SCENA VIII.

**Julia, Marya.**

*Julia (wchodzi drzwiami w głębi mocno zmieszana).*

Marjo, Marjo! Ach ratuj, ratuj mnie, dla Boga!

**Marya.**

Cóż ci jest? Co się stało? Co znaczy ta trwoga?

*Julia (podaje jej otwarty liścik i zakrywa sobie oczy).*

Patrz, czytaj!

**Marya (czytając).**

Od Ireny! — Grozi że mężowi

Odkryje twój... stosunek...

**Julia.**

Ach, gdy on się dowie!

**Marya.**

Wszakże łatwo tę potwarz odeprzeć ci przyjdzie.

Jakto? Milczysz?

**Julia.**

Niestety, prawda na jaw wyjdzie.

**Marya.**

Juljo!

**Julia.**

Tak jest. — Jakkolwiek ciężkiem to wyznanie,  
Tobie jednej je zrobię, boś ty jedna w stanie  
Dziś mnie podać tę rękę, której mi potrzeba.  
Wiedz że kocham Alfreda.

**Marya** (*chwytając się za serce*).

Alfreda! O nieba!

**Julia.**

A on kocha Irenę. (*Marya wydaje przytłumiony jęk, na który Julia nie zważa i wpada w głębokie zamyślenie*)

O, któż pojąć może,

Ile ja cierpię! — Słuchaj. Wczoraj na wieczorze,  
Właśnie wtedy gdy ona tę piosnkę śpiewała,  
Dowiedziałam się o tém. — Zazdrość mnie porwała,  
I zrobiłam jej afront. — Oto jej odpowiedź.

**Marya** (*jakby przebudzona ze snu*).

Alfred kocha Irenę! — Dowiedz mi to dowiedz.

**Julia** (*niezważając*).

Cóż ci na tém zależy? Wiedz tylko że ona  
To czém tutaj zagraża, z pewnością wykona.  
Ja ten list odebrawszy, nie wiedząc co robię,  
Strwożona przyleciałam schronić się przy tobie.  
W tobie jednej mam ufność, w tobie mam nadzieję,  
Ratuj, bo ja już nie wiem co się ze mną dzieje.  
Wszak widzisz żem z obawy prawie obłąkana!

**Marya.**

Uspokój się, dla Boga!

**Alfred** (*za sceną*).

Zaczekam na pana.

**Julia.**

Alfred! — Teraz, przy tobie, widzieć go nie mogę,  
Lecz ty go ostrzeż.

*(Wychodzi śpiesznie we drzwi na lewo, — Alfred ukazuje się we drzwiach w głębi, w rękę trzyma szkatułkę z pistoletami).*

**Marya** *(do siebie).*

Boże! Wskaż mi teraz drogę!

## SCENA IX.

**Alfred, Marya.**

**Alfred** *(we drzwiach, spostrzegwszy Julię, na stronie).*

Julja tutaj! — Uchodzi! Cóż to znowu znaczy?  
*(głośno)* Niechaj moją natrętność pani mi wybaczy,  
*(kładzie szkatułkę na krzesło przy drzwiach. Idąc ku niej)*  
 Interes do Prospera tutaj mnie sprowadza.

**Marya** *(drżąca).*

Panie. . . .

**Alfred** *(na stronie).*

Jej pomieszenie coś tu złego zdradza.  
*(głośno)* Wiem że to z mojej strony śmiałości zbyt wiele.  
 Lecz daruj pani jeśli spytać się ośmielę,  
 Jaką dziś nadzwyczajną w pani widzę zmianę?  
 Milczysz? — Więc odpowiedzi żadnej nie dostanę?  
 Czyż przyjaźń obiecana już nie wypogodzi  
 Pochmurnego czoła? — Cóż?

**Marya.**

Julja ztąd wychodzi.

**Alfred.**

A!



Marya.

I wszystko wyznała.

Alfred.

Jej zazdrość szalona...

Marya.

O, nie... Przybiegła tutaj blada i strwożona;  
Dostała bowiem liścik od tej... tej... Ireny...

Alfred.

Która?

Marya.

Która z powodu tej nieszczęsnej sceny,  
Dzisiaj Julją chce zgubić.

Alfred (*chcąc szybko odejść*).

Nie, to się nie stanie!

(*wracając się*)

Lecz jakież pani o mnie będziesz miała zdanie?

Marya.

Ja? — O mnie się nie pytaj, ją pan śpiesz ratować.

Alfred.

O, nie, bo mnie to życie mogłoby kosztować!  
Niechaj cię nie zaklinam w tej chwili daremnie.  
Chciej odpowiedzieć!

Marya.

Cóż pan słyszeć chcesz odemnie?

Alfred.

Czy mój występki litość w twym sercu znachodzi,  
Czy mi pani przebaczasz?

Marya.

Śpiesz pan, czas uchodzi.

Alfred.

Ide, lecz wyrzec słowo, słowo przebaczenia!

Marya.

Jakże mogę przebaczać nie swoje cierpienia?  
Jeśli lekkomyślnością Julją pan zgubiłeś,  
To względem niej i siebie tylko zawiniłeś.

Alfred.

Pani nie masz litości! Względem ciebie, pani,  
Zbyt srogo zawiniłem, to mi serce rani.

Marya.

Więc sam pan to przyznajesz?

Alfred.

Przyznaję mą winę,  
Lecz wysłuchaj mnie pani, a poznasz przyczynę.  
Prawda że moja przeszłość była czeza i pusta,  
Że do czary zatrutej przytulałem usta,  
Że ją w mém obłąkaniu wychyliłem do dna,  
I że mną nieraz żądza miotała niegodna,  
Lecz serca to nie tknęło, jak Bóg jeden w niebie,  
Bo nigdy nie kochałem, nim poznałem ciebie!

Marya.

O, milcz pan, milcz, zaklinam!

Alfred.

Ach, czyż milczeć może  
Ten, komu rozpacz ostre w sercu topi noże,

Czyja dusza stanęła na cierpienia szczycie  
Pod wzdardą ukochanej nad miarę, nad życie!

**Marya.**

Wzdardy niema w mém sercu, lecz idź pan, dla Boga!

**Alfred.**

Przebaczasz?

**Marya.**

Zlituj się pan, każda chwila droga.

---

## SCENA X.

**Baron, Alfred, Marya.**

*(Baron ukazuje się we drzwiach w głębi)*

**Marya** *(spostrzegając Barona).*

A!

**Baron.**

Przepraszam że wchodzę tak bez zapytania,  
Czy mnie tutaj przyjmują. Lecz chęć pojednania  
Alfreda z Florestanem teraz mnie prowadzi.  
Obecność przyjaciela przy tém nie zawadzi.

**Alfred.**

Baronie. . . .

**Marya.**

Nie rozumiem. . . .

Baron.

Bardzo mi to miło....

Alfred.

Proszę....

Baron.

Że pojedynku dotychczas nie było.

Marya.

Pojedynku!

Baron.

Tak, pani.

Alfred (*zniecierpliwiony*).

Ależ proszę pana....

Baron (*do Maryi*).

Tak jest, oni się strzelać mieli dzisiaj zrana.

Marya (*na stronie*).

Serca w łonie nie czuję.

Baron (*na stronie*).

Muszę ich pogodzić,  
Bo ta sprzeczką u dworu mogłaby mi szkodzić.

(*spozrzegłszy pistolety, idzie po nie*)

Marya (*do Alfreda*).

Pan się strzelać nie będziesz. — Zaklinam...

Alfred.

Niestety,

Posłusznym być nie mogę.



**Baron** (który wyjął pistolety ze szkatułki, wraca z niemi).

Oto pistolety,  
Wszakże pani mówiłem, już przygotowane,  
Lecz bądź pani spokojną, ja tutaj zostanę.

**Marya** (do Alfreda, składając ręce).

Panie Alfredzie....

**Alfred** (ze spuszczonei oczami).

Pani....

**Baron** (na stronie).

Niech się baby wdadzą:  
One to mi w tej sprawie najlepiej poradzą.

---

## SCENA XI.

**Ciż, Florestan, za nim Rotmistrz.**

**Baron.**

Tam do djabła!

**Marya.**

Mój Boże!

**Rotmistrz.**

Panie Florestanie!

**Florestan.**

Nie! Ja się z przyjacielem bić nie jestem w stanie.  
Niech o mnie co chcą myślą, ja szczerze wyznaję,  
Że zbłądziłem i śmiało rękę tu podaję.

Kto jak ja swego męztwa dał świetne dowody,  
Ten się zrobić nie boi pierwszy krok do zgody.

**Rotmistrz.**

Ależ....

**Baron.**

Tak jest, tak, brawo! Daj rękę, Alfredzie.

**Alfred.**

Chętnie.

**Marya** (*na stronie*).

Odżyłam.

**Rotmistrz.**

Sprzeczką....

**Baron.**

Tylko do głupstw wiedzie.

## SCENA XII.

**Ciż sami, Irena.**

**Irena** (*wchodząc w głębi*).

A, tu panów zastaję, to jest wyśmienicie...

**Marya**

(*biegnie naprzeciwko niej, chwytając ją za rękę i pokazuje jej pistolety w ręku Barona, — cicho*).

Patrzaj pani! Na Boga, tu chodzi o życie!

(*Julia ukazuje się w odchylonych drzwiach na lewo i przysłuchuje się*).

**Marya** (*głośno, trzymając wciąż Irenę za rękę*).

Dzięki pani żeś chciała tak śpiesznie się stawić,  
Gdyż Baronowa, pragnąc niegrzeczność naprawić,  
Już wczoraj zażądała bym was sprowadziła....

**Irena.**

Nie pojmuję....

**Marya** (*cicho do Ireny*).

Miej litość. (*głośno*) Jam to uczyniła

Z prawdziwą przyjemnością, ponieważ móm zdaniem,  
Łagodziec — jest prawdziwém kobiet powołaniem;  
I wtedy na właściwém stanowisku stają,  
Gdy idą za swém sercem (*cicho z naciskiem*) i gdy prze-  
[baczają.]

**Irena.**

Zapewne Baronowa z obawy by w świecie....

**Marya** (*po chwili wewnętrznej walki cicho do Ireny*).

Ja go także kochałam, ratuję ją przecie!

**Irena** (*cicho do Maryi*).

Jakto, pani! I mnie, mnie robisz to zwierzenie,  
By mą zemstę powstrzymać? — Takie poświęcenie  
Zwycięża i zawstydza....

**Marya** (*ściska ją ukradkiem za rękę*).

Kto przebaczyć zdoła,  
Nie znajdzie w tém powodu uchylenia czoła.

**Irena.**

Pani jesteś aniołem.

**Marya** (*idąc ku drzwiom na lewo*).

Wydź Juljo kochana.

## SCENA XIII.

Ciż sami, Julia.

*Julia (wychodząc z pokoju, do Ireny).*

Wybacz pani tę chwilę...

*Marya (wskazując na Barona).*

Zazdrości o pana.

Baron.

Co? Jak? Czy to być może!

*(idzie do Julii i całuje ją w rękę)**Florestan (cicho do Rotmistrza).*

Patrz co się tu święci.

Irena.

Mnie państwo zachowajcie w łaskawej pamięci,  
Gdyż jutrzejszym pociągiem zagranicę jadę.

## SCENA XIV i OSTATNIA.

Ciż, P. Prosper.

*(P. Prosper wchodzi z nasuniętym na oczy kapeluszem i spuszczoną głowę w płaszczu, pod którym broń trzyma).**P. Prosper (do siebie).*

Mam przecie trzy pałasze, pistolet i szpadę.

*(Irena wychodzi)*

Marya.

Lecz już nie są potrzebne.



(*P. Prosper upuszcza pałasz, potem pistolet*)

**P. Prosper.**

A toż co nowego?

(*upuszcza resztę broni*)

**Marya.**

Tym razem, dzięki Bogu, nie już niema złego.  
Ci panowie podali zgodnie sobie ręce;  
Ja zaś, widząc iż tutaj w ciągłej żyjesz męce,  
Daleko od zatrudnień i swej lubej roli,  
Chcę tam z tobą powrócić. (*na stronie, kładąc rękę na sercu*)  
Ach, jak mnie tu boli.

**P. Prosper.**

Otóż to mi przyjemność robisz tém niezmierną.

**Marya** (*cicho do Alfreda*).

Nieprawda że do końca byłam siostrą wierną?

**Alfred.**

Pani....

**P. Prosper.**

Czy tylko nie śpię, czy mnie sen nie łodzi?  
Ach, jeśliby tak było, niech mnie nikt nie budzi,  
Gdyż lubię uciąć drzémkę, lecz mieć sny spokojne...

**Alfred.**

Ja powracam do pułku, gdyż znów mamy wojnę.

**P. Prosper** (*z radością*).

W istocie wojnę mamy? Same wieści błogie:  
Pszenica w górę pójdzie, woły będą drogie!

K O N I E C.



# PIOSNKA WUJASZKA.

**KOMEDYJKA ZE ŚPIEWKAMI,**

**W JEDNYM AKCIE.**

**PRZEDSTAWIONA PORAZ PIERWSZY WE LWOWIE**

**dnia 26 Stycznia 1836.**





WŁADYSŁAWOWI

HRABIEMU

KOZIEBRODZKIEMU

W DOWÓD PRZYJAŹNI

UTOR.

<http://rcin.org.pl>

## Osoby.

---

PAN PROFESOR DODOWSKI.

PLACYD CIOCIEWICZ, jego siostrzeniec.

WŁADYSŁAW.

EMIL.

STEFAN.

PANI BARBARA PIPERKOWSKA.

BASIA, jej córka.

KASPER, kelner kąpielowy.

TRZECH MUZYKANTÓW.

Rzecz dzieje się w Zdrojowie, miejscu kąpielowem  
w górach.

---

# PIOSNKA WUJASZKA.

## SCENA I.

*(Teatr przedstawia wspólną salę w hotelu. W głębi troje szklanych drzwi, przez które widać Zdrojów i góry. Na lewo więcej w głębi szafa, bliżej widzów drzwi z numerem 1 do pokojów p. Pi-perkowskiej. Na przodzie sceny stół przykryty zieloném suknem, na nim rozłożone gazety, kałamarz, papier, pióra, dzwonek i t. p. naokoło kilka krzesel. Na prawo dwoje drzwi: bliższe widzów z numerem 2, dalsze z numerem 3. Na przodzie sceny podłużny stół, parę krzesel).*

**Emil sam, później Stefan.**

**Emil**

*(wychodząc ze drzwi Nr. 2).*

Dobrze, — jeden poleciał gdzieś na polowanie, drugiego dobudzić się nie można. Mili towarzysze i miłe miejsce do zabawy. — Niema dwudziestu czterech godzin jak tu przyjechaliśmy na to tylko, żeby się bawić, a już mam potąd tego Zdrojowa. Na honor, tutaj z nudów oszaleć można.

**Stefan**

*(wchodząc w głębi po myśliwsku ubrany ze strzelbą w rękę).*

Żeby ich tu wszyscy diabli wzięli z ich polowaniem!

**Emil.**

A, to ty Nemrodzie! Cóż? jak widzę, niebardzo ci się łowy powiodły.

Stefan.

Od piątej z rana łączę po górach, parowach, przepaściach za tym nieszczęsnym przewodnikiem, który wczoraj obiecywał do samego barłogu dzika mnie doprowadzić... wszakże sam słyszałeś?

Emil.

Słyszałem i wątpiłem.

Stefan.

Wyobraź sobie, nie tylko dzika, ale wróbla jednego, nędznego wróbla nie widziałem.— Uf! Umieram z głodu.  
(woła) Kasper!

Emil.

Jakto, tyś głodny?

Stefan.

Jakto, czym głodny?

Emil (*śpiewa*).

No, bo przyznaj między nami,  
Żeś się wczoraj przy wieczerzy  
Diabie zwijał z półmiskami...

Stefan (*śpiewa z oburzeniem*).

Ten mi śpiewa o wieczerzy!

Emil.

Pięć kotletów i pierogi...

Stefan.

Byłem z drogi, byłem z drogi!

Emil.

Potem, bratku, dwie pieczenie...



**Stefan.**

Pierwszy impet, zapomnienie!

**Emil.**

I z kapłona się zostały...

**Stefan.**

Piękny kapłon! kureczak mały.

**Emil.**

Na talerzu tylko kości.

**Stefan.**

To ze złości! To ze złości!

*(mówi)*

Tyś się prawdziwie uwziął na mnie; co zjadłem, to zjadłem, ale to było wczoraj, a dziś parę mil na czczo uszedłem. *(woła)* Kasprze! Nieszczęsny, zaklęty Kasprze!

---

## SCENA II.

**Ciż, Kasper.**

**Kasper** *(wbiegając).*

Służę jaśnie panu!

**Stefan.**

Najprzód już ci wczoraj mówiłem, że nie jestem jaśnie, a teraz daj mi bifsztyku, tylko żywo.

**Kasper.**

Zaraz, panie, przyjdzie bifszyk na jednej nodze, tylko ogień pod kuchnią rozpała.

**Stefan** (*do Emila*).

Słyszysz, słyszysz! Dopiero ogień pod kuchnią rozpalać będą. (*do Kaspra*) Daj mi co masz napręde, kawy.

**Kasper.**

W ten moment zmięę.

**Stefan** (*zniecierpliwiony*).

Wódki, chleba, diabła smażonego.

**Kasper.**

Zaraz, panie, zaraz, skoro go złapię! (*wybiega w głębi na prawo*).

### SCENA III.

**Stefan, Emil, później Władysław.**

**Stefan.**

Cóż robi Władysław? ten uwodziciel, ten szatan, który nas do tej mądrej wycieczki namówił.

**Emil.**

Śpi jak zabity.

**Władysław**

(*we drzwiach Nr. 2 wyciągając się z ziewnięciem*)

A, — przepraszam, obudziłem się.

**Stefan.**

To szczęście!

**Władysław.**

Albo co? może długo spałem?

Emil.

Tylko czternaście godzin.

Władysław.

Któż się mógł spodziewać, że ten Zdrojów taka zaklęta dziura.

Stefan i Emil *(razem)*.

A, a, przecie pan przyznaje.

Władysław.

Jakże nie mam przyznać — ale czyż moja w tym wina? Chciałem żebyśmy parę wesółych dni razem przepędzili. Nie udało się. Wszystkiemu złemu ten zwoźniczy dziennik winien.

Emil.

Któż wierzy dziennikom!

Władysław.

Otóż właśnie widzę go tu na stole. *(bierze dziennik)*  
Patrzcie, co za anons. *(przeogląda anons, mrużąc półgłosem czyta)*

Brom, jod, sól, siarka.

Emil *(wpadając mu w mowę)*.

Anyż, kminek...

Władysław.

Czekaj, czekaj. *(czyta)* Na wszelkie rodzaje świeżych i zadawnionych reumatyzmów, paraliżów...

Stefan.

Wybryków bujnej wyobraźni...

**Władysław.**

O! oto jest. (*czyta*) Zarząd kąpielowy postarał się również o wygodę jak i o rozrywkę dla szanownych gości. Wyborna kapela dwa razy na dzień przy źródłach odegrywa najwytworniejsze symfonie.

(*słychać za sceną w dali trzech muzykantów grających fałszywie starego walca*).

**Emil.**

Słyszysz?

**Stefan** (*z westchnieniem*).

Ach, słyszę!

**Władysław** (*czyta*).

Również jak i najnowsze tańce na Reunionach w balowej sali zakładu, licznie napelnionej co Czwartku i Niedzieli.

**Emil.**

Prawda, trzech nas wczoraj było.

**Władysław** (*czyta*).

Okolica w zwierzyne bogata...

**Stefan** (*ironicznie*).

O, prawda!

**Władysław** (*czyta*).

Dostarcza jej obficie, równie miłośnikom polowania jak i restauracyi, którą tego roku objął kucharz francuzki...

**Stefan.**

A, tego już za nadto!



**Władysław.**

Przyznacie, że mnie ten anons mógł oszukać. Proponuję, żeby zdradliwy dziennik był ukarany, a to w następujący sposób. Po śniadaniu weźmiemy go na tarczę i rozstrzelamy. Potem zwiniemy obóz i ruszymy dalej w świat, gdzie indziej szukać zabawy. Ale najprzód myślmy o śniadaniu. — Hola, hej!

**Stefan.**

Otóż to jest, co najmądrzejszego dotychczas powiedziałeś.

---

## SCENA IV.

**Ciż, Kasper.**

**Kasper** (*wbiegając*).

Służę jaśnie panom!

**Stefan.**

No, cóż, a ta wódka?

**Kasper.**

Zaraz, panie, zaraz, skoro tylko pan traktyernik wyjdzie z kąpieli, bo ma klucze z sobą.

**Stefan.**

To posłać po nie.

**Kasper.**

Drzwi nie można otwierać bo pan traktyernik siedzi w wannie... a to przeciąg... mogłoby go zawiać  
Lecz za małą godzinę.

**Stefan.**

Tfy! (*siada zadąsany przy stoliku na prawo*) Słuchaj! ostryg nie macie?

**Kasper.**

Niema panie.

**Władysław.**

Nie przerywaj, ja to wiem zawczasu. — Pasztetu sztrasburskiego także nie macie.

**Kasper.**

Był przeszłego roku, ale się zepsuł.

**Władysław.**

Nie przerywaj, powiadam! — Dasz nam zrazy i... pieczeń wieprzową.

**Kasper.**

Dobrze, panie.

**Władysław** (*do Stefana i Emila*).

Zgoda?

(*Stefan bębni z niecierpliwością palcami po stole*)

**Emil.**

Zgoda.

**Kasper.**

Są i świeże pstrągi.

**Stefan** (*zrywając się*).

Pstrągi!

**Emil.**

Brawo!

**Władystaw.**

Kasprze, tyś złoty chłopiec. Dawajże nam najprzód pstrągi, potem zrazy, potem pieczeń, do tego dasz nam białego wina stołowego... albo wiesz co lepiej, postaw butelkę szampana do lodu.

**Kasper** (*chcąc odejść*).

Dobrze, panie.

**Emil** (*wołając za nim*).

Postaw dwie.

**Stefan** (*biegnąc za nim*).

Trzy!

**Kasper** (*odchodząc*).

Dobrze, dobrze, wnet wszystko będzie. (*odchodzi w głąbi*)

---

## SCENA V.

**Ciż**, *bez Kaspra*.

**Władystaw.**

Teraz chodźmy się przejść po ogrodzie dla nabrania apetytu.

**Stefan.**

Apetytu! a to na co? i tak ledwie z głodu nie zginę.

Emil.

Niebądźże nudnym.

Władysław.

Chodź, chodź. (*śpiewa*)

Zanim kucharz da śniadanie,  
 Mroźny szampan wyjdzie z lodu,  
 Aby skrócić to czekanie,  
 Chodźmy razem do ogrodu.

Emil (*śpiewa*).

Śpieszmy wzory brać z natury,  
 Gdy sposobność nam się zdarza:  
 Takie lasy, takie góry  
 Co za widok dla malarza!

Stefan (*śpiewa*).

Bierz tam licho te widoki  
 I piękności mdłej natury!  
 Mnie tymczasem wkłęsną boki,  
 Bom jest głodny jak pies bury!

Razem (*śpiewają*).

Władysław. { Zanim kucharz da śniadanie,  
 { Chodźmy, chodźmy do ogrodu.

Emil. { Zanim kucharz da śniadanie,  
 { Chodźmy, chodźmy do ogrodu.

Stefan. { Zanim kucharz da śniadanie,  
 { Ja tam gotów umrzeć z głodu.

(*Słychać za sceną trzech muzykantów grających fałszywie marsza tryumfalnego*).



Emil.

Ktoś przyjechał.

Władysław.

Może jakie kobiety!

Kasper

*(za szklanemi drzwiami wchodząc od prawej strony z kuferekami w ręku).*

Proszę panów tędy za sobą. *(Kasper wchodzi środkowemi drzwiami, za nim widać idących Dodowskiego i Placyda)*

Władysław.

Dobre figury.

Emil.

Żywe wzory.

Stefan *(do Kaspra).*

Pamiętaj o śniadaniu.

Kasper.

Dobrze panie. *(do wchodzącego Dodowskiego)* Pokój zaraz będzie uprzątnięty. *(stawia kufarki w głębi przy drzwiach. Władysław, Emil i Stefan wychodzą w głębi drzwiami na lewo).*

---

## SCENA VI.

**Kasper, Dodowski, Placyd.**

*(Pan Dodowski w pudermantlu z płóciénka, pod którym ma bronzowy surdut; na szyi chustka biała z dużemi stojącemi kołnierzykami, kamizelka czarna atlasowa, spodnie czarne, na głowie czapka popielata z długim daszkiem. W kieszeniach pudermantla książki. Pod jedną pachą trzyma tekę z papierami, pod drugą duży czerwony parasol. W jednej ręce niesie torbę podróżną, w drugiej poduszkę skórzaną. Placyd w nankinowym albo w białym stroju od stóp do głowy. Długie jasno blond włosy płasko zaczesane, na głowie kapelusz słomiany z jasno niebieską wstążką, na szyi jasno niebieska krawatka. Przez siebie ma zawieszoną blaszaną puszkę, jakiej naturaliści używają. W prawej ręce trzyma przez ramię parę wędek i siatkę do łapania motylów, w lewej koneweczkę blaszaną na ryby; rozgląda się na wszystkie strony).*

**Dodowski.**

Dobrze, mój przyjacielu, dobrze, złóż tymczasem tutaj te wszystkie rzeczy. *(oddaje mu rzeczy, które trzymał)* Tak, tutaj gdzie na widoku, bo to czasem mógłby kto... się zamieniać, he, he, he, zamieniać....

**Kasper.**

Niech się wielmożny pan nie troszczy, nasz dom jest pewny i spokojny.

**Dodowski.**

To mnie cieszy, bardzo cieszy. Lubię spokój i porządek, lubię, to także należy do kuracyi, tak, do kuracyi,

a ja przyjechałem się tutaj kurować, bo cierpię na...  
(*nachyla się do ucha Kaspra*)

Kasper.

O! o!

Dodowski.

Ale wasze wody, słyszę, na to dobre i skuteczne,  
skuteczne, nieprawdaż?

Kasper.

Wyborne, panie, wyśmienite. (*śpiewa*)

Ach mój panie, wszak to przecie  
Najsławniejsze wody w świecie!  
Kogo kolka w boku kole,  
Kto w żołądku cierpi bole,  
Kogo ciężka astma dusi,  
Lub się ciągłym kaszlem krztusi,  
Albo trzęsie mu się głowa,  
Niech przyjeżdża do Zdrojowa.

Dodowski (*mówi*).

Á! a!

Kasper (*śpiewa*).

Cóż pan powie,  
Nawet zdrowi  
Tu chorują,  
Lamentują,  
Aby nowe,  
Kąpielowe  
Zyskać zdrowie,  
Tu w Zdrojowie!

**Dodowski.**

Proszę, proszę.

**Kasper.**

Kogo ćwiczą sciatyki,  
Kto ma łydki jak patyki,  
Komu gościec stawy kurezy,  
Komu w brzuchu wiecznie burezy,  
Kto się jąka lub garbaty,  
Zezem patrzy lub pękaty,  
Komu paznóg w palec wrasta,  
Niech przyjeżdża tu i basta.

**Dodowski.**

A, ba!

**Kasper.**

Cóż pan powie,  
Nawet i t. d. (*jak wyżej*).

**Dodowski.**

Hm, hm!

**Kasper.**

Jedna pani, co szukała  
Nowych meblów do swej gęby,  
Szkłanki wody zażądała,  
Przejeżdżając właśnie tędy:  
Ach, dalibóg, ja nie kłamię,  
W próżnej gębie, niby bramie,  
Odrośły jej nowe zęby,  
I to, panie, we dwa rzędy!



Dodowski.

O! o!

Kasper.

Cóż pan powie,  
Nawet i t. d. (*jak wyżej*)

Dodowski.

Szczególne! szczególne!

Kasper.

Pewien żołnierz w zeszłym roku,  
(Wszyscyśmy go tu widzieli)  
Co mu granat pękł był w oku,  
Miał tu dziurę tak głęboką.  
Ten wojownik, panie, stary,  
Nie dałbyś pan temu wiary,  
Gdy tu nurka dał w kąpieli,  
Znowu przejrzał na to oko.

Dodowski.

O! o! o!

Kasper.

Cóż pan powie,  
Nawet i t. d. (*jak wyżej*)

Dodowski.

Nie do uwierzenia! nie do uwierzenia!

Kasper.

Jedna panna tutaj miała....

*Dodowski (żywo zatykając mu gębę).*

Dosyć już tego będzie, dosyć. A teraz powiedz mi, przyjacielu, kogo tutaj macie?

Kasper.

O, nadzwyczaj przyjemne towarzystwo. Najprzód jest tu pan radca Huncelpikelnikier, bardzo miły człowiek; język ma sparaliżowany.

Dodowski.

Sparaliżowany!

Kasper.

I jedną rękę, ale się drugą bardzo dobrze na migi rozmawia. Dalej jest panna Zefryna Wiaterkiewiczówna baletniczka z Warszawy.

Dodowski.

*(żywo wstaje przed Placydem i zasłania go połamami pudermantla).*

Baletniczka!

Kasper.

Biedną staruszkę wożą na krzeselku, bo chodzić nie może.

*Dodowski (odstaniając Placyda).*

Więc była baletniczka, była.

Kasper.

Tak panie, była.

Dodowski.

Spodziewam się, że tutaj dużo dam nie macie. Nie lubię damskiego towarzystwa, nie lubię. (*pokazując Kasprowi oczami Placyda*) To wszystko tylko roztrzepane, modami zajęte, tylko fiu, fiu, tylko fiu, fiu.

Kasper.

Mamy jeszcze panią Piperkowską.

Placyd.

A! (*upuszcza koneveczkę*)

Dodowski.

A to co?

Placyd (*szepleniąc*).

To... to... nie wujasku.

Dodowski.

Jakto nie, jakto?

Placyd.

To... to tak wujasku, coś mnie ukąsiło.

Dodowski.

Owad? (*do Kaspra*) Czy tu są owady?

Kasper.

Tego rodzaju zwierząt zupełnie nie mamy; może pchła panicza ukąsiła.

Dodowski.

Simplex homo... No, idźże mój przyjacielu, poźność te rzeczy i przygotuj nam pokój. Spodziewam się że będziemy mieli dobry pokój, co, nieprawda, dobry?

**Kasper.**

Doskonały Nr. 3, pokój pana Stękały z Litwy, który tu co roku przyjeżdżał. Już od samego rana codzień wołał: *(naśladując mocny akcent litewski)* „No, jakóż Kasperku, toż moja kąpiel jeszcze niegotowa“.

**Dodowski.**

Tego roku go niema?

**Kasper.**

Nie, panie, tego roku nie mógł przyjechać, bo umarł.

**Dodowski.**

Umarł, no proszę ja kogo, umarł! Słyszysz, Placiu, umarł!

**Kasper.**

Ale gdyby był przyjechał, byłby pewnie żył do samej śmierci.

**Dodowski.**

Być może, być może. — A teraz idźno, idź przygotować pokój.

**Kasper.**

Idę panie. *(zabiera kufierki i wychodzi do drzwi Nr. 3).*

---

## SCENA VII.

**Dodowski, Placyd.**

**Dodowski.**

Kontent jestem, że tu przyjechałem, bardzo kontent; spodziewam się, że te wody będą skuteczne.



**Placyd.**

*(który od chwili wykrzyknięcia zdawał się miotany gwałtownymi uczuciami i sam z sobą gestykulując rozmawiał, rzuca wędkę i siatkę na motyle na ziemię i pada do nóg Dodowskiemu).*

Pobłogosław mnie wujasku!

**Dodowski** (*przestraszony*).

A to co! oszalał! surge puer! quidnam...

**Placyd.**

Wujasku, ja się chcę żenić!

**Dodowski.**

Co, co, żenić?

**Placyd.**

Tak wujasku.

**Dodowski.**

Ty... ty się chcesz żenić, ty...

**Placyd.**

Wujasku, ja się kocham!

**Dodowski.**

Otóż macie, Takie głupstwo! Ale z kąd, gdzie, jak, w kim, z kim?

**Placyd.**

Jakto w Kimskim, wujasku?

**Dodowski.**

Pytam cię się, nieszczęsny chłopcze, w kim się kochasz, z kim się chcesz żenić? Quem vis in matrimonium ducere?

Placyd.

Ja wszystko powiem, wujasku. Tej zimy, gdy mieszkalem u pana profesora Prsklawicka we Lwowie, na pseciwko nas mieskala pani Piperkowska. Jej córka zawse psy oknie z robótką siedziala.

Dodowski.

I cóż?

Placyd.

Otóz, wujasku, ja się na nią tak patsał, patsał, patsał.

Dodowski.

A ona?

Placyd.

Ona się na mnie patsala.

Dodowski.

Więc patrzyliście się na siebie jak koty na dachu.  
Sicut feles in mense martio.

Placyd.

Tak wujasku. *(śpiewa)*

Ja się patsał tęsknym wzrokiem,  
Ona także culém okiem,  
I tak ciężkom wzdychał, wzdychał,  
Zem jus ledwie dychał, dychał!

A gdy mrozy pościskały,  
Tak ze syby zamarzały,  
Wtędym chuchał, chuchał, chuchał,  
Pókim dziurki nie wychuchał!  
Wrescie gdy już wyjeżdzałem,  
Wtedy, wujciu — fait! zemdlałem.

Potém bardzom sło chał, sło chał,  
Bom się strasnie, strasnie kochał!

**Dodowski.**

I nie więcej?

**Placyd.**

Nie wujasku.

**Dodowski** (*na stronie*).

Oddycham! O simplex juvenus! (*głośno*) Ale któż  
ona jest, ta pani Piperkowska?

**Placyd.**

Ja wszystko wiem, wujasku, bo ja dałem ich stró-  
zowi pół cwancygiera, żeby się dowiedzieć. Pani Pi-  
perkowska sędzina z Kołomyi jest wdową po swoim  
mężu...

**Dodowski.**

Aha — coś o nim sły szał em, sły szał em. — Pan sę-  
dzia Piperkowski był podobno dość mają tny człowiek,  
dość mają tny, tak, tak.

**Placyd.**

Oni bardzo poządnie zyją, psy oknach mają franki.

**Dodowski.**

Mają, to dobrze.

**Placyd** (*chcąc mu się do nóg rzucić*).

Więc pobłogosław mnie, wujasku.

**Dodowski.**

No, no, no, hola... bo to jakoś tak gwałtownie...  
a ty wiesz, że ja nie jestem zwolennikiem małżeństwa,

nie jestem, gdyż przedewszystki $\acute{e}$ m lubi $\acute{e}$  spok $\acute{o}$ j i porz $\acute{a}$ dek, tak, spok $\acute{o}$ j i porz $\acute{a}$ dek.

**Placyd.**

Ja si $\acute{e}$ , wujasku, spokojnie i poz $\acute{a}$ dnie ozenie $\acute{u}$ .

**Dodowski.**

Ale s $\acute{l}$ uchajno, bo to jako $\acute{s}$ ... ty jeszcze bardzo m $\acute{o}$ dy jeste $\acute{s}$ .

**Placyd** (*z prozopopej $\acute{a}$* ).

Wujasku! Pompejus, gdy mu senat tryumfu odma-  
wiał, bo by $\acute{l}$  za m $\acute{o}$ dy, co powiedzia $\acute{l}$ ? „Wschodz $\acute{a}$ ce  
s $\acute{o}$ nce gor $\acute{e}$ tse jak zachodz $\acute{a}$ ce!“ Ja jestem wschodz $\acute{a}$ ce  
s $\acute{o}$ nce, wujasku!

**Dodowski.**

Bene puer dixisti. Lubi $\acute{e}$  w tobie ten zap $\acute{a}$ ł i t $\acute{e}$  cy-  
tacy $\acute{a}$ , lubi $\acute{e}$ .

**Placyd** (*chc $\acute{a}$ c mu si $\acute{e}$  znowu do n $\acute{o}$ g rzuci $\acute{c}$* ).

Wi $\acute{e}$ c pob $\acute{l}$ ogosław mnie...

## SCENA VIII.

**Władysław** (*wchodz $\acute{a}$ c w g $\acute{ł}$ ębi po lewej*).

Zapomnia $\acute{l}$ em... A! (*zatrzymuje si $\acute{e}$  i przys $\acute{l}$ uchuje*)

**Dodowski.**

No, no, zobaczymy, zobaczymy, tylko nie gwałtow-  
nie, nie gwałtownie. Trzeba si $\acute{e}$  przedewszystki $\acute{e}$ m trzy-  
ma $\acute{c}$  form, jakie dobre wychowanie i przyzwoito $\acute{s}$   
nakazuj $\acute{a}$ . Należy si $\acute{e}$  najprz $\acute{o}$ d przedstawi $\acute{c}$  pani Piper-  
kowskiej.



**Placyd.**

Tak, tak, przedstawmy się, wujasku.

**Dodowski.**

Potém trzeba prosić panią Piperkowską o pozwolenie dla ciebie starania się o rękę jej córki.

**Placyd.**

Ach, tak, tak, prośmy, wujasku.

**Władysław** *(na stronie).*

Brawo! z tego może być coś zabawnego.

**Dodowski.**

Hm, hm, ale któż nas tutaj przedstawi pani Piperkowskiej, któż?

**Władysław** *(przystępując do nich).*

Ja, panie dobrodzieju, jeżeli pan dobrodziej raczysz na to pozwolić. *(na stronie)* Wprawdzie jej nie znam, ale to nic nie szkodzi. *(głośno)* Bardzo miło mi będzie panom oddać tę małą usługę.

**Dodowski.**

Z kimże mam honor?...

**Władysław.**

U wód znajomość jest łatwą, wszakże z damami trzeba się zawsze pewnych form trzymać. Zwłaszcza osoby tak poważne, jak pan dobrodziej...

**Dodowski** *(na stronie).*

Grzeczny człowiek, grzeczny. *(głośno)* Pan zatem byłbyś tak łaskaw...

**Władysław.**

Z największą ochotą.

**Placyd** (*do Władysława*).

Bo ja nie wiem czy pan wiesz, że ja się kocham?

**Władysław.**

Zgadłem to odrazu: panu to z oczu patrzy.

**Placyd.**

I chcę się zenić.

**Władysław.**

I to wiem. Znać po formie czoła, pan jesteś predestinatus.

**Dodowski** (*na stronie*).

Mówi po łacinie!

**Placyd** (*do Władysława*).

Prawdziwie?

**Władysław.**

Neomylnie. — Ale kiedy panowie w takich tu jesteście zamiarach, sądziłbym, że najlepiej nie tracić czasu. Możeby wujaszek dobrodziej był łaskaw się trochę przebrać...

**Dodowski.**

Dobrze, panie, dobrze, tylko to jakoś tak gwałtownie na mnie spadło, że radbym się trochę zastanowić, bo to matrimonium, panie, matrimonium...

**Władysław.**

Ale jeżeli tu idzie o szczęście drogiego siostrzeńca.

**Placyd.**

Ach, tak, o szczęście!

**Dodowski.**

Zresztą przyznam się panu, jestem trochę z drogi zmęczony, bo ja panie cierpię na.... *(nachyla mu się do ucha)*

**Władysław.**

O! o! *(ściska go za rękę z politowaniem)* To bardzo przykre. Zważywszy jednak, że okoliczności są tak ważne....

**Dodowski.**

Prawda, panie, ważne, niezmiernie ważne, masz pan dobrodziej słusność. Więc pójdę wdziac frak na siebie, bo tak wypada, nieprawda, tak wypada?

**Władysław.**

Niewątpliwie. — Wujaszek dobrodziej zna doskonale formy światowe.

**Dodowski.**

Więc idę, idę i zaraz wrócę. *(odchodząc do drzwi Nr. 3, do siebie)* Bardzo miły, przyzwoity młodzieniec.

*(wychodzi).*

---

## SCENA IX.

**Władysław, Placyd.**

**Władysław** (*do siebie, zacierając ręce*).

Brawo! intrygę mamy zawiązaną, teraz tylko trzeba tamtych uprzedzić. (*chce odejść*)

**Placyd** (*do siebie*).

Jestem najscęśliwszy nad scęśliwemi... Panie, panie, dokąd pan idziesz?

**Władysław.**

Przejdę się trochę po ogrodzie, wnet wrócę.

**Placyd.**

Zaraz panie, tylko proszę na słówecko. Pan tak wszystko odrazu poznajes, że ja mam ogromną ufność do pana, chciałbym więc pana prosić. (*śpiewa*)

Niech mnie pan obdazy  
 Radą swą w tej mieze:  
 Akcesoria stroju  
 Cy są dosyc świeze;  
 Cy mi są do twazy  
 I gustowne w kroju? } bis

**Władysław.**

Niech się pan nie boi,  
 Wziąwszy pro memoria,  
 Że skoro już w rzędzie  
 Mężów pan stać będzie,



Żona go przystroi }  
 Sama w akcesoria. } bis

(wychodzi w głębi na lewo).

## SCENA X.

**Placyd, później Stefan i Kasper.**

**Placyd.**

Miłość co za roskos! (chodzi zamyślony)

**Stefan** (wprowadzając za ucho Kasptra).

Będiesz ty nakrywał do śniadania, rozbójniku ?

**Kasper.**

Aj, aj! zaraz panie.

(Stefan go puszcza. Kasper otwiera szafę, dobywa z niej naczyń i nakrywa stół po prawej. Stefan chodzi dużemi krokami po scenie, spotyka się parę razy z Placydem, który gestykulując w drogę mu włazi. Placyd zawsze na bok odskakuje, wreszcie tak się spotykają że się minąć nie mogą).

**Stefan.**

Cóż u kroć diabłów, pan mi wciąż w drogę włazisz!

**Placyd.**

Ja tak, panie, chodzę, bo się kocham.

**Stefan** (odwracając się tyłem do niego).

Idź pan do diabła ze swoim kochaniem. (do Kasptra) No śpiesz się gapiu! (do siebie) Sam pójde do

kuchni; bez tego kucharz dziś nie wyda śniadania. (*wychodzi w głębi na prawo*).

---

## SCENA XI.

**Placyd, Kasper.**

**Placyd.**

To jakiś gbur. Ja mu grzecznie powiadam, że się kocham, a on mnie besta. Ty wiesz, Kaspse, że ja się kocham?

**Kasper** (*nakrywając*).

To dobrze, paniczu.

**Placyd.**

Prawda, że to dobrze? Ja jestem bardzo szczęśliwy. Wujasek przedstawi się pani Piperkowskiej, potem mnie przedstawi, potem się ożenię, potem będę miał żonę i dużo, dużo dzieci.

---

## SCENA XII.

**Dodowski, Placyd, Kasper.**

**Dodowski.**

Otóż jestem gotów, ubrany, uzbrojony, in bellum armatus, he he he. Ale gdzież się podział ów miły młodzieniec, amabilis juvenis gdzież?

## Placyd.

Powiedział, że tu zaraz psyjdzie, wujasku. (*biegnie ku drzwiom w głębi*) O, o! już idzie z jakimś drugim panem.

(*Kasper skończywszy nakrywać, wychodzi*)

---

## SCENA XIII.

## Ciż, Władysław, Emil.

## Władysław.

Przepraszam, że się spóźniłem, lecz w podobnych naprzężonych chwilach nie jest się nigdy za nadto silnym, przyprowadzam więc panom nowego sprzymierzonego, którego znakomity rozsądek i doświadczenie wielce nam się przydać mogą

## Dodowski.

Miło mi jest poznać socium foederatum, bardzo miło.

## Emil.

Wzajemnie, panie dobrodzieju. Od dawna pragnąłem mieć zaszczyt być panu dobrodziejowi przedstawionym.

## Dodowski.

Za wiele honoru, za wiele. Tak to panie dobrodzieju, człowiek nigdy zawczasu nie wie, co na niego spadnie, nigdy. Ja przyjechałem się tu kurować, sanitatem quaerere, gdyż, panie dobrodzieju, ja cierpię na....  
(*nachyla mu się do ucha*).

Emil.

O, o! (*ściskając go za rękę*) Chciej pan przyjąć wyraz szczerego powinszowania, chciałem powiedzieć politowania.

Dodowski.

Dziękuję, ślicznie dziękuję. — Otóż, panie, raptem ten juvenis.... ale zapomniałem go przedstawić, przepraszam.... mój siostrzeniec Placyd Ciociewicz.... wyznaje mi....

Placyd.

Ze się kocham.

Dodowski.

Ze się ko.... że się chce żenić, i rad nie rad muszę go swatać, chociaż matrimonium nie pochwalam, nie pochwalam.

Właścystaw.

Mamy, panie dobrodzieju, swatać, to nie traemy czasu, chodźmy do pani Piperkowskiej.

Placyd.

Ach, chodźmy, nie traemy casu.

Dodowski.

Jakto, tak in graemio?

Emil (*który się dotąd z uwagą przypatrywał Dodowskiemu, zaczyna go naśladować*).

Jakże inaczej, jakże?

Dodowski.

W takim razie sądziłbym, że wypadałoby, żeby się Plasio jakoś przebrał, wypadałoby.



Emil.

Bene dixit avunculus, wypadaloby.

Dodowski.

Słyszysz Plasiu?

Placyd.

Słysę, wujasku, lecę. (*wybiega do pokoju Nr. 3*)

---

## SCENA XIV.

Ciż, *bez Placyda.*

Władysław.

Należałoby, mojem zdaniem, skoro panów przedstawię pani Piperkowskiej, żeby pan dobrodziej, miał do niej małą mowę z godnością i czuciem.

Emil.

Tak, panie dobrodzieju, tak, parvunculam orationem.

Dodowski.

Ależ bo przyznam się panom, że ja do tego nie jestem wprawnym, bynajmniej wprawnym.... sam będąc kawalerem....

Emil.

I cierpiąc na....

Dodowski.

I cierpiąc na.... a tak, wszak już panu mówiłem.... wyszedłem z używania.

**Władysław.**

Cóż łatwiejszego; pan dobrodziej znałeś jej nieboszczyka....

**Dodowski.**

Jak żyję pana sędziego nie widziałem.

**Władysław.**

To nie nie szkodzi, ale mogłeś go pan widzieć, to tak tylko.... jako wstęp. Siedzieliście na jednych ławkach szkolnych, byliście przyjaciółmi, później srogi los was rozłączył.... tu mógłbyś pan nawet łzę nad sędzią uronić....

**Dodowski.**

Uronić? nie, panie.... nie potrafię.

**Emil.**

Więc tak pan zaczynaj. Zewsząd dziś zagrożone społeczeństwo stoi tylko na rodzinie, zaś rodzinę czém się osiąga? czém? Matżeństwem, copulatione!

**Dodowski.**

To mi się już lepiej podoba, daleko lepiej: copulatione.

## SCENA XV.

**Ciż, Placyd, Kasper.**

**Placyd.**

*(w jasno niebieskim fraku ze złotymi guzikami i popielatym cylindrze).*

Otóż jestem, wujasku, jestem.

*(Kasper wchodzi w głębi).*

**Emil** (*cicho do Władysława*).

Czy i ton się powtarza?

**Władysław.**

Chodźmy więc do pani Piperkowskiej.

**Kasper** (*poprawiając coś na nakrytym stole*).

Nie zastaniecie jej teraz panowie.

**Władysław i Emil** (*razem*).

Gdzież jest?

**Kasper.**

Siedzi w kąpielni.

**Razem.**

**Władysław i Emil, Dodowski i Placyd** (*zawstydzeni*).

A! A!            O! O!

**Kasper** (*idąc w głąb sceny*).

Ale otóż i ona wraca właśnie z łazienek. (*Kasper wychodzi w głąbi*)

**Dodowski** (*do Władysława*).

Panie, panie, ale czy to jakoś będzie przyzwyczajenie?

**Władysław.**

O i bardzo. (*śpiewa*)

Już się zbliża, już nadchodzi.

**Dodowski.**

Tak z kąpielni, czy się godzi?

**Emil.**

Wszak my grzeczność jej robimy.

**Władysław.**

Że się tutaj przedstawimy.

**Dodowski** (*śpiewa*).

Szukam mowy nadaremno,  
Czemuś łydki drżą podemną.

**Władysław** (*do Dodowskiego robiąc znak dania w papę*)

Gdyby była nieprzyjemną,  
Schowaj się pan tu przedemną.

**Placyd.**

W oczach robi mi się ciemno,  
Łydki strasnie dzą podemną.

**Emil** (*do Placyda*).

Pańska trwoga jest daremną,  
Wszak ci panna jest wzajemną.

## SCENA XVI.

**Ciż, pani Piperkowska** (*tubrana i zawinięta jak osoba wychodząca z kąpieli wchodzi w głębi i idzie ku drzwiom Nr. 1*).

**Władysław** (*zastępując jej drogę z niskim ukłonem*),

Czy mam zaszczyt mówić z jaśnie wielmożną sędzią Piperkowską?

**Piperkowska.**

Tak jest, panie.



**Władysław.**

Racz jaśnie wielmożna pani sędzina dobrodziejka pozwolić, ażebym jej najprzód siebie, a potém oto tych panów przedstawił. Jestem Władysław Sanfasoński, a tu mam honor pani sędzinie dobrodziejce przedstawić mego przyjaciela pana... pana... *(na stronie)* tam do diabła, zapomniałem jak się nazywa, *(głośno)* i jego siostrzeńca.

**Piperkowska** *(patrzac na niego zdziwiona).*

Panie...

**Dodowski** *(z niskim ukłonem).*

Jestem Symforian Gorgoniusz Placyd Dodowski, exprofesor gimnazyalny w Stanisławowie.

**Piperkowska** *(na stronie).*

Gdzieś tę twarz widziałam.

**Placyd.**

Ale ja, pani sędzino dobrodziejko, jestem Elias Narcyz Amancius Placyd Ciociewicz.

*(Emil odwraca się i zatyka sobie chustką gębę, żeby się nie śmiać)*

**Władysław.**

To jest pan Emil Śmieszkowski. *(Emil się kłania)* Mieliśmy właśnie zamiar pani sędzinie dobrodziejce w jej pomieszkaniu złożyć uszanowanie, lecz gdy szczęśliwy traf nam dozwolił ją tutaj spotkać, nie mogliśmy dłużej odwlekać upragnionej chwili przedstawienia.

**Piperkowska** *(obserwując ich ostro).*

Bardzo wdzięczną panom jestem za ich grzeczność, ale prawdziwie nie rozumiem...

**Władysław.**

Rzecz bardzo prosta, którą oto tu obecny pan profesor Dodowicz...

**Dodowski** (*poprawiając*).

Dodowski.

**Władysław.**

Dodowski pani sędzinie wyjaśni, jeżeli mu pani sędzina dobrodziejka chwilkę uwagi łaskawie udzielić raczy. (*cicho do Dodowskiego*)

Teraz śmiało cum oratione.

**Piperkowska.**

Przyznam się panom, że mi się to wszystko dość dziwném wydaje. (*do Dodowskiego*) Jednak słucham pana.

**Dodowski.**

(*wystawiając jedną nogę naprzód i kładąc rękę na sercu*).

Miałem przyjemność pana sędziego zagrożonego... nie... właściwie nie to chciałem powiedzieć... ś. p. społeczeństwo... to jest... źle się wyrażam... rodzina będąc małżeństwem, copulatione...

**Piperkowska.**

Do rzeczy, panie, do rzeczy.

**Władysław** (*cicho do Dodowskiego*).

Śmiało.

**Dodowski.**

Pani sędzina dobrodziejka przeszłej zimy mieszkałaś naprzeciwko pana profesora Prsklawiczka...

(*Emil parska śmiechem, Piperkowska to spostrzeża*)

**Piperkowska.**

Moi panowie, uważam, że sobie panowie jakiś żart robicie, ostrzegam wszakże panów, że jest niewczesny. Zatrzymujecie mnie tutaj w przechodniej sali, podobno na to tylko, żeby mi same śmieszne i nieprawdopodobne nazwiska wyliczać: Sanfasoński, Ciociewicz, Dodowicz.

**Dodowski** (*poprawiając*).

Dodowski Symforian Gorgo...

**Piperkowska.**

Dodowski, Dodowicz, wszystko jedno, zawsze zakazane nazwisko.

**Dodowski i Placyd** (*razem*).

**E** O, o!

**Piperkowska.**

Zapomnieliście, widzę, panowie, że macie do czynienia z Barbarą Piperkowską, sędziną z Kołomyi.

**Dodowski.**

Ależ pani sędzino dobrodziejko...

**Piperkowska** (*do Dodowskiego*).

Nie dziwiłabym się tyle młokosom, ale panu się dziwię i to bardzo, że pan, który przynajmniej na poważnego człowieka wyglądasz, bierzesz udział w takim... takim trzpiotostwie. Fe, wstydź się pan. — Ale to panom tak na sucho nie ujdzie, ja panom za to ręczę i panowie tej prezentacyi pożałujecie. To powiedziawszy, żegnam panów. (*odchodzi rozgniewana do swego pokoju*).

## SCENA XVII.

**Ciż bez Piperkowskiej.**

*(Władysław i Emil idą w głąb wstrzymując się od śmiech  
Dodowski i Placyd patrzą na siebie chwilę w milczeniu)*

**Dodowski** *(ostupiały)*.

A... a... to co?

**Placyd** *(na pół płacząc)*.

O... ona powiedziała, że to epiotostwo.

**Dodowski.**

Trzpiotostwo po... powiedziała!

**Placyd** *(śpiewa)*.

Ach! ach!  
Drogi wujasku,  
Siedzim na piasku,  
Wujcio zobacy,  
Tego w rozpacy  
Juz nie psezyję,  
Ja się zabiję.  
Ach! ach!

Drogi wujasku,  
Siedzim na piasku.  
*(płacząc)* U hu, hu, hu, hu!

**Dodowski.**

Ach, ach!  
Nie płacz chłoptasiu,  
Drogi mój Plasiu;



Bo serce moje  
 Krwawią łąz 2woje.  
 Nie niestracone:  
 Znajdę ci żonę.  
 Ach! ach!  
 Nie róbże wrzasku,  
 Siedzim na piasku.  
 (*placząc*) U hu, hu, hu, hu!

Razem.

Placyd.

Dodowski.

Ach! ach!	Ach! ach!
Drogi wujasku,	Nie róbże wrzasku,
Siedzim na piasku.	Siedzim na piasku.
U hu, hu, hu, hu!	U hu, hu, hu, hu!

Władysław (*śpiewa*).

(*przystępując do nich z jednej strony*).

Co się odwlecze,  
 To nie uciecze.

Emil (*śpiewa*).

(*przystępując z drugiej strony*).

Co odłożone,  
 To niestracone.

Razem.

Placyd.

Dodowski.

Ach! ach!	Ach! ach!
Drogi wujasku,	Nie róbże wrzasku,
Siedzim na piasku.	Siedzim na piasku,
U hu, hu, hu, hu!	U hu, hu, hu, hu!

**Władysław.**

No, no, panowie, uspokójcie się, wszakże nie niema straconego.

**Emil.**

Wszystko da się jeszcze naprawić.

**Placyd** (*plącząc*).

Hu, hu.

**Władysław.**

Któżby tak łatwo odstępował od zamierzonego celu, wszakże sam Wirgili powiedział: *Spectaculum est Deo dignum virum fortem mala cum sorte luctantem.*

**Dodowski.**

Tak jest, tak jest, powiedział, na honor, powiedział!

**Władysław.**

Otóż na złość sędzinie ożenimy się z jej córką.

**Placyd.**

Dziękuję panom, dziękuję.

**Emil.**

Nie rozpaczajmy zatém, nie rozpaczajmy, ale obmyślmy środki, jaki obrót dać sędzinie. *Tenebimus consilium.* }

**Dodowski.**

*Tenebimus, tenebimus.*

## SCENA XVIII.

**Ciż, Stefan za nim Kasper.**

*(Podczas tej sceny Kasper dowolnie wchodzi i wychodzi usługując. Stefan przepasany białym fartuchem, wchodzi w głębi od lewej, niosąc sam półmisek, za nim Kasper z drugim półmiskiem, które stawiają na nakrytym stole po prawej.)*

**Władystaw.**

Brawo! otóż i śniadanie. Przy jedzeniu i kieliszku dobre koncepta łatwo przychodzą. Siadajcie panowie z nami, a myśl tryśnie z głowy jak szampan z butelki.

**Stefan** *(odpasując fartuch).*

O! jacy mi teraz skorzy do jedzenia, a gdyby nie ja, śniadanie mielibyśmy na wieczrę. *(do Kaspra)* Idź po wino!

**Władystaw.**

Najprzód muszę panów zapoznać. *(do Dodowskiego)*  
To nasz przyjaciel Stefan.

**Emil.**

Sie dietus Żarłok.

*(Stefan rusza ramionami, Dodowski i Placyd się kłaniają)*

**Placyd** *(na stronie).*

To ten gbur.

**Władystaw** *(do Stefana).*

A to nasz nowy przyjaciel pan Dodowicz.

**Dodowski** *(poprawiając).*

Dodowski, panie, Dodowski.

**Władysław.**

Przepraszam, — to jego godny siostrzeniec, pan Ciociowski.

**Placyd** (*poprawiając*).

Ciociewicz.

**Stefan.**

Bardzo mi miło... ale jeżeli mamy jeść, to siadajmy.

**Dodowski.**

Właściwie nie wiem, czy mi wolno, gdyż jeszcze się z lekarzem nie rozmówiłem, a panu doprodziejowi zapewne niewiadomo, że ja cierpię na.... (*nachyla mu się do ucha*).

**Stefan.**

O! to nic nie szkodzi.

**Dodowski.**

Myślisz pan?

**Stefan.**

Zaręczam. (*wskazuje na sioł*) A zatem proszę panów.  
(*Wszyscy siadają do stołu w następującym porządku: Dodowski, Emil, Władysław, Stefan, Placyd*).

**Władysław.**

Tak, panie dobrodzieju, źle byłoby, gdyby w naszych trzech głowach, jak tu jesteśmy, nie znalazł się przed ujrzeniem dna pierwszej butelki, koncept, któryby zniewolił panią sędzinę oddać nam rękę córki.

**Dodowski** (*do Emila, który mu nalewa*).

Prawdziwie będzie za wiele, za wiele.



Emil.

Nie pan nie pytaj, nie ma nic zdrowszego na...  
na pańskie cierpienie, jak parę kieliszków dobrego wina.  
Experto crede pan Roberto.

Dodowski.

Panu Robert na imię?

Emil.

Tak, coś podobnego.

Stefan (*do Placyda*).

Mogę panu służyć?

Placyd.

Dziękuję panu, ja nie nie jem, bo się Kocham.

Władysław.

A cóż miłość ma do apetytu. Mnie pan słuchaj:  
jedz dobrze, pij jeszcze lepiej, a będziesz silniej kochał  
i będziesz kochanym!

Placyd.

Będę kochanym! Ach!

Emil.

Kobiety będą szaleć za panem.

Dodowski.

Prenez garde à la domestique.... chciałem rzec,  
à la jeunesse. Nie pij Plasiu.

Placyd (*pijąc*).

Nie, wujasku.

**Władysław.**

Panowie! Niema wesołego śniadania bez dobrej piosneczki: proponuję, żebyśmy coś zaśpiewali.

**Emil i Stefan** (*razem*).

Brawo, zaczynaj.

**Władysław** (*śpiewa*).

Póki młodość w żyłach wre,  
 Żyjmy dobrze i wesoło,  
 Nośmy w górę, w górę czoło,  
 Miejmy w oku śmiechu skrę. —  
 Młodość, młodość to nasz trzos,  
 W śmiech i figle on bogaty;  
 Kto bez śmiechu ma dukaty,  
 Niech na kwintę spuszcza nos!

**Dodowski** (*na pół pijany*).

Hę, hę, hę, hę. — Ja lubię wesołość, lubię. Sam byłem za młodu wesoły, bardzo wesoły. (*pije*) Hę, hę, nawet zanadto wesoły. Hę, hę, hę, hę. — Nie pij Plasiu!

**Placyd** (*pijąc*).

Nie, wujasku.

**Emil.**

Niechże nam wujaszek dobrodziej opowie, jak to dawniej bywało.

**Władysław i Stefan** (*razem*).

Prosimy, prosimy.

Dodowski.

Jak bywało! — O, ho, ho! fu! jak bywało! Dobrze bywało!

Emil.

Prawdziwie?

Dodowski.

Doskonale! Tak jak mnie tu widzicie, ja... ja byłem okropnym trzpiotem.

Emil, Władysław i Stefan *(razem)*.

Nie może być?

Dodowski.

Hultajem!

Emil, Władysław i Stefan *(razem)*.

O! o!

Dodowski.

Nie pij Plasiu.

Placyd *(pijąc)*.

Nie, wujasku.

Dodowski.

I jakim jeszcze! Wystawcie sobie, gdy kończyłem filozofią we Lwowie, mieszkałem naprzeciwko pensyi panien...

Emil.

Nie słuchaj Plasiu.

**Placyd.**

Nie, wujasku.

**Dodowski.**

Była tam jedna bruneteczka z czarnymi oczkami, okragłą twarzyczką, świeża, rumiana, pulchniutka (*posyła całusa w powietrze*) jak pączek dziewczyna.

**Placyd** (*z westchnieniem*).

Jak moja Basia.

**Dodowski.**

I tamta się Basią nazywała... Otóż z okienka do okienka... jakoś znajomość się zrobiła.

**Władysław.**

To mi był zuch z wujaszka!

**Placyd.**

Cy wujasek także chuchał?

**Dodowski.**

Nie pij Plasiu.

**Placyd** (*pijąc*).

Nie, wujasku.

**Emil.**

I cóż dalej się stało?

**Dodowski.**

Aha, zapomniałem wam powiedzieć, że bojąc się by ten romansik się nie wydał, gdyż wtedy albo mój albo jej ojciec byłby mi okrutne basy wsypał, przybrałem cudze nazwisko, nazwałem się Pegaziewiczem.



Stefan.

Śliczne nazwisko!

Emil.

Do pozazdroszczenia!

Dodowski.

A to dla tego, bo się wtedy więcej poezyi niżeli filozofii oddawałem.

Władysław.

Pan, pan wiersze pisałeś?

Dodowski.

Nie tylko pisałem, ale śpiewałem.

Emil (*składając ręce*).

Panie, złoty, kochany wujaszku, zaśpiewaj nam jedną ze swoich piosnek.

Dodowski.

Zaśpiewać! No! dziś jestem w dobrym humorze, zaśpiewam, i to tę piosnkę, którą dawałem znak Basi, by zeszła do pewnej furteczki, zkąd potém... no, wszystko jedno... Nie pij Plasiu.

Placyd (*pijąc*).

Nie, wujasku.

Emil, Władysław i Stefan (*razem*).

Piosneczkę! piosneczkę!

**Dodowski.**

Hm, hm! (*śpiewa*)

Księżyc wschodzi tam już nad gajem,  
Basiu, Basiu zgaś swoją świeczkę,  
Czyż nie słyszysz, że nad ruczajem  
Samiec wabi swą przepióreczkę.

Pyt py lit,  
Pyt py lit.

**Wszyscy** (*razem*).

Czyż nie słyszysz że nad ruczajem  
Samiec wabi swą przepióreczkę.

Pyt py lit,  
Pyt py lit.

**Dodowski.**

Porzuć, porzuć ciepłe łóżeczko,  
Kocur miaucząc na dachu woła:  
Chodź tu, chodź tu, do mnie koteczko,  
Nikt nas ujrzeć teraz nie zdoła.

Miau, au, au,  
Miau, au, au!

**Razem.**

Chodź tu, chodź tu, do mnie koteczko,  
Nikt nas ujrzeć teraz nie zdoła.

Miau, au, au,  
Miau, au, au!

**Dodowski.**

Cóż tam słyszysz pośród klombika?  
Prędko, prędko wdziejaj trzewiczki,  
Śpiesz się Basiu, głos to słowika,  
Który śpiewa obok samiczki.

Tiuch, tiuch, tiuch,  
Tiuch, tiuch, tiuch!

**Razem.**

Śpiesz się Basiu, głos to słowika,  
Który śpiewa obok samiczki.

Tiuch, tiuch, tiuch,  
Tiuch, tiuch, tiuch!

**Emil i Stefan** (*razem*).

Niech żyje wujaszek!

**Władysław.**

Nosić wujaszka! (*Władysław, Emil i Stefan porywają Dodowskiego na ręce i raz naokoło pokoju obnoszą; wróciwszy na środek sceny, stawiają go na ziemię; Dodowski się zatacza*)

**Emil** (*przyskakując do niego i biorąc go pod rękę*).

No, no! wujaszku, ostrożnie!

**Dodowski.**

To nic, tylko ten pokój jakoś tak się kręci.

**Stefan** (*podając mu drugą rękę*).

Niech się wujaszek trochę przejdzie po świeżem powietrzu, to mu dobrze zrobi.

**Dodowski.**

Dobrze, dobrze, ja z wami pójde, gdzie zechcecie, bo mi się podobacie. *(odchodząc w głąb)* Nie pij Plasiu. *(wychodzi w głębi na prawo, prowadzony przez Emila i Stefana)*

**Placyd** *(który się daremnie silił wstać).*

Nie, wujasku. *(za odchodzącymi)* Jabym także posełł do ogrodu.

**Władysław** *(ode drzwi odwracając się ku niemu).*

To chodź pan.

**Placyd.**

Kiedy mnie ksesło tsyma. *(krzycząc)* Wujasku!

**Władysław** *(śmiejąc się, wraca ku niemu).*

Daj pan wujaszkwowi pokój, wstań, napij się wody i trzymaj się ostro.

*(to mówiąc, dźwiga go, nalewa wody i szklankę mu podaje)*

**Placyd.**

Ostro! *(pije)*

**Władysław.**

A co? Już lepiej, nieprawda?

**Placyd** *(ożywiony).*

Lepiej, daleko lepiej.

**Władysław.**

Chodźmy.

**Placyd.**

Pockaj pan... Są tam panie, gdzie mnie pan prowadzis?



Władysław.

Dlaczego?

Placyd.

Bo ja lubię damskie towarzystwo...

Władysław.

Wszakże się pan kochasz w jednej...

Placyd.

Ja wszystkie Kocham... ja się chcę koniecznie umizgać!...

Piperkowska (*za drzwiami Nr. 1.*)

Pamiętaj, żebyś mi z pokoju nie wychodziła.

Władysław (*na stronie.*)

Co za myśl! (*głośno*) Kiedy pan się koniecznie chcesz umizgać, staraj się najprzód pani Sędzinie podobać, potem wszystko pójdzie jakby z płatka. Teraz sza, cicho, chwilę podслуchujmy, może się czegoś dowiemy. (*cofają się w głąb sceny.*)

---

## SCENA XIX.

Władysław, Placyd, Piperkowska.

Piperkowska.

(*wychodząc ze swego pokoju.*)

Przecież się trochę uciszyło. — Aż do trzeciego pokoju dochodziły mnie krzyki tych panów. — Zakazałam Basi wychodzić, bo ci panowie coś na zuchwałych patrzą paniczów. — Taki brak względów dla mnie, Sę-

dziny Piperkowskiej, pierwszej osoby tutaj w kąpielach! — To jest rzeczą niesłychaną. Ale ja sobie dam radę: zaraz zaniosę skargę na drodze urzędowej do zarządu kąpielowego. — Muszę sobie wszakże za świeżej pamięci nazwiska tych panów ponotować. — (*siada przy stoliku na prawo, bierze papier i pióro*) Lecz na cóż to się przyda? Nazwiska były oczywiście zmyślone. Nic nie szkodzi; dodam dokładny opis osób. — Ten pierwszy, który siebie i tamtych przedstawiał, Somsafoński czy Sanfasoński, młody, mina zuchwała... ale przystojny, tego mniej obwinimy. (*pisze*) Drugi Dod... Dodowicz, stary, mały, w peruce, twarz bez wyrazu, nos... nos... nie pamiętam nosa... Dziwna rzecz, przysięgłabym że go nie tylko gdzieś widziałam ale znałam... Na tym się wszystko skrupi. Tak, teraz przejdźmy do trzeciego, do tego małego blondynka; tego znam z pewnością, widziałam go, i to niedawno. A! tak, wszakże stary sam powiedział, że mieszkał na-przeciwko mnie; po całych dniach stał w oknie z nosem o szybę przyklepionym, nie spuszczał z oka moich okien. Czyżby ta dziwaczna prezentacya miała co innego na celu... czyżby... (*zamyśla się*)

**Władysław** (*cicho do Placyda*).

Teraz pora wyborna, tylko śmiało i natarczywie.

**Placyd.**

Natarczywie! (*Władysław na palcach wychodzi i staje za słupem między szklanemi drzwiami i przysłuchuje się*)

Pani Sędzino dobrodziejko!

**Piperkowska.**

A!

Placyd.

Pani Sędzino! Ja się kocham.

Piperkowska *(na stronie)*.

Zgadłam! *(głośno)* Mój panie, ta śmiałość...

Placyd.

Ja się bardzo kocham...

Piperkowska.

Pan się zapominasz...

Placyd.

Ja się strasnie kocham...

Piperkowska *(na stronie)*.

Biedny chłopiec. *(głośno)* Przyznam się, że to jest....

Placyd.

Ja się okropnie kocham...

Piperkowska.

Tak niespodziane, tak nadzwyczajne...

Placyd.

Ja się nadzwyczajnie kocham...

Piperkowska.

Że prawdziwie powinnabym się gniewać, ale pan jeszcze tak młodym jesteś... że niemam odwagi okazać się tak srogą, jakby się należało.

Placyd.

Ja się srodze kocham....

**Piperkowska.**

Lecz powiedzże mi pan, z kąd się w panu tak gwałtowna miłość wzięła?

**Placyd.**

Ja się gwałtownie Kocham...

**Piperkowska (z uśmiechem).**

Czy nie wtedy się to zaczęło, gdy pan naprzeciwno moich okien mieszkałeś?

**Placyd (na stronie).**

O! na pseciwko, jak wujasek! *(śpiewa)*  
Księżyc wschodzi tam już nad gajem...

**Piperkowska (mówi).**

Co to jest? Co ja słyszę!

**Placyd (śpiewa).**

Basiu, Basiu zgaś swoją świecę...

**Piperkowska (mówi).**

Jestem zgubiona, skompromitowana.

**Placyd (śpiewa).**

Cy nie słysys, ze nad rucajem...

**Piperkowska (mówi).**

Panie! Z kąd pan masz tę piosnkę, z kąd? Ha, już wiem! Wujaszek! Teraz go poznaję!

**Placyd (śpiewa).**

Samiec wabi swą psepióreckę....



Piperkowska.

Lecę; tą razą zdrajca mi nie ujdzie. (*wybiega w głębi na prawo*).

Placyd (*biegnąc za nią*).

Pyt py lit,  
Pyt py lit.

(*wybiega za nią*)

(*widac Władysława wybiegającego za niemi*).

## SCENA XX.

Basia (*sama*)

(*wychodzi nieśmiało z pokoju Nr. 1*).

Zdaje mi się, że dziś rano dostrzegłam przez okno tego ładnego blondynka, który się tej zimy tak czule na mnie patrzył. — Mamy teraz niema, chciałabym się przecie przekonać, czy to był on. — Gdybym go mogła gdzie spotkać... o nie, nie, gdybym choć zdaleka mogła go zobaczyć. — Ach, jakże mi serce bije... (*oglądając się*) Tutaj niema nikogo; gdybym zajrzała do ogrodu.

(*W chwili gdy się odwraca i idzie ku drzwiom w głębi, Dowski z rozwiązaną chustką na szyi, peruką na bakier, ukazuje się w szklanych drzwiach na lewo w głębi*).

A!

## SCENA XXI.

**Dodowski, Basia.**

**Dodowski** (*wchodzi pogwizdując nutę: „Księżyc wschodzi“, spostrzegając Basię*).

Wszelki duch!... co ja widzę?... Czy mnie oczy mylą? moja Basia!... czy mnie oczy...

**Basia.**

Panie!...

**Dodowski** (*idąc do niej*).

Jakto, nie poznajesz mnie? jakto...

**Basia.**

Ja pana nie znam.

**Dodowski.**

A to dobre! Mnie, mnie nie poznajesz, he, he, he!  
(*chce ją wziąć za rękę*) To dobre!

**Basia** (*cofając się*).

Ale, jak mamę kocham, ja pana nie znam.

**Dodowski.**

Co? Nie poznajesz mnie, swego Plasia! Nie poznajesz!  
(*chce się zbliżyć do niej*)

**Basia** (*przestraszona ucieka za stół na lewo*).Nie, nie! (*prawie płacząc*) Czego pan chcesz ode mnie?

**Dodowski.**

Czego chcę, pytasz, i nie rzucasz mi się na szyję,  
(*robi parę kroków ku niej*) nie rzucasz?

**Basia** (*na stronie*).

O mój Boże, to jakiś waryat!

**Dodowski** (*zachodząc za stół*).

Chodź w moje objęcia, chodź!

**Basia** (*uciekając za drugi stół*).

Panie, ja będę krzyczeć!

**Dodowski** (*śpiewa*).

Cóż tam słyszysz pośród klombika...

**Basia** (*mówi*).

Nic, nic nie słyszę...

**Dodowski** (*śpiewa*).

Prędko, prędko wdziewaj trzewiczki...

**Basia** (*mówi*).

O mój Boże, waryat, waryat!

**Dodowski** (*śpiewa*).

Spiesz się Basiu, głos to słowika...

**Basia** (*mówi*).

Mamo! mamo!

**Dodowski** (*śpiewa*).

Który śpiewa obok samiczki.

**Basia** (*uciekając po scenie*).

Ratujcie! ratujcie!

**Dodowski** (*goniąc za nią*).

Tiuch, tiuch, tiuch,

Tiuch, tiuch, tiuch!

*(Basia ucieka szklanemi drzwiami na lewo w głębi, pani Piperkowska wpada w głębi po prawej, spotyka i zatrzymuje Dodowskiego w środku sceny, chwytą go za rękę i gwałtownie naprzód sceny prowadzi).*

## SCENA XXII.

**Piperkowska, Dodowski.**

**Piperkowska.**

A tuś mi zdrajco!

**Dodowski** (*z przestrawu otrzeźwiony*).

Mościa dobrodziejko!

**Piperkowska.**

Nędzny uwodzicielu!

**Dodowski.**

Pani!

**Piperkowska.**

Niedość ci jednej było ofiary, za drugą gonisz!

**Dodowski.**

Pa... pa...

**Piperkowska.**

Niedość że pół życia we łzach za tobą przepędziłam, jakże cię teraz zastaje? Chwalącym się swojemi



sukcessami, kosztem mojego honoru! Goniącym za mo-  
jém dzieckiem! Ale teraz mi się nie wykręcisz!

**Dodowski.**

Niewiasto namiętna! czego chcesz odemnie, czego?

**Piperkowska.**

Czego chcę, zdrajco! I ty się jeszcze pytasz? Chcę  
żebyś mi wrócił honor, żeby ta piosnka, którą rozgło-  
siłeś, stała się piosnką mojego męża.

**Dodowski** (*chcąc uciekać*).

Horrendum!

(*Władysław i Emil wprowadzają w głębi po prawej Placyda  
i Basię, zatrzymują się i przystuchują*).

**Piperkowska** (*tapiąc go za połą*).

O, nie uciekniesz mi tą razą, Pegaziewicz!

**Dodowski.**

Zginałem! zginałem!

**Piperkowska** (*rozczulając się*).

Więc także to twoje przyjęcie! Udajesz, że mnie  
nie poznajesz, mnie, swoją Basię... chcesz uciekać,  
gdy ja... ja... (*śpiewa*)

Drogi Plasiu, zgasilaam świeczkę,  
I już wstałam z mego łóżeczka,  
Tylko wdzieję jeszcze spodniczkę:  
Wnet przyleci twa turkaweczka.

Urrr, rrr, rrr,

Urrr, rrr, rrr.

(*podczas tego śpiewu Dodowski gestykułuje, ale nie może  
słowa wymówić*).

**Dodowski** (*jakby raptem myślą natchniony*).

Pani sędzino dobrodziejko, ja bo cierpię na...  
(*chce się jej do ucha nachylić*)

**Piperkowska** (*odstępując*).

Zgaduję! Pan sędzia także cierpiał, to nic nie szkodzi!

**Dodowski** (*do siebie*).

Niema rady, niema!

**Piperkowska**.

Plasiu, podaj mi rękę.

**Dodowski** (*podając jej rękę z wahaniem*).

Basiu... lecz... tamta Basia... tamta?

**Władysław** (*przyprawdzając Basię i Placyda*).

Oto jest, przychodzi właśnie prosić starszych państwa młodych o błogosławieństwo dla młodszych państwa młodych.

(*Stefan wchodzi w głębi po prawej z trzema muzykantami, których ustawia, dając im po cichu instrukcyę i spoglądając czasami na Emila, który mu daje znaki*).

**Placyd** (*rzucając się do nóg Dodowskiemu*).

Pobłogosław mnie wujasku!

**Dodowski** (*chcąc go się pozbyć*).

No, błogosławię cię Plasiu, błogosławię.

**Placyd** (*wstając*).

Teraz — ja wujaska pobłogosławię!

**Dodowski** (*na stronie*).

Mówiłem, że coś na mnie spadnie, mówiłem.

*Basla (zbliżając się do Piperkowskiej).*

Droga mamó!

**Piperkowska.**

W istocie sama nie wiem, czy mam zezwolić...  
wszystko się jakoś tak nagle zrobiło.

*Emil (zbliżając się do niej).*

Może to panią zdecyduje.

*(Daje znak powtórzony przez Stefana muzykantom, którzy  
zaczynają fałszywie grać nutę „Księżyc wschodzi“)*

**Piperkowska** *(łapiąc za rękę Dodowskiego).*

Dobrze, dobrze, na wszystko przystaję.

**Władysław.**

Mamy więc dwa wesela dzięki „Piosnce Wujaszka“.  
*(śpiewa do publiczności).*

Gdyby może kto zachęcony  
Śród łaskawych tutaj słuchaczy  
Życzył sobie naprędce żony,  
Niech się tylko odezwać raczy:  
Miau, au, au,  
Miau, au, au.

**Wszyscy razem.**

Jeśli sobie kto życzy żony,  
Niech się tylko odezwać raczy:  
Miau, au, au,  
Miau, au, au.

KONIEC.





POZNAJ NIM POKOCHASZ.

PRZYSŁOWIE DRAMATYCZNE

W JEDNYM AKCIE, PROZĄ.

PRZEDSTAWIONE PORAZ PIERWSZY WE LWOWIE

dnia 3 Lutego 1868 r.



MOJEJ

Najukochańszej Matce

JAN ALEXANDER FREDRO.

POSOBY.

---

WANDA MORECKA, młoda wdowa.

WŁADYSŁAW RĄCZEWSKI, rotmistrz od dragonów.

Rzecz się dzieje w Szczawnicy.

---



## POZNAJ NIM POKOCHASZ.

---

Scena przedstawia mały elegancki salonik. W głębi we środku kominek. W rogach na prawo i na lewo drzwi ukośne. W drugiej kulisie na lewo duże stojące zwierciadło. W drugiej kulisie na prawo okno. Na przodzie sceny na lewo okrągły stolik dywanikiem przykryty, na nim kilka książek i dzienników mód, karafka kryształowa z dwiema szklankami na tacce, pudełko zapalek, bukiet, dzwonek i t. p. Na przodzie sceny na prawo kanapka na dwie osoby, przed nią trochę z boku maleńki stoliczek, na nim koszyk z damską robótką.

---

### SCENA I.

**Wanda** (*sama*).

*(Przy podniesieniu kurtyny Wanda stoi przed zwierciadłem i poprawia coś przy sukni lub we włosach).*

**Wanda.**

Róziu! Róziu! Boże mój, — Róziu! — Nie słyszy. — Nie nie pomoże, — trzeba sobie samej poradzić. Dziwna to jednak rzecz, że są dni, w których wyraźnie

nic się nie wiedzie. W istocie możnaby myśleć, że jakiś zły duch nie odstępował nas na krok od samego rana, we wszystkiemu nam się sprzeciwia, droczy się z nami i złośliwie nam dokucza. Muszę przecie zobaczyć którego dzisiaj mamy, niechaj przynajmniej wiem nadal, które dni mój pan zły duch sobie upodobał. *(idzie do małego stoliczka i dobywa z koszyka ręczny kalendarzyk)* Co widzę — 19-ty! Rocznica mojego ślubu z moim pierwszym mężem! — No, teraz już się niczemu nie dziwię. *(śmiejąc się)* Lecz cóż to wymówiłam: „Z moim pierwszym mężem!“ Mógłby kto myśleć, że mam już drugiego, *(z westchnieniem)* a tak nie jest, *(wesoło)* ale będzie! Tak jest, będę, będę go miała. Lecz tą razą nie wezmę go ani z poręki wujaszka opiekuna, ani cioci dewotki; lecz tego, który mnie się podoba, którego sama sobie wybiorę — a ten będzie, musi być dobrym. *(siada na kanapie, bierze robótkę i zaczyna haftować)* Wybrać! — nie jest to jednak rzeczą tak łatwą, jak się zdaje. Najprzód trzeba mu się podobać; — no, to nie tak bardzo trudno; powtóre trzeba, żeby on nam się podobał; wreszcie, i w tym właśnie główna trudność leży, trzeba go dobrze poznać. — Pan Julian? — Nie, — chowa brodę w kołnierzyki i przygląda się sobie we wszystkich zwierciadłach... Pan Edmund? — Wszak to nie człowiek, to żokej. — Pan Adolf? — Fe, pachnie pomadą o trzy kroki. — Gdyby może Pan Alfons? — Ale ten mi nie mówi tylko wzdycha, a przecie z samych westchnień człowieka poznać nie można. W istocie wśród naszej młodzieży wybór nie łatwy...

## SCENA II.

**Wanda, Władysław.**

*(Władysław wchodzi narożnemi drzwiami po prawej. Ubrany jest po cywilnemu, kapelusz ma głęboko na oczy nasunięty, w ręku trzyma pręcik, którym gwiżdże. Zatopiony w myślach nie widząc Wandy, przechodzi scenę, przy czém sobie ponuro nuci. Siada przy stoliku po prawej, Wanda spogląda na niego najprzód z zadziwieniem, potem wstrzymuje się od śmiechu.*

*Chwila milczenia).*

**Władysław** *(uderzając mocno pięścią w stół).*

Milion kroć sto tysięcy diabłów!

**Wanda** *(parska śmiechem).*

**Władysław** *(oglądając się raptownie).*

Kto tam? *(spatrzegając Wandę)* Co widzę, pani Morecka! Pani tutaj? *(wstaje i zdejmuje kapelusz)*

**Wanda** *(śmiejąc się do rozpuku).*

Ha, ha, ha! — Wybacz pan! ha, ha, ha....

**Władysław.**

Zabłądziłem. Wszak ja u pani jestem... i tak wszedłem! Ach, przepraszam, przepraszam panią! *(kłania się i wybiega narożnemi drzwiami po prawej).*

## SCENA III.

**Wanda** (*sama*).**Wanda** (*wołając za nim*).

Panie Władysławie! panie Władysławie... Daremnie... Jak wszedł nieprzytomnie tak i wybiegł!... Co za dziwak!... i to z miłości!... Nie, u niego to nie jest miłością, lecz szalem!

---

## SCENA IV.

**Wanda, Władysław.****Władysław** (*wchodząc narożnemi drzwiami po prawej*).

Wybacz pani, że znowu wchodzę nieanonsowany, lecz nie mogłem odejść nie przeprosiwszy pani za to, że przed chwilą wszedłem tak... przecie mi pani tego za złe wziąć nie zechcesz...

**Wanda.**

Widzisz pan, że się nie gniewam; i owszem, bardzo panu wdzięczną jestem; tak rzadko zdarza się sposobność wyśmiać się serdecznie. (*znowu się śmieje*) Przepraszam pana... ale... gdybyś się pan mógł był widzieć... i ta mina, z którą pan wykrzyknąłeś: „pani tutaj!“ (*śmieje się*).



**Władysław** (*śmiejąc się*).

Śmieć się pani, śmieć, ile się pani podoba. Sam przyznać muszę, że moje wejście było co najmniej, to dziwaczném. (*żywo*) Wszakże... spodziewam się, że nie użyłem tu żadnego wyrazu... zbyt obozowego.

**Wanda.**

Za to nie ręcę; wiem tyle, że pan uderzyłeś pięścią w stół, aż się szyby zatrzęśły; lecz co powiedziałaś nie pamiętam, bo się zbyt śmiałam w tej chwili.

**Władysław.**

Ach, przebacz pani to roztargnienie. Na honor, dotąd nie pojmuję, jakim sposobem tu zaszedłem.

**Wanda.**

Więc pan nawet nie wiesz?...

**Władysław.**

Nie wiem.

**Wanda.**

Ależ to być nie może!

**Władysław.**

Niech zginę, jeśli wiem.

**Wanda.**

Co to jest być zakochanym!

**Władysław.**

Jakto? — pani zgadłaś?...

Wanda.

Że się pan kochasz w pięknej pani Julii Lotnickiej?  
Któż tego nie wie!

Władysław.

Szczególne!

Wanda.

Nieprawda? Co to ludzie za oczy mają. Widzą, że jej pan na krok nie odstępujesz, że się w nią jak w tęczę wpatrujesz, że wszystko na wspak robisz, wreszcie, że pan nawet nie wiesz dokąd idziesz i domyślają się, żeś pan zakochany!

Władysław.

Pani zatem twierdzisz, że to jest... widoczném.

Wanda.

Potroszę.

Władysław.

Nie myślałem.

Wanda.

Już to, że pan nie bardzo wiesz co robisz, tego świeży dałeś mi dowód. Jednak byłabym ciekawą dowiedzieć się, jak można dojść do tego stopnia rozartagnienia. Więc proszę pana, zrób pan to dla mnie i staraj się przypomnieć sobie, jak tu zaszedłeś.

Władysław.

Jeśli najmniejsze o tém mam wyobrażenie, niech mnie... niech zupełnie głowę stracę.

Wanda.

Tém zaklęciem dajesz pan w zastaw rzecz podobno oddawna straconą.

Władysław.

Myślisz pani! — Aha! — Już wiem!... Nie... nie nie wiem.

Wanda.

A co? nie mówiłam!

Władysław.

Tak, tak, przecie sobie przypominam...

Wanda.

Dzięki Bogu!

Władysław.

Wczoraj wieczorem byłem w salonach tutejszego zakładu...

Wanda.

Sam?

Władysław.

Nie, z panią Julią i kilku innymi osobami...

Wanda.

Nie pamiętasz pan przypadkiem, kto były te inne osoby?

Władysław.

I owszem... ale, jeśli się nie mylę, i pani tam byłaś.

Wanda.

Dziękuję, to grzecznie...

Władysław.

Otóż macie, głupstwo powiedziałem... Prawdziwie, jestem...

Wanda (*śmiejąc się*).

Nie tłómacz się pan, umyślnie pana na nie wyciągnęłam. Mów pan dalej.

Władysław.

To niegodziwie z pani strony. Wróciłem więc do siebie tak rozdrażniony, tak rozstrojony...

Wanda.

I to pani Julia tak panu dokuczyła?

Władysław.

Któż na świecie zgryźć, zmartwić, rozdrażnić mnie może, jeśli nie ona? Ona, zawsze ona!

Wanda.

Naturalnie, wszak prócz niej niema nikogo na kuli ziemskiej.

Władysław (*żywo*).

Zapewnie, że niema nikogo na kuli... (*miarkując się*)  
Otóż macie, — znowu głupstwo powiedziałem; lecz to z pani winy, bo pani sobie wyraźnie ze mnie żartujesz.

Wanda.

Ja? Bynajmniej. Pańskie opowiadanie, już przez to samo że jest trochę dziwaczném, niezmiernie mnie zajmuje. Cóż dalej...? Pan byleś rozdrażniony...



**Władysław.**

Tak jest, rozdrażniony, rozgorączkowany do najwyższego stopnia. Rzuciłem się na sofę i tam przesiedziałem nie wiem ile godzin, w stanie nie do opisania. Ach, pani nie możesz pojąć...

**Wanda.**

I owszem, pojmuję doskonale; ale mi to jeszcze nie nie wyjaśnia! Staraj się pan zająć już raz tutaj.

**Władysław.**

Zaraz, pani, zaraz zajdziemy, tylko idźmy po porządku; inaczej znowu zabłądzę.

**Wanda.**

Pan, jak uważam, błędzisz z powołania.

**Władysław.**

Obyś pani żartem prawdy nie wyrzekła! (*zamyśla się*)

**Wanda.**

O czémże pan znowu myślisz?

**Władysław** (*jakby ze snu przebudzony*).

Ja? O czém to mówiliśmy? — A tak... siedziałem u siebie na sofie, jak długo, nie wiem; lecz to były straszne chwile. (*wskazując na piersi*) Tu okropny ciężar mnie dusił, w głowie mi się kręciło; cały pokój koło mnie tańcował, meble, obrazy, firanki, wszystko przybierało jakieś fantastyczne kształty, jednem słowem, czułem, że waryuję. Rozpaczliwém natężeniem woli otrząsałem wreszcie tę zmoreę, zapragnąłem odechnąć świeżem powietrzem, wyszedłem...

Wanda.

Za pozwoleniem, wszakże pan wczoraj wieczorem byłeś we fraku.

Władysław (*spoglądając po sobie*).

Na honor, prawda. Zdaje się, że się przebrałem. Co to jest przyzwyczajenie! Przebrałem się bez wiedzy, machinalnie.

Wanda.

Hm, wreszcie to być może.

Władysław.

O ile sobie przypominam, chciałem pójść w góry; lecz doszedłszy do stromej ścieżki, która po za pani dworek debrą do altanki prowadzi, zamiast skrócić na prawo, zapewne prosto przed siebie poszedłem, furtka musiała być otwartą, wszedłem do pani ogródka, ztamtąd na schody i tak....

Wanda.

Pan tu zaszedłeś, biorąc moje schody za debrę a salonik za altankę.

Władysław.

A zdaje się, że jakoś tak było.

Wanda.

Ach, biedny panie Władysławie, cóż się z twoją głową dzieje!

Władysław (*do siebie*).

Gdybym przynajmniej wiedział, czego się z nią trzymać, ale nie, zgoła nic nie wiem. Od pierwszego dnia

ani o jeden krok nie postąpiłem. (*z naciskiem i złością*)  
Od siedmiu tygodni!

**Wanda.**

Od siedmiu tygodni! niepodobna!

**Władysław.**

Pani się śmiejesz, bo pani się to niczém zdaje! A ja pani powiadam, że takich siedem tygodni stanie za siedem lat, gdzieś tam, za siedem wieków ciężkiego więzienia. I to mało, bo w więzieniu ma się przynajmniej spokój, — za wiele spokoju, — gdy ja trzydzieści sześć razy na dzień przechodzę z nadziei do zwątpienia, z siódmego nieba do siedemdziesiąt szóstego piekła! I pani powiadasz, że to mało! Popatrz się pani tylko na mnie: schudłem, zmizerniałem....

**Wanda.**

Jak szkielet pan wyglądasz!

**Władysław.**

No, jak szkielet nie, ale zaręczam pani, że straciłem sen, apetyt...

**Wanda.**

Pragnienie....

**Władysław.**

Pragnienie....

**Wanda.**

I to dla tego pan pozawczoraj, siedząc obok mnie przy obiedzie, tak zawzięcie z każdego półmiska po

dwa razy dobierałeś, i, jeśli się nie mylę, całą butelkę szampańskiego wina wypileś.

**Władysław.**

O, nie wspominaj mi pani tego dnia nieszczęsnego! Pozawczoraj! — Byłem właśnie w rozpaczycy!

**Wanda.**

Biedny! biedny, panie Władysławie!

**Władysław.**

O żartuj, żartuj sobie pani! Nieprawda, że to śmieszne, bardzo śmieszne, słyszeć rotmistrza od dragonów, mówiącego, ile cierpi z powodu szczerzej, prawdziwej miłości! Przyznaję, że zbłądziłem wynurzając przed panią moje uczucia; lecz gdy się jest bardzo nieszczęśliwym, okazanie najmniejszego współdziałania chwyciła nas za serce; zdawało mi się znaleźć takowy w pani, — omyliłem się, — chciej pani mojej szczerości nie brać mi za złe i pozwól, bym jej dłużej moją obecnością nie trudził!

**Wanda.**

Wcale tego nie pozwalałam. Nie chcę, byś pan ztąd odszedł z przykrém wrażeniem. Pan masz sposób tak oryginalny rozpaczania, że nie mogłam wstrzymać się od śmiechu, lecz wierzaj mi pan, nie chciałam bynajmniej panu przykrości zrobić. — Przekonaną jestem, iż pańskie uczucia są szczerze, i że... nawet pijąc szampańskie wino... cierpisz prawdziwie. No, fe, — nie marszczę pan znowu brwi na mnie, to nie ładnie; chciej raczej we mnie widzieć przyjaciółkę, gotową ci usłużyć radą i uczynkiem. Żaden z was, moi panowie,



zwłaszcza gdy tak na zabój, na śmierć, jak pan, zakochany, jasno nie widzi w rzeczach tyczących się serca; gdy przeciwnie nam kobietom natura szósty zmysł do tego dała; tam zatém gdzie panowie, ale to zgola nie nie widzicie, my wiele rozpoznać możemy. — Chodź pan tutaj, usiądź obok mnie i rozpowiadaj. Przytocz mi przynajmniej jedną ze swoich ważniejszych rozmów z panią Julią, powiedz jakie było przytém jej zachowanie, jaki wyraz twarzy, jakie wejrzenie, niemal jakim głosem co mówiła. Wszystko, wszystko potrzebuję wiedzieć, gdyż z tego będę moje wnioski ciągnęła, a skoro was potém raz zobaczę razem, będę w stanie najdokładniej panu powiedzieć, jak daleko pan w jej sercu zaszedłeś.

**Władysław.**

Dzięki, dzięki pani! — Jakże dobrze zrobiłem, pokładając w niej zaufanie. (*chce usiąść obok Wandy*)

**Wanda.**

Zaraz; lecz nim mówić zaczniemy, chciej mi pan podać szklanekę wody.

**Władysław.**

Służę pani. (*idzie do stolika po lewój, bierze pudełko zapalek i wraca się ku Wandzie*) Widziałem ją po raz pierwszy na ostatnim balu u pani kasztelanowej w Krakowie, miała żółtą jedwabną suknię... (*zapala zapalke i podaje ją Wandzie*) mieniącą się jak ogień....

(*Wanda parska śmiechem*).

**Władysław** (*rozgniewany*).

Jak uważam, pani obrałaś mnie sobie za zabawkę.

**Wanda.**

Ależ przypatrz się, co robisz! Ja pana o szklanekę wody proszę, a pan mi zapalną podajesz! Może to dla uwydatnienia mi koloru sukni pani Julii?

**Władysław.**

Ach, przepraszam, przepraszam panią. W rzeczy samej to jest nie do darowania! Tą jedną razą chciał mi pani moje nieszczęsne roztargnienie przebaczyć a ja święcie obiecuję, że się więcej nie zapomnę.

**Wanda.**

Wspaniałomyślnie przebaczam!

**Władysław.**

Pani prawdziwie jesteś aniołem dobroci! Bo widzisz pani, dotąd gdy pomyślę o tym balu, zupełnie tracę głowę. Ach gdybyś ją pani była widziała w tej żółtej sukni okrytej koronkami spiętymi gdzieś tam białych kamelii...

**Wanda.**

Jeśli to panu nie nie szkodzi, nie unośmy się nad żółtą suknią i kameliami, gdyż z tego niczego się nie dowiem.

**Władysław.**

Słusznie; lecz wyobraź sobie pani przy tém jej pleć alabastrową i sploty kruczonych włosów, a pojmiesz, że można było oszaleć!

**Wanda.**

Wszakże to oddawna widzę.

**Władysław** (*siadając obok Wandy*).

Tańcowałem z nią pierwszego mazura...

**Wanda.**

W mazurze niedaleko zajdziemy, a radabym przecie zbliżyć się trochę do terażniejszości; tylko muszę panu przypomnieć, że szklanki wody jeszcze nie dostałam.

**Władysław** (*zrywając się*).

Rozstąp się ziemio! Cóż ja zrobiłem! (*idzie do stolika i z pół drogi się wraca*) Przecież pani na mnie gniewać się nie możesz; powinnabyś raczej mieć litość nad mym oplakany stanem. Skoro o niej pomyślę, o wszystkiem zapominam i sam już nie wiem, co robię. Teraz na przykład, zaledwie wspomniałem o tym mazurze, zdało mi się, że trzymam jeszcze jej drobną rączkę; widziałem ją przy sobie lekką, rozpromienioną, prawie niedotykaną ziemi, czułem jej gibką postać, opartą w hołupcu tu na mojem ramieniu, woń jej włosów dotąd mnie upajała! Ach! takiego mazura tańcowałbym do końca świata! (*Idzie do stolika, nalewa sobie szklankę wody i duszkiem ją wychyla, wracając się do Wandy*) Lecz dobrze pani mówisz, przejdźmy do terażniejszości...

**Wanda.**

A moja woda, moja woda, panie Władysławie!

**Władysław** (*ostupiały*).

Wszakże ją dopiero pani podałem!

**Wanda.**

W myśli być może; lecz w rzeczywistości nalałeś pan sobie szklankę wody i duszkiem ją wychyliłeś.

**Władysław.**

Jestem człowiekiem zgubionym... Nie mam...

**Wanda.**

O, przepraszam, tą razą już nie przyjmuję wymówek. Nic pan nie mów, nie ruszaj się z miejsca i słuchaj mojej... jak to się nazywa... mojej komendy. Widzę, że trzeba obudzić w panu ducha karności wojskowej, inaczej zginęłabym z pragnienia. Zatem teraz komenderuję; „Stój pan spokojnie!”

**Władysław** (*przybierając postawę żołnierza, twarzą do publiczności, półgłosem*).

Stać!

**Wanda.**

Tak jest! „Stać — Uważaj pan!”

**Władysław** (*tak samo*).

Baczność!

**Wanda.**

Jak pan powiadasz? Baczność?—Dobrze „Baczność!”  
Teraz: „Odwróć się pan odemnie!”

**Władysław** (*zawsze półgłosem*).

W pra-wo!

**Wanda.**

Niby to nie to samo, ale niech i tak będzie „W pra-wo! i marsz!” (*Władysław idzie do stolika*) A widzisz pan, że tą razą nie miałeś pan nic do zarzucenia; dobrze zakomenderowałam! To mnie cieszy. (*Klaszcze w ręce z radości. Władysław doszedłszy do stolika znaczy*



*krok w miejscu*) A to co takiego, czego pan na miejscu drepcisz?

**Władysław.**

Znaczą krok, bo pan komendant nie zakomenderował „Stój!“, a mam przed sobą przeszkodę.

**Wanda.**

Jakże ja mogę do pana mówić „Stój“ — przynajmniej „Stój pan!“

**Władysław.**

Nie, pani „Stój!“

**Wanda.**

Koniecznie?

**Władysław.**

Regulamin tak każe.

**Wanda.**

Regulamin?

**Władysław.**

Tak jest, pani, regulamin.

**Wanda** *(z zastanowieniem).*

Regulamin, hm! No, więc proszę: „Stój!“ — Boże, jakimi panowie w wojsku pedantami jesteście! *(Władysław stoi nieruchomy, — chwila milczenia)* Cóż znowu? Aha, pan czekasz komendy. — Proszę zatem wzięść karafkę prawą ręką, szklanekę w lewą, nalać wody, obrócić się do mnie i podać mi ją tutaj. *(Władysław wykonał wszystko, co mu Wanda rozkazuje i przynosi jej wodę na tacce)*

**Wanda** (*napiwszy się*).

Wybornie! Żołnierze! jestem z was zadowolona!

**Władysław** (*odnosząc szklankę na miejsce, na stronie*).

Nie można być milszą; jakoś mi ta rozrywka dobrze zrobiła.

**Wanda.**

Teraz słucham.

**Władysław.**

Zaraz... tylko...

**Wanda.**

Co?

**Władysław.**

Już jest w mojem przeznaczeniu, w oczach pani okazywać się zawsze roztrzepanym, lecz... prawdę mówiąc... nie wiem na czém stanęliśmy.

**Wanda.**

Ależ my wcale nie stanęli; pan mazura tańcowałeś, w myśli, ma się rozumieć, — ja zaś daremnie się siliłam pana zatrzymać, żeby się dowiedzieć, jak pani Julia teraz przyjmuje pańskie... zalecanie się.

**Władysław.**

Jakże mam pani to opisać, o czém sam najmniejszego nie mam wyobrażenia. Bo czyż może być coś zmienniejszego na świecie, jak pani Julii zachowanie się względem mnie. — Często okazuje mi najwyraźniej, że moja obecność jest jej przyjemną; wtedy jest wesolą, nawet poufałą. Chwilkę później, przybiera ton zimny,

ceremonialny jak względem kogoś, którego zna za ledwie. Czasem słucha z uwagą, co do niej mówię i zdaje się przy tém zagłębiać we własnej odpowiedniej myśli; pięć minut potém prawie spostrzegać nie raczy, że jestem przy niej. Skoro zacznę zdaleka mówić o moich uczuciach, zbywa mnie żartami, albo zamysła się głęboko i milczy.

**Wanda.**

Jednëm słowem, trochę pana kokietuje.

**Władysław.**

Broń Boże! Wszakże ona jest zawsze tak swobodną, tak naturalną, że nigdy cienia kokieteryi w niej nie dostrzegłem.

**Wanda** (*na stronie*).

Nie dostrzegł! i to dragon powiada! Wierże tu w doświadczenie wojskowe!

**Władysław.**

Nieraz widywałem ją szalenie wesołą: śmiała się, żartowała, bujała jak swawolne dziecię, raptem śród tego jakiś dziwny smutek powlekał jej cudowne oblicze; na twarzy, na której dopiero co igrał uroczy uśmiech, malował się wyraz ukrytego cierpienia. Wtedy mówiła wolniej, a jej głos był tak dźwięczny, tak czysty, że do głębi duszy przenikał. W każdym słowie przebijała niby tęsknota, niby pragnienie wymarzonego szczęścia; lecz zarazem każdëm słowem zdawała się mówić: „Żałuj mnie, bo jestem bardzo nieszczęśliwą“.

**Wanda** (*z pewnym naciskiem*).

Pani Julia jest z mężem rozwiedziona?

**Władysław.**

Tak jest, pani.—Niegodne postępowanie męża pani Julii do tego stopnia oburzyło jej rodzinę, że prawie gwałtem domagała się rozwodu. Wiele było trudności do przełamania, zwłaszcza z jej strony, gdyż, jak mi sama mówiła, długo sprzeciwiała aię temu, chcąc zostać wierną obowiązkowi; lecz słuszne żądania rodziny przemogły i wydarto ją nareszcie mężowi! (*z zapalem*) Ha! Jeśli kiedy spotkam tego człowieka...

**Wanda.**

Wtedy radzę panu mu podziękować.

**Władysław.**

Co? ja miałbym?

**Wanda.**

Któż inny? Wszakże on, rozwodząc się, dał panu możliwość ożenienia się ze swoją żoną.

**Władysław.**

Na honor prawda; a jednak miałbym wielką ochotę z nim się strzelać.

**Wanda.**

Nie jestże on dosyć ukarany utratą takiego anioła, jakim jest pani Julia.

**Władysław.**

Ja na jego miejscu byłbym sobie w łeb wypalił!

**Wanda.**

I miałbyś pan zupełną słuszność.



**Władysław.**

Pani to serio mówisz?

**Wanda.**

Bardzo serio. *(śmieje się)*

**Władysław.**

Pani wyraźnie żartujesz sobie ze mnie.

**Wanda.**

Wcale nie, lecz widząc, że pan już zupełnie zdrowe zmysły postradałeś, robię to, co się zwykle robi z... *(pokazuje palcem na czoło)* to jest nie sprzeciwiam się panu w nadziei, że może powoli uda mi się pana na drogę prostego rozumu naprowadzić. — Sam pan osądź, czy jest w tém cień zdrowego rozsądku, szukać z kimsiś zaczepki za rzeczy przeszłe, nie mając prawa w teraźniejszości stawać w obronie pani Julii; kompromitować takim czynem osobę, którą pan kochasz; wreszcie, jeszcze raz powtarzam, tak źle odwdzięczyć się mężowi, który tak wielką, tak nieocenioną oddał panu przysługę.

**Władysław.**

Niesposób z panią walczyć, poddaję się.

**Wanda.**

I dobrze pan robisz. Mogę panu zaręczyć, że nie zbłądzisz idąc za mojemu radami, byleś wszakże szedł za niemi.

**Władysław.**

Przysięgam....

**Wanda.**

Nie przysięgaj pan. Znam pana dostatecznie, by nie wątpić, że przy pierwszej sposobności dasz się unieść uczuciu i o przysiędze zapomnisz, a ja krzywoprzysięzców nie lubię.

**Władysław.**

Daję pani więc słowo, iż będę jej posłusznym, jak...

**Wanda.**

Swemu pułkownikowi.

**Władysław.**

O, nierównie więcej. Pułkownika rozkazów słucham w rzeczach służbowych; gdy zaś pani, nieograniczone, ślepe posłuszeństwo w każdej chwili obiecuję.

**Wanda.**

Pan koniecznie chcesz ze mnie zrobić dyktatora lub tyrana, a ja wolałabym być młodym pułkownikiem, gdyż sądzę, że byłoby mi z tem więcej do twarzy; ale zresztą, niech i tak będzie, albo, wiesz pan co: będę pańską wróżką, będę panu udzielała rady, ostrzeżenia, będę terażniejszość i przyszłość wykladała. Zgoda?

**Władysław.**

Zgoda. Wróżce czy aniołowi zawsze będę posłusznym.

**Wanda.**

Dobrze więc; ale nim zacznę wróżyć, musisz mi pan na niektóre pytania odpowiedzieć.

**Władysław.**

Chciej pani tylko pytać.

**Wanda.**

Zacznijmy od drobnostek. Powiedz mi pan, naprzykład, czy pani Julia nie zdaje się wyszukiwać umyślnie sposobności posługiwania się panem; czy nie ma upodobania w dawaniu panu tysięcznych komisów, któreby pana zniewalały dla niej coś robić, wciąż o niej myśleć; czy nie okazuje panu że woli żądać tych drobnych, codziennych usług od pana, niżeli od kogo innego?

**Władysław.**

Kilka razy zdarzyło mi się oddać jej małą usługę i byłem zbyt szczęśliwym...

**Wanda.**

Ależ nie o to chodzi czy pan byłeś szczęśliwym... to się samo przez się rozumie, lecz czy ona, ona zdawała się zawsze zadowoloną z tego co pan dla niej uczyniłeś, czy przyjmowała to obojętnie czyli z pewnym rodzajem zajęcia, wdzięczności, czy przy tém dziękowała panu bardziej wejrzeniem niżeli słowami?

**Władysław.**

Tego nie dostrzegłem; zdawała się przyjmować moje usługi jako rzecz należącą się jej najzupełniej.

**Wanda** (*do siebie*).

Zły znak.

**Władysław.**

Pani powiadasz?

**Wanda.**

Nie, wymówiłam formułkę kabalistyczną, potrzebną do moich kombinacyj. Idźmy dalej. W rozmowie

zwłaszcza ogólnej, czy zwraca się często pani Julia do pana z zapytaniem o pańskie zdanie, czy słucha go z większą uwagą niżeli zdania innych mężczyzn, czy chętnie się do niego przyłącza i przeciwko innym broni.

**Władysław.**

Zapytywała mnie wprawdzie czasem o moje zdanie, lecz wyznać muszę, że zanim je całkowicie wypowiedziałem, już nie zważała i mówiła o czem inném. Ona jest tak żywą...

**Wanda (do siebie).**

Bardzo zły znak. (*głośno*) Często pani Julia na pana patrzy?

**Władysław.**

Jakto czy na mnie patrzy?...

**Wanda.**

Ach jakież pan niecierpliwio i naiwny! Wiedząc pan raz na zawsze, że [kobiecie, gdy jest kim prawdziwie zajęta, trudno, powiedziałabym prawie niepodobna wytrzymać pół minuty bez spojrzenia się ukradkiem lub jawnie na tego, który jej serce owładnął.]

**Władysław.**

W istocie?

**Wanda (z lekką ironią).**

W istocie, mój panie. Otóż nie pytam czy pani Julia patrzyła panu w oczy mówiąc z panem, czy rzucała na pana zabójczym spojrzeniem, wtedy gdy wiedziała że pan na nią patrzysz, lecz czy pan, przez jakieś zdradzieckie zwierciadło, w szybie, w politurowanej szafie,



we wszystkiem co rysy odbijać może, nie dostrzegłeś jej wzroku spoczywającego na panu właśnie, gdy byłeś odwróconym i kim innym zajęтым.

**Władysław.**

Kiedyż bo ja ciągle nią jestem zajęтым, w nią jednę się wpatruję!

**Wanda** (*zniecierpliwiona*).

A niechże pana... Bóg ma w swojej opiece! Pan, jak widzę, najelementarniejszych wiadomości w sztuce... w zawodzie... jakże mam powiedzieć... już sama nie wiem, nie posiadasz.

**Władysław.**

Ach, tak niestety!

**Wanda.**

Niestety! niestety! Przecie pan takim dawniej nie byłeś! Co się z pana zrobiło?

**Władysław.**

Czyż ja wiem!

**Wanda** (*z westchnieniem politowania*).

Ha, no!

**Władysław.**

Co?

**Wanda.**

Nie, ale jeszcze jedno pytanie. Musiało się panu czasem zdarzyć zostać sam na sam z panią Julią?

**Władysław.**

O, bardzo często, zwłaszcza od czasu, jak tu w Szczawnicy jesteśmy. Niema prawie spaceru, śród którego

nie znaleźlibyśmy sposobności oddzielenia się od reszty towarzystwa. To są najszcześniejsze dla mnie chwile.

**Wanda.**

Otóż właśnie w podobnych chwilach, nie dostrzegłeś pan w pani Julii wzruszenia, rodzaju zmieszania, czy nie okazywała chęci zbliżenia się do reszty towarzystwa, i to z wielkim pośpiechem, przy czem jednak dalej samą z panem zostawała?

**Władysław.**

Nie, pani. Nigdy najmniejszego zmieszania w niej nie dostrzegłem. Była wesołą lub zamyśloną, rozmawiała ze zwykłą sobie żywością, lub słuchała w milczeniu co do niej mówiłem; wszakże nigdy nie znać było w niej cienia wzruszenia, nigdy nie wydała mi się zaniepokojoną tém, że byliśmy sami.

**Wanda** (*na stronie*).

Coraz gorzej.

**Władysław.**

Pani powiedziałaś: „Coraz gorzej!“ Myślisz zatem...

**Wanda.**

Nie zgoła nie myślę. By mieć wyrobione pewne zdanie o uczuciach pani Julii względem pana, muszę was widzieć razem, muszę wam się z większą uwagą przypatrzeć, niżeli dotąd.

**Władysław.**

O nie, pani! Nie zwiedzisz mnie tą razą. Czyż nie czytam w pani oczach, na jej twarzy mego wyroku! Zlituj się, nie ukrywaj mi dłużej swoich myśli. Wierzaj

# KOMEDYE

w tomie pierwszym zawarte.

---

	Str.
Przed śniadaniem, obrazek dramatyczny w jednym akcie, prozą . . . . .	5
Drzémka pana Prospera, komedia w czterech aktach, wierszem . . . . .	37
Piosnka Wujaszka, komedyjka ze śpiewkami, w jednym akcie . . . . .	161
Poznaj nim pokochasz, przysłowie dramatyczne, w jednym akcie, prozą . . . . .	227

---





mi pani, jakkolwiek bolesną prawdę usłyszę, wolę ją tysiąc razy nad ten okropny stan niepewności, który mnie dręczy i powoli zabija!

**Wanda.**

Chcesz pan słyseć prawdę, niech i tak będzie, bo mi żal pana. Zresztą zdaje mi się, że nie tając przed panem, co o tēm myślę, oddam panu usługę. Mojem zdaniem pani Julia, chociaż na pozór wydaje się być roztrzepaną i niezastanawiającą się osobą, za nadto dba o rzeczywistość, by panu odmówiła. Ona bardzo dobrze wie, iż mało jest w Polsce ludzi, którzyby czy to imieniem, czy majątkiem, czy nareszcie osobistością (widzisz pan że mówię otwarcie, jak z dawnym przyjacielem) panu wyrównali. Jej postępowanie względem pana najlepszym jest tego dowodem. Pan się dotąd wyraźnie o jej rękę nie oświadczyłeś, ona zapewne spodziewa się tego; wszakże nie mając pewności, iż pańskie zamiary są stanowcze, drażni pańskie uczucia, ażeby pana tēm prędzej do oświadczenia, którego wygląda, doprowadzić.

**Władysław** (*z radością*).

Paui więc sądzisz, że ona mnie kocha?

**Wanda.**

Tego nie powiedziałam, ale z pewnością twierdę, że bardzo chętnie poszłaby za pana.

**Władysław** (*żywo*).

I pani myślisz, że ja przyjąłbym rękę osoby, o której przywiązaniu nie byłbym przekonany?

**Wanda** (*na stronie*).

Szlachetna dusza.

**Władysław.**

Ale nie, pani się mylisz, — pani jej nie znasz. Ona może sama jeszcze nie zdała sobie sprawy z tego, co względem mnie czuje, może pragnie mieć większe, silniejsze dowody mojej miłości; lecz żeby miała sobie igraszkę robić z moich uczuć, z mego cierpienia, gdy jedném słowem, jedném skinieniem może mnie widzieć u nóg swoich, nie, — tego nigdy nie przypuszczę, to być nie może, bo wtedy nie miałyby serca!

**Wanda.**

Sam pan to wyrzekłeś.

**Władysław.**

Jakto? Ona, ona nie miałyby serca?

**Wanda.**

Jakkolwiek bolesném musi być panu to słyszeć, takim jest moje zdanie o niej, zdanie nie na pozorach, lecz na dowodach oparte, i w tém właśnie powinien byś pan znaleźć pociechę.

**Władysław.**

Niema dla mnie pociechy na świecie, jeśli ona mnie nie kocha! Lecz jestżeś pani pewną tego, co twierdzisz? Wspomniałaś o dowodach, na Boga, mów pani!

**Wanda.**

Rzecz na pozór małej wagi, lecz posłuchaj mnie pan i sam osądź. Parę dni temu pani Julia, Pułkownik Barski, pan Zanieski i ja poszliśmy na spacer. Doszedłszy do wielkiego dębu zatrzymaliśmy się, by trochę odpocząć. Zaledwie usiedliśmy na ławeczkach, wy-

biegł ścieżką z gęstwiny mały chłopczyk, mogący mieć dziewięć do dziesięciu lat, w ubogim góralskim stroju. Śliczne to było dziecko: miał blond włosy, duże czarne oczy pełne wyrazu i słodczy, pleć spaloną, lecz ze świeżym, czerstwym rumieńcem na twarzy, w rękę trzymał duży bukiet polnych kwiatów. Zdziwiony, że się raptem znalazł wśród tak liczego towarzystwa, zatrzymał się, spojrzął po nas wszystkich, jeszcze mocniej się zarumienił, potem zwrócił się powoli, jakby z niechęcią, by odejść. „Ach, cóż to za prześliczne kwiaty!“ wykrzyknęła pani Julia, „sprzedaj mi je!“ — Chłopczyzna nie słuchając, poskoczył ku ścieżce, lecz za późno, już go trzymała za rękę. „Cóż to, nie możesz odpowiadać, gdy do ciebie mówię?“ rzekła ostro. „Chcę byś mi te kwiaty sprzedał.“ „Nie chcę“ odpowiedział usiłując wyrwać się z jej ujęcia. — „A to dlaczego?“ — „Bo te kwiaty są dla mamy“. — „Zbierzesz dla niej inny bukiet, a ja ci za ten dobrze zapłacę“. — „Nie chcę, nie chcę“ powtarzał dalej chłopczyzna na pół z płaczem. — Zdało mi się iż czas wdać się w tę sprawę. — Kiedy nie chcesz sprzedać twych kwiatów tej pani, — rzekłam — powiedzże nam przynajmniej, gdzie jest twoja mama? — Spodziewałam się tym sposobem dostać od matki dla pani Julii tak upoczywie broniony bukiet. Chłopczyk spojrzął się na mnie pełnym łez wejrzeniem i odrzekł: „Mamy niema nigdzie, bo umarła“.

**Władysław.**

Biedne dziecko!

**Wanda.**

Możesz pan sobie wyobrazić nasze zadziwienie na taką odpowiedź. „Skłamałeś zatem mówiąc, że te kwiaty

są dla twojej matki“ wykrzyknęła pani Julia. „Nie, nie skłamałem“ odparł chłopczyk tupiąc nóżką i spoglądając gniewnie na nią. Przyznam się panu, że byłam zarazem rozczuloną i rozciekawioną odpowiedziami tego dziecka. Pozwól mnie pani, — rzekłam do pani Julii, — wypytać tego chłopczykę. My tobie chętnie uwierzemy, — mówiłam dalej przyciągając go powoli do siebie — tylko powiedz nam, jakto być może, żeby te kwiaty były dla twojej mamy, kiedy sam powiadasz, że ona umarła! „Cóż w tem dziwnego? od-rzekł, dwa lata temu mama wracała z roboty i tutaj usiadła, ja tymczasem nazbierałem kwiatów na tamtej łące (tu ręką wskazał ścieżkę którą przybiegł) i przyniosłem je mamie. Wzięła je, potem mnie długo, długo pieściła. Następnej zimy mama umarła; lecz gdy kwiaty znowu zakwitły, nazbierałem ich dużo i tutaj przyniosłem: wtedy zdało mi się, że widzę mamę. O tam jeszcze są przeszłoroczne!“ I wyciągnął rękę ku drzewu. Spojrzeliśmy w to miejsce, istotnie między dwoma konarami dostrzegliśmy pęk uschniętych kwiatów.

**Władysław** (*który ukradkiem łzę otarł*).

Coż pani Julia na to?

**Wanda.**

Nie potrzebuję panu mówić, jak dalece byliśmy rozrzewnieni tém prostém opowiadaniem dziecka, dosyć panu powiedzieć, że pan Zanieski ze spuszczoną głową zawzięcie rysował laską jakieś hieroglify na piasku, Pułkownik odwrócił się od nas, chrząkał i nos ucierał; ja zaś nie kryjąc się bynajmniej z tém, że poprostu płakałam, chwyciłam w objęcie biednego sierotkę, tuli-



łam do piersi jego główkę i całusami ją okrywałam. Jedna pani Julia parsknęła śmiechem, który jak mroźny wicher po nas przeszedł. „W istocie“ wykrzyknęła „to mały poeta w łachmanach! Fe, moja droga, jakże możesz całować stworzenie tak nieuczesane!“ O mało, że jej coś bardzo niegrzecznego nie odpowiedziałam; szczęściem zachowałam to dla siebie. Jakże, będziesz pan jeszcze wątpił, że prawdę mówiłam twierdząc, iż pani Julia nie ma serca?

**Władysław** (*bardzo wzruszony*).

Hm, hm. (*chwila milczenia*)

**Wanda.**

I nad czémże pan myślisz?

**Władysław.**

Nad czém? Nad tém, że... że... Czy nie znajdujesz pani, że pani Lotnicka ma chwilami coś przykrego w głosie.

**Wanda.**

Pani Julia!!

**Władysław.**

Nie inaczej. Im więcej o tém myślę, tém lepiej sobie to przypominam. Niezawodnie, ona ma organ krzykliwy i bardzo często rażący. Dziwna rzecz, że dotąd tego nie uważałem.

**Wanda** (*na stronie*).

Rozumiem.

**Władysław.**

Zresztą i w oczach ma coś niepewnego, niby na zéza trochę zarywa. To jest zwykle oznaką niedobrego

serca. Tak jest, tak, na honor, ona zezem patrzy. Ufi! to mnie cieszy!

**Wanda.**

Znowu pan pleciesz nie do rzeczy, lecz tą razą w innym kierunku.

**Władysław.**

Bynajmniej, teraz dopiero mówię rozsądnie, słyszę i widzę doskonale. Pierwej byłem zaślepionym, lecz teraz zasłona spadła mi z oczu, widzę panią Lotnicką taką, jaką jest rzeczywiście, to jest kobietą bez serca, zezującą i z przykrym, krzykliwym głosem. Co za szczęście! Ach pani! Ileż to wdzięczności... *(bierze ją za rękę, którą całuje)*

**Wanda** *(śmiejąc się)*.

No, no, no, pan wyraźnie... *(pokazuje palcem na czoło)*  
A właściwie może nie tyle, ile się zdaje. Podobno tą razą rozsądek przybiera u pana tylko pozór szaleństwa. Nic w tem zresztą dziwnego, wszakże w jednej chwili przerobić się nie można.

**Władysław.**

Żartuj sobie pani ze mnie, ile się pani podoba: nie wybijesz mi z głowy, że mi pani oddałaś największą, najistotniejszą usługę, otwierając mi oczy *(całuje ją w rękę)* i że pani zawdzięczam, iż panią Lotnicką, którą tak kochałem...

**Wanda.**

I której już nie Kocham...

**Władysław.**

Zapewne, że już jej nie kocham; ale pozwól pani, że mnie braku stałości wymawiać nie można. Najprzód te siedem tygodni czyseca, czy samego piekła, które przy niej przebyłem, coś znaczą; powtóre, po tém co mi pani powiedziałaś...

**Wanda.**

Otóż macie, teraz pan mnie tę zmianę przypisujesz.

**Władysław.**

Ma się rozumieć, że pani, jedynie tylko pani mnie ocaliłaś i dlatego moja wdzięczność względem niej tylko z życiem ustanie. *(całuje ją w rękę, którą Wanda cofa trochę zmieszana)*

**Wanda.**

Nie przesadzajmy w niczém. Pan we mnie zaufanie położyłeś, ja panu otwarcié moje zdanie powiedziałam. Jak pan z niego skorzystasz, już nie moją ale pańską rzeczą; wszakże szczerze panu radzę nie rób teraz żadnego kroku pod pierwszém wrażeniem, bo mógłbyś później tego żałować. Rozważ dobrze to co mówiliśmy, dodałabym nawet, wyjedź pan na parę dni, jeżeli to być może, a dopiero po spokojném, zimném zastanowieniu weź stanowcze postanowienie i działaj jak wtedy sam za stosowne uznasz. *(podając mu rękę)* A teraz bądź pan zdrów.

**Władysław.**

Jakto? Pani mnie już wyprawiasz?

**Wanda.**

Czyż nie dosyć... jeżeli nie za wiele rozmawialiśmy z sobą? Idź pan, idź i postępuj z rozwagą.

Władysław.

Obiecałem być posłusznym więc idę, ale...

Wanda.

Ani słówka więcej, wiesz pan że z pułkownikiem się nie rezonuje. Jeszcze raz powtarzam: wyjedź pan na jakiś czas ze Szczawnicy.

Władysław (*p. k. m.*).

Wyjadę.

(*kłania się i wychodzi w głębi po prawej*)

## SCENA V.

Wanda (*sama*).

Wanda (*p. k. m.*).

Sama nie wiem dlaczego mnie ta rozmowa wzruszyła. — Dobrze czy źle sobie postąpiłam? Sumienie mi powiada że dobrze. Wszakże przedstawiając mu panią Julię taką jaką jest w istocie, uczyniłam to z głębokiego przekonania że byłby z nią nieszczęśliwym.... a on wart szczęścia domowego.... Samolubstwa w tém nie było. (*p. k. m.*) Samolubstwa? — A jednak kto wie?.. Nie, nie, ocaliłam go tylko dla niego samego.—(*p. k. m.*) Nie myślmy już o tém i wróćmy się do naszej roboty. (*siada po prawej i zaczyna haftować*) Tak jest, zrobiłam tylko moją powinność, samolubstwa w tém nie było. (*z niecierpliwością*) Nieznośny haft! Wciąż mi się ścięgi płaczą, wolę rysować. (*wstaje, bierze tekę do rysunku*)



*i siada po lewej; rysując*) On się do mnie udał z pełną ufnością, nie mogłam mu nic innego powiedzieć. *(z westchnieniem)* Szkoda go! — Otóż macie, krzywy nos zrobiłam! *(wstając)* Nie, nie będę dzisiaj rysowała: wezmę kapelusz i mantylkę i wyjdę na spacer.

*(wychodzi narożnemi drzwiami po lewej)*

## SCENA VI.

**Władysław** *(sam)*.

**Władysław** *(wchodząc w głębi po prawej)*.

Wyjeżdżam, tylko jeszcze jedno słowo... Niema jej!... To już do mojego szczęścia należy! Chciałem się z nią pożegnać, zapytać czy wrócić, czy nie wrócić... kiedy wrócić?... i teraz... diabli nadali! Sam już nie wiem co robić! *(p. k. m)*. Cóż to za anielska dusza, co za serce, jakiego nigdy dotąd nie spotkałem!... Ta przynajmniej wszystko co mówi, to czuje; to jest szczerłość, dobroć uosobiona! Jak łagodne, jak pocziwe ma wejrzenie... do głębi duszy przenika!... Hola, panie Władysławie! Co to znaczy?—Co znaczy? To, że byłem głupim, że się kochałem w szatanie, mając przy sobie anioła; że się anioł nademną zlitował, oczy mi otworzył i że teraz Kocham anioła! *(chodzi zamyślony)* Trochę się to gwałtownie stało, ale cóż ja temu winien że mnie takim natura stworzyła, że łatwiej pierwszemu wrażeniu ulegam, że silniej, goręcej czuję niżeli inni! Kocham się! Jak, zkaąd, dlaczego? Co się mam o to pytać, dosyć że się Kocham i basta! *(p. k. m.)* Ale co ona na to powie? Jak przyjmie tę raptowną zmianę frontu? Ha, zobaczymy!

Powiem jej prawdę, a prawda ma to do siebie że się jej głos poznaje. (*ogłędając się*) Lecz gdzież ją znaleźć, nie wiem czy jest w swoim pokoju czy wyszła?

---

## SCENA VII.

**Wanda, Władysław.**

*Wanda (wychodząc ze swego pokoju).*

Co, pan znowu tu?

**Władysław.**

Tak pani, wróciłem, bo wyszedłszy ztąd znalazłem się tak samotnym, tak z toru zbitym, że uczułem konieczną potrzebę proszenia pani jeszcze o niektóre rady.

**Wanda.**

Wszakże panu powiedziałam co masz robić; zastanówić się.

**Władysław.**

Właśnie o to chodzi że się już zastanowiłem.

**Wanda.**

Przynajmniej niedługo.

**Władysław.**

Prawda, niedługo ale bardzo serio. Lecz jeśli to zastanowienie zbyt krótkim pani się wydaje, cóż dopiero powiesz dowiadując się o jego wyniku!

*Wanda (trochę zaniepokojona).*

Pan wracasz do dawnego jarzma?

**Władysław.**

Broń mnie Boże!

**Wanda** (*z uśmiechem*).

Zatém jakieś nowe szaleństwo wymyśliłeś?

**Władysław.**

Gdzieżtam, najrozsądniejszą, najrozumniejszą rzecz w życiu, chociaż przyznać muszę, że może ma pozór...

**Wanda.**

Szaleństwa? Byłam tego pewną.

**Władysław.**

Nie, lecz ma pozór... trochę niezwykły... trochę nadzwyczajny...

**Wanda.**

To mnie nie dziwi, gdyby to było coś zwykłego, wyszedłbyś pan ze swego charakteru.

**Władysław.**

Zatém sama pani przyznajesz, że to co u innego byłoby niezwykłym, u mnie może być naturalnym, może być najszczerzą prawdą?

**Wanda** (*na stronie*).

Do czego on zmierza?

**Władysław.**

Pani mi nie nie odpowiadasz?

**Wanda.**

Cóż pan chcesz bym odpowiedziała, nie wiedząc o czém pan mówisz?

**Władysław.**

Pani się to dziwaczem zdaje, że w skutek naszej rozmowy tak raptownie wyleczonym zostałem z szału czy namiętności, nazwij to pani jak chcesz, którą Pani Julia we mnie wznieciła, a pod której urokiem dotąd zostawałem; jest to jednak rzeczą najnaturalniejszą.

**Wanda.**

Ciekawam to słyszeć.

**Władysław.**

Pani wiesz najlepiej że serce jest głównym przymiotem kobiety: niém ona nami włada, w niém znajduje nieprzeliczone skarby, które są jej ozdobą i potęgą. W życiu tylko sercem kobieta nas wspiera, zachęca, wynagradza; tylko sercem szczęście wokoło siebie ustala. Piękność, rozum, mogą olśnić, omamić chwilowo, lecz to są tylko teatralne dekoracye za któremi rzeczywistości niema. Cóż więc dziwnego, że gdy z drobnego na pozór faktu przez panią przytoczonego, poznałem że pani Julia tego przymiotu nie posiada, przejrzałem, zobaczyłem prawdę i czar zniknął jak mgła orzeźwiającym wiatrem rozwiana.

**Wanda.**

Dotąd wszystko co pan powiedziałeś pojmuję i z tém się zgadzam, lecz teraz czekam na wybryk, bo znam pana i sama pańska przedmowa już coś podobnego zapowiadała.

**Władysław.**

Czyż nazwiesz to pani wybrykiem, jeżeli człowiek wyratowany z wielkiego niebezpieczeństwa w czas po-



daną ręką zbawczyni, zwracając ku niej wzrok pełen wdzięczności, dostrzeże że ona uratowała go właśnie tem, czego brak miał stanowić jego zgubę; jeżeli wtedy porwany już nie wdzięcznością ale uwielbieniem, padnie jej do nóg błagając by tę exystencją dopiero co przez siebie uratowaną nie chciała odpychać lecz przyjęła ją jako swoją, sobie na zawsze oddaną.

**Wanda** (*bardzo zmieszana*).

W istocie... nie wiem.

**Władysław.**

Ach powiedz, powiedz pani czyż mogłabyś to nazwać szaleństwem?

**Wanda.**

Szaleństwem... może nie... ale powiedziałabym temu panu że... (*uśmiechając się*) że bądź co bądź, należy do lekkiej kawaleryi.

**Władysław.**

I omyliłabyś się pani, bo dragoni są kawaleryą liniową; ale błagam cię, pani, nie chciej tego co ci powiadam w żart obracać, gdyż to jest prawdą. Tak jest, pani, od chwili jak twoje opowiadanie lzę mi z oka wycisnęło, zniknął czar pod którym zostawałem, by już nigdy nie powrócić. Tyś mi się okazała jaśniejącą przymiotami serca i ty jedna o władnęłaś moją duszę, całe moje istnienie! Dlatego stoję teraz drżący przed tobą czekając wyroku, który o szczęściu mojego życia rozstrzygać będzie.

**Wanda.**

Pan jesteś konsekwentnie szalonym i chcesz że-  
bym ja....

**Władysław.**

Uwierzyła że panią szczerze i prawdziwie kocham miłością nie na pozorach, lecz na twoich własnych przymiotach opartą.

**Wanda.**

Ale... przecie... sam pan przyznasz, że... tak prędko... Trzebaby przynajmniej lepiej się poznać... sam powiadasz, że mnie dopiero dzisiaj poznałeś.

**Władysław.**

Odkryłem w tobie skarb najdroższy — serce! W niem całą moją nadzieję pokładam. Jeśli za mną słówko przemówić raczy, najszcześniejszym będę z ludzi.

**Wanda.**

Jakże ma za panem przemawiać, kiedy... kiedy ja pana nie znam dostatecznie.

**Władysław.**

Wszakże moje imie, moje stosunki oddawna pani są znane. Co do mnie samego czyż tak trudno mnie poznać, czyż w tej jednej godzinie nie odkryłem ci najskrytszych tajników myśli i serca! Zresztą czyż sama przed chwilą nie powiedziałaś mi „Znam pana!“

**Wanda** (*śmiejąc się*).

Pan na wszystko masz gotową odpowiedź i w samej rzeczy przyznać muszę, że by pana poznać niewiele czasu potrzeba; byłoby zatem rzeczą dowiedzioną, że się znamy doskonale.

**Władysław.**

I bez obawy zbłądzenia w uczuciach możemy...

Wanda.

Możemy...

Władysław.

Możemy się kochać.

Wanda (*podając mu rękę*).

Skoro już się poznaliśmy, a przysłowie wyraźnie nakazuje:

„Poznaj nim pokochasz.”

(*Władysław z uniesieniem całuje ją w rękę*)

KONIEC.









BADAŃ INSTYTUT  
LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63



K  
4594  
A